

M.B.
L.W.
w kielasku

W cieniu miłości i nienawiści

MIROSLAWA SARBINSKA

str. 4

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042



Szukanie przyjemności
w stosunkach seksual-
nych było grzechem. Naj-
wyżej ceniono tych, któ-
rzy przez całe życie całko-
wicie powstrzymywali się
przed miłością fizyczną.

Na stresy — najlepsze są dresy



Foto: Grzegorz Galasiński

Ich kolekcje odzieży sporto-
wej robią furorę przy każdej
publicznej prezentacji; na tar-
gach poznańskich propozycje
wieloletniej współpracy oraz
nagrody i wyróżnienia sypią
się jak z rękawa, nie inaczej
było i po czwartym wystę-
pie na „Interfashion”. Efektow-
ne kostiumy kąpielowe, kapi-
talne dresy, szlafroki, sympa-
tyczne pidżamy z tkanin typu
frotte podobają się każdemu.
Ale... Właśnie, z pewnością od-
wiedzający stoisko zakładów
„Dresso” zadawali sobie jedno
istotne pytanie: i gdzie ja to
mogę kupić? Czyli: gdzie są
dresy z „Dresso”? Najpewniej
poszukali odpowiedzi „u źró-
dła” i stąd moja wizyta u dy-
rektora WŁODZIMIERZA WĘ-
GLARCZYKA, szefa Zakładów
Przemysłu Dzielniarskiego
„DRESSO”.

— Co by pan musiał mieć,
jaki surowiec, by uszyć dla nas
podobny?

— Mam zacząć marzyć? No
to oderwijmy się od szarej
rzeczywistości. Gdybym miał
choćby elastil dokręcony, po-
dwojny plus przód z bawełny
długowłóknistej plus wysokiej
jakości barwniki i chemikalia
do prę wykończonych... —
moglibyśmy z powodzeniem mieć
dresy i w ogóle sportowe stro-
je na najwyższym, światowym
poziomie.

— Zaraz, zaraz, to tego „do-
kręconego, podwójnego” nikt
nie jest w kraju w stanie wy-
produkować?

— Jak dotychczas — nie. A
decyduje o tym przede wszyst-
kim zdekapitalizowany park
maszynowy. Ale kooperujemy
z wieloma producentami prze-
dzy w kraju i — próbujemy.

— Miedzy innymi łódzka „Bisto-
na” będzie nam dawała wspo-
mniany elastil wyższej jakości.

— Przepraszam, ale to prze-
cież są włókna sztuczne?

— Oczywiście! A myśl
pan, że Adidas nie ko-
rzysta ze sztucznych? Ze
sama, czysta bawełna?

— Skądże! Bistor czy inne do-
mieszki są niezbędne, oczywi-
ście, w niewielkim procencie,
aby na przykład wspomniany
dres miał odpowiedni stopień
kurczliwości. Inna rzecz, i o
to cała sprawa się rozbiła, że
ten bistor ich i nasz to niebo i
ziemia. No ale udało się i nam
trochę poprawić jakość su-
rowca i właśnie pierwsza du-
ża partia dresów pojedzie je-
sienią do Anglii.

— Dyrektor Węglarczyk prze-
prasza na chwilę. Chyba jakaś
poważna historia, bo uważny,
a nawet — przejęty wysłucha-
je czyjejś telefonicznej relacji,
po czym rzuci krótko: — Za-
raz tam będę! I do mnie: —
Droślowie parę minut, prze-
prasza.

— Czekając na gospodarza prze-
rzućmy ciekawą broszurkę. Wy-
dana cztery lata temu, z okazji
100 lat istnienia zakładu. A by-
ła to wówczas „Parowa Fabry-
ka Wyrobów Trykotowych o-
raz Fantazyjnych” i mieściła

— I uszyje pan dres nieczym
u „Adidasa” czy „Pumy”?

— Bez żadnych problemów.
Z wykonaniem — nie byłoby
ich. Naprawdę. Szyliśmy nie
Hirsberg i Wilczyński, a symbolem
didas, bo dla ekskluzywniej, firmy
— nazwisko przyciąga-

— To on miał być
gwiazdą Wimbledo-
nu.

— To jego zdjęcie
reklamowały impreze,
a nazwisko przyciąga-

NUMER 39 (1539)

ROK XXX

26 WRZEŚNIA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

- Jak kierować i przewodzić? — str. 3
- Bywają czasem śluby zabawne — str. 5
- Nie była to równa walka — str. 6
- Co znaczy wygrać Wimbledon? — str. 1 i 13
- Wideonotes dla wideomanów — str. 12

Na całym świecie nie ma im-
prezy podobnej do Wimbledo-
nu — twierdzą Anglicy i chy-
ba mają rację. Przez dwa ty-
godnie od 22 czerwca do 5 lip-
ca 1987 r. na trawiastych kortach
Wimbledonu trwało nie-
przerwane święto tenisa. Fana-
tycy tego sportu zjechali z ca-
łego świata. Bilety na cztery o-
statnie dni, w których rozgry-
wano mecze finałowe rozprze-

Specjalność: truskawki ze śmietaną i szampan.

Co to znaczy, wygrać Wimbledon?

ZOFIA KĘDZIORA



Ivan Lendl

— dane były na około dwa miesią-
ce przed rozpoczęciem imprezy.
Każdego dnia, począwszy od
pierwszej rundy mecze cieszy-
ły się niesłabnącym powodze-
niem. Codziennie przybywał na
Wimbledon tłum kibiców.

Najwygodniej dojechać tam
metrem do stacji Southfield lub
Wimbledon, bo stamtąd już na
teren kortów dowoziły chętnych
specjalne autobusy. Wiem z do-
świadczenia, że lepiej nie przy-
jeżdżać samochodem, bo można
narazić się wieczorem, po za-
kończeniu rozgrywek na o-
gromne korki.

Teren, na którym zorganizowa-
ne są mistrzostwa jest bar-
dzo rozległy. Oprócz kortów:
centralnego (może pomieścić po-
nad 25 tysięcy widzów) i ozna-
czonego numerem 1, na których
odbywają się najważniejsze spo-
tkania, jest jeszcze kilkanaście
innych. Jest oprócz tego dosko-
nale przygotowane na przyjęcie
wielotysięcznego tłumy kibiców
— zapewnienie im rozrywki,
czegoś do zjedzenia i wypicia.

Mecze rozpoczynają się o
12.30, a finałowe o 14.00, ale
publiczność na teren Wimbledo-
nu przybywała już od rana.
Panowała atmosfera garden-par-
ty. Przed meczami można było
kupić sobie coś do zjedzenia i
jeżeli ktoś miał tylko na to o-
chotę rozkładać się na trawie,

na specjalnie do tego przygo-
towanych miejscach piknikowych.
Specjalnością Wimbledonu stały
się truskawki ze śmietaną i
szampan. W 1986 roku widzowie
skonsumowali 18 ton truskaw-
ek i 12 tysięcy butelek szam-
pana.

Czas oczekiwania na rozpo-
częcie rozgrywek można było
również poświęcić na przejrze-
nie podręcznika Iwana Lendlia,
w jaki sposób opanować grę w
tenisa w 14 dni, bo na terenie
Wimbledonu oprócz okoliczno-
ściowych drobniaków, jak na
przykład zdjęcie ulubionego za-
wodnika lub koszulka z nadru-
kiem, można było zaopatrzyć się
we wszystkie wydawnictwa do-
tyczące tenisa.

Często rano, jeżeli komuś tak
jak mnie dopisało szczęście,
można było obejrzeć trening
swojego faworyta. Zupelnie nie-
spodziewanie wśród wałęsają-
cych się widzów pojawił się
Ivan Lendl z partnerem. Zajeli
kort nr 4. Zaraz wokół zebrał
się tłum, aparaty fotograficzne
cykały bez przerwy. Przez go-
dzinę trwał trening.

Ivan Lendl, elegancki, w fir-
mowym stroju firmy Adidas nie
robił sobie z zachwyconego
nim tłumy. Dał prawdziwy po-
pis gry, nie bez powodu okre-
ślany jest jako „maszyna do
gry w tenisa”. Lendl podobno

nie jest lubiany przez tenis-
istów, a już na pewno nie cie-
szy się sympatią prasy. Ktoś
napisał, o nim, że wygra Wim-
bledon, jeżeli tylko nauczy się
uśmiechać. Jednak na treningu
był bardzo zrelaksowany, za-
tował i często się uśmiechał,
widziałam to na własne oczy.
Po zakończeniu treningu opu-
ścił kort pod ochroną czterech
strażników, bo pewnie samemu
nie udało mu się przebić bez
szwanku przez tłum.

Wśród widzów na Wimbledo-
nie wielu jest takich, którzy
„połują” z aparatem fotograficz-
nym na różne znakomitości.
Zawsze duży tłum zbiera się
przed wjazdem do sektora na
korcie centralnym zarezerwo-
wanym dla rodziny królewskiej.

Mistrzostwa na Wimbledonie
są imprezą wyjątkowo uzależ-
nioną od pogody. Pierwszy ty-
dzień tegorocznych rozgrywek
niekał grających, publiczność i
organizatorów ciągły mi przysni-
cami z nieba. Dopiero w dru-
gim tygodniu dopisała pogoda,
świeciło wspaniałe słońce, cza-
sami nawet zbyt mocno.

To on miał być
gwiazdą Wimbledo-
nu.

To jego zdjęcie
reklamowały impreze,
a nazwisko przyciąga-

13

7

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca-redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grzyzna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz
Szymbański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białejewski,
Bohdan Gadomski, Jacek
Głębski, Witold
Kasperkiewicz,
Andrzej Kempa,
Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzemiński,
Marek Mamos, Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Stryski, Maciej Świerkocki,
Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”
91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”
Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kane na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
opłacają prenumeratę w urzęd-
ach pocztowych i u doręczycieli.
Osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach Od-
działów RSW „Prasa — Książ-
ka — Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawco-oddawczych
właściwych dla miejsca zamiesz-
kania prenumeratora. Wpłaty do-
konuje się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictwo ul. Towarowa 28
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11 Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
poczta zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zleca-
jących instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastep-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
porozdzielającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 2935. H-3.

Przegląd prasy

W połowie kwietnia 1987 ro-
ku odbyło się niezwykle in-
teresujące spotkanie dialogo-
we chrześcijan i marksistów
zorganizowane przez redakcję
miesięcznika „CZŁOWIEK I
ŚWIATOPOGLĄD” (nr 6).
Uczestniczyli w nim: dr Ry-
szard Banański — Akademia
Nauk Społecznych PZPR, prof.
dr hab. Tadeusz M. Jaroszew-
ski — redaktor naczelny „Czło-
wieka i Światopoglądu”, ks.
prof. dr hab. Stanisław Ko-
wałczyk — Katolicki Uniwers-
ytet Lubelski, doc. dr hab.
Zachariasz Lyko — Chrześci-
jańska Akademia Teologiczna,
prof. dr hab. Tadeusz Płużański
— Polska Akademia Nauk,
prof. dr hab. Andrzej Sarapata
— Instytut Organizacji Zar-
ządzania i Doskonalenia Kadr,
doc. dr hab. Helena Strzeżni-
ska — Instytut Pracy i Spraw
Społecznych, doc. dr hab. Maria
Szyzowska — Wyższa Szkoła
Pedagogiczna w Kielcach i
Uniwersytet Warszawski, ks.
prof. dr hab. Tadeusz Ślipko
— Akademia Teologii Katolic-
kiej, doc. dr hab. Dionizy Ta-
nański — Akademia Nauk Spo-
łecznych PZPR, red. Andrzej
Wielowieyski — redakcja „Wię-
zi”, red. Józef Wolkowski —
Instytut Wydawniczy PAX,
red. Janusz Zabłocki — Ośrodek
Dokumentacji i Studiów Spo-
łecznych.

Wymienieni chrześcijanie i
marksisti dyskutowali na te-
mat „Etos pracy — etos czło-
wieka”. Wszyscy byli zgodni, że
pracujemy źle; że w Polsce
Ludowej nastąpił głęboki

UPADEK ETOSU PRACY.

Praca jest doceniana u nas
tylko w ideologii. Wysoko lo-
kuje ją w hierarchii wartości
zarówno marksisti, jak i katol-
icy. Natomiast w praktyce
mamy do czynienia przeważnie
z pracą fatalnie zorganizowaną
i przynoszącą małe efekty.
Taka praca jest nie tylko nie-
szczęściem ekonomicznym, lecz
także źródłem demoralizacji.
Józef Wolkowski mówił:
„Praca nasza — jak wręcz
mówią niektórzy — jest chora,
jest ulomna. Ten bakcył cho-
roby, fałsz naszej pracy jest
zarazliwy. Promieniuje — u-
jemnie — na całość organizmu
społecznego. Dezorganizuje ży-
cie materialne społeczeństwa i
wykoślawia, okalecza je mo-
ralnie. A więc z jednej
strony — podniosłe mo-
ralnie, różnorodnie uzasadnio-
ne, humanistyczne, antropo-
twórcze, kreacyjne etc. warto-
ści pracy, a z drugiej strony
— degradacja człowieka przez
złą pracę. Jest to paradoks,
który powinien głęboko nie-
pokoić zarówno marksistów,
jak i chrześcijan. Wymaga on
wnikliwej, wszechstronnej a-
nalitycznej, ale wymaga też sku-
tecznych działań praktycznych,
które by przerwały ten kom-
promitujący łańcuch ulom-
ności naszej pracy, kompromi-
tujący zarówno socjalistyczne
założenia ustrojowe, jak i sku-
teczność oddziaływania chrze-
ścijańskich, marksistowskich i
wszelkich innych zasad mo-
ralnych”.

Zdaniem Andrzeja Wielo-
wieyskiego nie umiemy efek-
tywnie pracować m.in. z po-
wodu tradycji chłopskich i
szlacheckich. W społeczno-
ściach tradycyjnych domino-
wał etos przetrwania, a nie
dynamizmu, nowości, przed-
sięwziętości. Najbardziej ży-
wnym wzorem współ-
czesnej kultury polskiej jest
prawdopodobnie osobowość
„technika-ciwaniaczka”. Bra-
kujący w sferze produkcji
zmysł przedsiębiorczości od-
najdujemy w dziedzinie kon-
sumpcji. Życie nasze nasta-
wione jest na to, żeby coś
znaleźć i kupić.

Ksiądz Tadeusz Ślipko uwa-
ża, że nie tylko elementy us-
trojowo-polityczne degradu-
ją pracę w Polsce. Są też inne
istotne determinanty. Nie wie-
rzy on w istnienie nieodwrac-
alnego charakteru narodowe-
go, ale dostrzega głęboko za-
korzenie w psychice dys-
funkcyjne postawy.
„Wydaje mi się jednak, że
szczególnie na odcinku pracy
działają w społeczeństwie pol-
skim pewne dość powszechne
duchowe nastawienia i skłon-
ności, które wykraczają poza
ustrój i sytuację historyczną.
W sprzyjających im warun-
kach dochodzą one do głosu i

potęgą negatywne procesy
lekceważącego stosunku do
pracy, niedbałości i partactwa
w jej wykonywaniu, niechęci
się z jej ogólnospołeczny-
mi i indywidualnymi następ-
stwami, ale też złej organiz-
acji, ambicjonalności czy nie-
frasobliwości w zarządzaniu i
tym podobnych objawów. Są-
dząc, że dowodów na potwier-
dzenie tej diagnozy w wystar-
czającej ilości dostarcza nam
nasze własne codzienne do-
świadczenie”.

PRZYCZYNY ZŁEJ PRACY

mają więc charakter obiek-
tywny i subiektywny. Należy
ich szukać w układach gospo-
darczych, społecznych i po-
litycznych oraz w naszych
strukturach osobowościowych,
własnych postawach i zacho-
waniach. „Można przypuszczać,
że gdyby w naszych współcze-
snych warunkach ustroj-
owych znalazło się społeczeń-
stwo o innych predyspozycjach
duchowych, społeczne efekty
pracy zawodowej byłyby też
inne”.

Uczony katolicki wskazuje
ponadto na regionalne uwarun-
kowania etosu pracy. Jeśli
naprawdę lepiej pracują Po-
lacy w Wielkopolsce, to zna-
czy, że w tym samym naro-
dzie mamy różne ekipy pracow-
nicze.

Nie zgadza on się z tezą A.
Wielowieyskiego, że mądry
probošcz w obecnych warun-
kach nie będzie nawoływał do
lepszej pracy. Nie ma dziś rze-
czywiście szans powodzenia
stereotypowe moralizatorstwo,
ale można w inny sposób tra-
fić do świadomości wiernych.

„Niedobry to ptak — czyta-
my — co własne gniewa kła-
de, ale jako ksiądz odnoszę wra-
żenie, że za mało mówi się u
nas w kazaniach i innych o-
kolicznościach o konkretnych
zagadnieniach życia, wśród
nich o obowiązkach pracy, za-
często natomiast poprzestaje się
na sprawach ogólnych lub
wzręcz ogólnikowych”.

Ksiądz Stanisław Kowal-
czyk podkreślił, że upadek e-
tosu pracy jest elementem
szerszego kryzysu wartości
fundamentalnych. Na tempo i
jakość pracy negatywnie wpły-
wa system własności i motyw-
acji, sposób traktowania pra-
cowników, brak poczucia pod-
miotowości, niski poziom orga-
nizacji i zarządzania. W ekipie
nie rządzącej potrzebni są nie
tylko ludzie z tytułami profe-
sorskimi, co technokraty po-
dobni do Eugeniusza Kwiat-
kowskiego i Władysława Grab-
skiego.

„Chory jest w Polsce nie
tylko etos pracy — powiada
profesor KUL — ale i jej lo-
gos. Niszczy go «woluntaryzm»
apodyktycznych decyzji, biu-
rokracja, brak zdrowej rywa-
lizacji, marazm uspołecznio-
nych struktur, brak awansu dla
najbardziej uzdolnionych lu-
dzi. Absurdy ekonomiczno-
społeczne i administracyjne
oraz nieudolność organizacji
pracy wielokrotnie zniechęca-
ją ludzi. Rozumna organizacja
pracy zawsze wyzwala energię
i sprzyja etosowi pracy. Roz-
um winien również kierować
pracą w skali makrospołecznej,
mianowicie: rozum techniczny,
ekonomiczny, pragmatyczny”.

Adam Sarapata podał cieka-
we wyniki badań socjologicz-
nych. Okazuje się, że tylko 25
proc. pracowników mówi o
twarci kierownictwu, co jest
złe. Zaledwie 17 proc. uważa,
że krytykowanie kierownictwa
zakładów jest skuteczne. W
tej sytuacji rodzi się apatia i
zniechęcenie. W demokratycz-
nym systemie biurokratycznym
wydajność pracy jest wyższa o
około 50 procent.

W licznych dyskusjach na
temat etosu pracy w naszym
kraju pojawiają się różne u-
proszczenia. Ryszard Banański
zwrócił uwagę na niektóre dość

POPULARNE MITY.

„Jeden z mitów wyraża się
w opinii, że wysoka wydaj-
ność pracy i jej pożądaný etos
kształtują się wyłącznie w se-
ktorze prywatnym. A przecież
zarówno w tym sektorze, jak
i w gospodarce uspołecznionej,
obok pracy rzetelnej występu-
ją różne patologie pracy. (...)”
Czy pracownik najemny w
prywatnym zakładzie ma rze-
czywiście poczucie, iż pracuje
«na swoich», czy współdecydu-
je o procesie wytwarzania?
Bardzo niepokojącym mitem
jest teza, iż podstawowym
środkiem uzdrowienia etosu
pracy powinno być bezrobocie.
W społeczno-etycznej ocenie
bezrobocia opinie marksistów

i chrześcijan są niemal t-
dentyczne. Jest to bardzo ko-
rzystna przesłanka do walki z
mitem bezrobocia jako re-
medium na bolączki polskiej
pracy. Trzeba poszukiwać in-
nych metod poszanowania pra-
cy i jej dyscyplinowania, me-
tod odpowiadających ideałom
socjalizmu i godności ludzkiej.
Wiele mitów krąży o pracy
Polaków za granicą. Kształtu-
je się nawet taki styl myśle-
nia, że Polak ma szansę na
dorobienie się, jeśli wyje-
dzie za granicę i tam podej-
mie jakąkolwiek pracę. Za-
pomina się przy tym, że są
to na ogół prace krótkotrwałe,
że osiąga się wysoką wydaj-
ność i relatywnie korzystne
zarobki, żyjąc tylko dla pra-
cy, redukując do minimum
swoje potrzeby życiowe”.

Tadeusz Płużański z kolei
zauważył, że encyklika Jana
Pawła II „Laborem exercens”
powstała w znacznym stopniu
z inspiracji marksizmu. Zasa-
dnicza jej myśl o antropo-
twórczej roli pracy pochodzi
niezwykle z materializmu
historycznego Karola Marksa.
Tak samo idea podmiotowego
traktowania robotnika poja-
wiła się wcześniej w pracach
marksistowskich. Nie można
więc tu mówić o pierwszeń-
stwie papieża i Kościoła.

Gospodarz spotkania Tade-
usz M. Jaroszewski stwierdził,
że odrodzenie etosu pracy
wymaga radykalnej przebudowy
systemu oświaty, zmian
w szkolnictwie ogólnym i za-
wodowym oraz formach
kształcenia ustawicznego. Po-
stęp ekonomiczny nie będzie
możliwy bez wszechstronnego
rozwoju osobowości. Rewo-
lucji strukturalnej musi towa-
rzyszyć rewolucja moralna.

Na temat aktualnej sytuacji
oświaty oraz potrzeby zmian
w nauczaniu dyskutowano o-
statnio w redakcji tygodnika
„ODRODZENIE” (nr 38). Wy-
powiedzieli się osoby w pełni
kompetentne: prof. dr hab.
Mikołaj Kozakiewicz i dr
Franciszek Januszkiewicz —
członkowie Komitetu Ekspert-
ów do Spraw Edukacji Naró-
dowej, prof. dr hab. Tadeusz
Wieczorek — wiceminister o-
światy i wychowania, Zbigniew
Cierpka — wiceprzewodniczą-
cy OPZZ, członek Prezydium
Komitetu Wykonawczego RK
PRON, Jan Zaciura —
wiceprezes Zarządu Głównego
ZNP i członek
Komitetu Ekspertów do
Spraw Edukacji Narodowej.
Dyskusję prowadził redaktor
naczelny Jerzy Grzybek.

Przedstawiciel ministerstwa
zgłosił się, że zmian w oświe-
cie nie można opóźniać do za-
kończenia prac ekspertów, ale
przestrzegając przed skutkami
nieprzemyślnych decyzji. Na-
tomist pozostali uczestnicy
podkreślali, że już teraz

POTRZEBA ZMIAN RADYKALNYCH.

Jerzy Zaciura powiedział, że
w działalności resortu oświa-
ty i wychowania dostrzega o-
gromną niesamowitość bądź ase-
kurację. Franciszek Janusz-
kiewicz oskarżył obecnego wi-
ceministra o zachowawczość.
Minister zaś bronił się, że
nie chodzi o zachowawczość,
lecz o poczucie odpowiedzial-
ności. W przeszłości popełnio-
no wiele błędów w polityce o-
światowej, których skutki na-
dal odczuwamy.

Bardzo krytycznie oceniono
aktualny stan naszej oświaty.
Już doszło do tego, zdaniem
J. Zaciury, że szkoły nikt wła-
ściwie nie lubi. Nie spełnia
ona oczekiwań młodzieży, ro-
diców i nauczycieli. Jest bo-
wiem źle zorganizowana i pra-
cuje w trudnych warunkach.
Marnuje talenty pedagogiczne
i zapal młodych nauczycieli.

„Pomijając już szkody pła-
nące z przecięcia uczniów —
mówił M. Kozakiewicz —
dla smaku nauki szkolnej i
jakości pracy nauczycieli, ist-
niejący stan rzeczy rujnuje fi-
zyczne i psychiczne zdrowie
młodzieży. Zapytanie lekarzy
z wojskowych komisji rekruta-
cyjnych, jak niepokojąco po-
garsza się stan fizyczny i ro-
śnie liczba «odrzutów» mło-
dzieży osiągniętej wiek pobo-
rowy. Zapytanie higienistów i
lekarzy szkolnych jak powsze-
chne są wady postawy wśród
dzieci”.

Wiceminister T. Wieczorek
podał, że w wyniku zmian
programowych obciążenie uc-
zniów szkół podstawowych
zmniejszyło się o 6 procent. Na
to prof. Kozakiewicz wyraził
obawę, czy szkoła w ogóle o-
dczuje tak minimalną redukcję.
Odczuwalny byłby dopiero 20
proc. wskaźnik oszczędności
czasu. Ministerstwo winno

działać odważnie i konse-
kwentnie. Tym bardziej, że
każda próba redukcji progra-
mu wywołuje stanowczy
sprzeciw zainteresowanych na-
uczycieli. Przed laty historycy
podnieśli bunt, kiedy chcieli
wyrzucić z nauczania ich
przedmiotu Leszka Białego. Bez
tej postaci nie wyobrażali so-
bie historii Polski.

W dyskusji zdecydowanie o-
powiadano się za masowym
kształceniem społeczeństwa na
wyższym poziomie. Zbigniew
Cierpka zwrócił uwagę, że
pod względem rozmiarów
kształcenia średniego i wyż-
szego daleko odstawiamy od kra-
jów zachodnich i socjalistycz-
nych. Franciszek Januszkie-
wicz podał, że w tym roku
97,5 proc. absolwentów szkół
podstawowych będzie uczyć się
dalej, lecz z tego tylko 40
proc. w pełnych szkołach śre-
dnich, a reszta trafi na ślepy
tor zasadniczych szkół zawo-
dowych.

Z raportu ONZ o rozwoju
świata wynika, że w Polsce
kształci się na poziomie wyż-
szym (razem ze szkołami poli-
cealnymi) zaledwie 11 proc.
każdego rocznika. A jak to wy-
gląda w innych państwach?
Oto fragmenty wypowiedzi Mi-
kołaja Kozakiewicza:

„Chciałbym podkreślić, że z
wszystkich wymienionych w
tym raporcie 13 krajów niższy
wskaźnik od Polski ma tylko
Albania (6 proc.). Z innych
krajów Szwecja kształci na
poziomie wyższym 33 proc.
młodzieży, RFN — 30 proc.,
Stany Zjednoczone — 58 proc.,
Związek Radziecki — 21 proc.,
Węgry — 14 proc. A jeszcze
w latach 60. nasz kraj znajdował
się pod tym względem w zo-
łowcu europejskiej. To naj-
lepiej przykładać jak dalece
cofaliśmy się w zakresie kształ-
cenia na poziomie wyższym”.

Pod koniec dyskusji wi-
ceminister Tadeusz Wieczorek
poinformował, że 54 proc. bu-
dynków należących do oświa-
ty pochodzi sprzed 1945 roku.
W dodatku udział nakładów in-
westycyjnych w ostatnich
dwóch dekadach stale malał.
Pocieszający jest fakt, że w
tym roku płace nauczycieli
wzrosły o 24,7 proc. Choć na-
dal nie są atrakcyjne, to je-
dnak jest to najwyższa pod-
wyżka od 1971 roku.

UCZNIOWIE NASZYCH SZKÓŁ

bezpośrednio doświadczają
kiepskiej kondycji systemu o-
światowego. Większość z nich
uczy się przyzwolenie i solid-
nie chodzi do szkół. Co myś-
lą

W najbliższych numerach „Odgłosów”

- W charakterze Francuzów uderzają liczne sprzeczno-
ści. Przy każdej okazji stawiają opór władzy, lecz
szanują potęgę państwa. Kpią sobie z protokołu, lecz
lubią republikański ceremonial. W odstępach mniej-
więcej 10-letnich wybuchają (1936 — 1946 — 1956
— 1968 — 1981) i zwracają się ku lewicy, lecz napra-
wadę są konserwatystami. Francuzi to najbardziej zdy-
scyplinowani buntownicy — pisze EDMUND LE-
WANDOWSKI.
- Trzy i pół roku temu alkohol wykreśliłem ze swego
jadłospisu. Lepiej się teraz czuję, ale nudniej —
mówi popularny aktor BOGDAN ŁAZUKA.
- Piosenkarka tragiczna. Bardzo młoda, w nędzy, bez
domu, urodziła córkę. Nosila ją ze sobą po podwó-
rzach, gdy śpiewała pod oknami — i tak zaczynała
swą karierę EDITH PIAF.
- Kiedy oskarżono o szpiegostwo marszałka Tuchaczew-
skiego i innych sławnych dowódców, Aleksander Fa-
diejew uwierzył w to. Zobaczyć bowiem w spisie sę-
dziów nazwiska Pawła Dybienki i Wasilija Blüche-
ra oraz wielu, wielu innych... — materiał z tygo-
dnika „Ogoniok” o losach i tragicznej śmierci wybit-
nego pisarza radzieckiego, autora „Młodej Gwardii”.
- Prezes Łódzkiego Klubu Jeździeckiego w Łagiewni-
kach twierdzi, że za dużo w tym klubie rozrabia-
czy, a za mało działaczy — reportaż MARKA KOPROW-
SKIEGO.
- W górskim miasteczku Puquio spotykamy nieoczeki-
wanie Polaka. Jego historia jest absolutnie romanti-
czna, jak z bajki. Dostał od kolegi adres dziewczyny,
napisał, otrzymał odpowiedź i wybrał się na drugą
półkulę, aby wziąć ślub — korespondencja RYSZA-
DA NAKONIECZNEGO z Peru.
- Kolejne odcinki powieści ANATOLIIA RYBAKOWA
„Dzieci Arbatu” oraz nowa powieść LEONARDA
„Matnia”.

Revolucjonistom wydawało się, że wystarczy dokonać rewolucji, obalić burżuazję, zabrać jej władzę, chłopom dać ziemię — jeśli to było konieczne — robotnikom fabryki, znieść wyzysk człowieka przez człowieka i świat automatycznie zmieni się na lepsze. Mało świat — ludzie też się zmieniają. Z powierzchni ziemi zniknęły wszelkie zło, wszelkie społeczne plagi, jak choćby prostytucja i złodziejstwo. Ba! Zniknęły też choroby. Nowe społeczeństwo będzie zdrowe tak moralnie, jak i fizycznie. Nastąpi całkowite odrodzenie.

Rzeczywistość porewolucyjna okazała się bardziej skomplikowana i różnicowana od tych romantyczno-rewolucyjnych wyobrażeń. Ludzie się zmienili, wbrew oczekiwaniom, zło nie zniknęło. Nie nastąpiło odrodzenie. Wówczas postanowiono udawać, że nie ma tego, czego miało nie być. Pierwszą publikacją o prostytucji pojawiła się w Polsce dopiero po 1956 roku, kiedy okazało się, że prawa rozwoju społecznego nazwane materializmem historycznym dotyczą nie tylko kapitalizmu, ale i socjalizmu, chociaż przyznawano to niechętnie i nadal udawano, że sprzeczności w socjalizmie nie występują. A występowały. Prawdę o sprzecznościach wysiępujących w socjalizmie zastąpiła teoria o zastraszającej się walce klasowej. Odchodzenie od tej teorii i powracanie do marksistowskiej odceny prawidłowości rozwoju społecznego jest długie i skomplikowane. A także niełatwe.

Niezbędne jest w tym celu zbiorowe myślenie — rzeczowa, konkretna i odważna dyskusja. Partia dysponuje różnymi formami wypowiedzi — jak choćby na łamach pism teoretycznych — w ramach których mogłaby toczyć się taka dyskusja. Udział w niej powinni brać nie tylko zawodowi teoretycy: filozofowie, historycy, socjologowie i tak dalej, ale również — a może nawet przede wszystkim — praktycy: działacze partyjni różnych szczebli, publicyści, przedstawiciele różnych zawodów.

2.

Pamiętam czas, gdy w ogniu dyskusji i sporów powstawała Deklaracja Ideowa PZPR „O co walczymy? Dokąd zmierzamy?”. Dziś już mało kto o tej Deklaracji pamięta. Próbowałem ją odnaleźć w jednej z bibliotek zaopatrzonej biblioteczce poza Łodzią i nie znalazłem. Wszyscy pamiętali, że „coś takiego” było, ktoś miał ją nawet w ręku, ale „gdzieś się zapodziało” i nie dało się jej odnaleźć.

Albo wówczas, gdy ta Deklaracja powstawała, ludziom naprawdę zależało na tym, aby znaleźć wspólnie najbliższą prawdę i obiektywną rzeczywistość, odpowiedź na nurtujące ich pytania. Oni chcieli koniecznie wiedzieć „dokąd zmierzamy?” i szukali na to pytanie odpowiedzi.

Deklaracja ta — jak pamiętam — nikogo nie zadowoliła, gdyż zadowolić nie mogła. Partia była podzielona i dyskutujący pragnęli, aby odpowiedź dana na nurtujące wszystkich pytania była po ich myśli. Skoro jednak takich myśli było wiele, niemożliwością było uzyskanie jednej tylko odpowiedzi i żeby ta odpowiedź w jednakowym stopniu zadowoliła wszystkich. Ale mimo tego, że wszyscy z tej Deklaracji byli niezadowoleni, to przecież spełniła ona pozytywną rolę. Nie tylko, że pobudziła ludzi do myślenia, do szukania odpowiedzi, ale pozwoliła też ujawnić stan świadomości politycznej i ideowej partii. Pozwoliła ustalić, co w tej różnorodności poglądów i stanowisk łączy partię, a co dzieli. Zmusiła do postawienia szeregu ważnych nie tylko wówczas, ale i do zbiorowego skutkania na nie odpowiedzi.

Wówczas najważniejszym pytaniem było: w jakim miejscu, na jakim etapie jesteśmy i dokąd zmierzamy? Było to najsłabsze ujęcie pytania o przyszłość. Było to wyrażenie zaniepokojenia, czy dokonywane zmiany, reformy nie cofają Polski, czy przyczyniają się do postępu w rozwoju socjalizmu?

Pełną odpowiedź przyniósł „Program Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej” uchwalony przez X Zjazd PZPR w lipcu 1986 roku: „Kraj nasz znajduje się w końcowym stadium okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu. W najważniejszych dziedzinach życia stworzone zostały podstawy socjalizmu. Dominuje w Polsce socjalistyczny sposób produkcji. Socjalistyczny charakter ma ustrój polityczny. Partia marksistowsko-leninowska sprawuje w państwie funkcję kierowniczą. Polska jest trwałym ogniskiem systemu państw socjalistycznych.”

Jednakże stopień zaspokojenia zmian ustrojowych jest nierównomierny zarówno w bazie, jak i nadbudowie. Obok własności społecznej, która ma rozstrzygające znaczenie, istnieje prywatna własność — środków produkcji, przede wszystkim drobnych producentów w rolnictwie i rzemiośle, a także w niewielkiej skali — własność drobnokapitałowa. Na tym gruncie utrzymują się różnice, a nawet sprzeczności interesów.”

Forma własności — państwowa czy prywatna — budzi niewątpliwie emocje, rodzi niepokój. Niebawem uczelnia jestem bowiem na wszelkie przejawy niesprawiedliwości społecznej. A ta najdotkliwiej dziś wyraża się w dostępie do różnego rodzaju dóbr materialnych. Ten łatwy i szeroki dostęp do dóbr materialnych — jak się niektórym wydaje — ułatwia niewątpliwie prywatną własność środków produkcji. Prywatnicarstwo robi złote interesy i im się dobrze powodzi — także jest niemal powszechne przekonanie. I jest w tym wiele prawdy, choć nie cała.

Łatwy dostęp do dóbr materialnych mają również wszelkiego rodzaju kombinatory, cinkciarze, malwersanci, przemysłowcy, melinierze, złodzieje na wielką skalę i tak dalej. I to jakości umyka z pola widzenia powszechnego przekonania. Jak również to, że u nas nadal pracą — mimo szeregu prób zmiany tej sytuacji — nie odpowiada płacy i odwrotnie: płaca nie zawsze odpowiada pracy.

Ocenę miejsca i roli sektora prywatnego w socjalistycznej gospodarce — choć wprawdzie marginesowo — sformułował Janusz Reykowski w bardzo interesującym artykule: „Czy socjalizm jest psychologicznym nieporozumieniem?” drukowanym w numerze 6 „Nowych Drog”. Napisał on:

„Stworzenie pola działania dla tego sektora wiąże się z faktem, że w pewnych obszarach i skalach produkcji sektor ten lepiej wykorzystuje

siły wytwórcze niż inne sektory. Biorąc pod uwagę fakt, że dzieje się to w ramach stworzonych przez socjalistyczne państwo, znaczy to, że w ten sposób powstają możliwości spożytkowania energii, pomysłowości, a także środków posiadanych przez indywidualne osoby na rzecz rozwoju gospodarki socjalistycznej i zaspokojania potrzeb społecznych. Trudno wobec tego uważać go (jak to czynią zwolennicy ortodoksyjnego stanowiska) za antysocjalistyczny”.

Albo pytanie o rolę i miejsce własności prywatnej środków produkcji w socjalistycznym państwie — choć niewątpliwie bulwersujące — nie należy do najważniejszych pytań współczesności. Do takich pytań zaliczyłbym mianowicie pytanie o sposób spełniania kierowniczej, przewodniej i służebnej roli partii w społeczeństwie polskim końca lat osiemdziesiątych. Do takich pytań zaliczyłbym też pytanie o skuteczność sposobów zarządzania gospodarką powstających w wyniku przeprowadzanych z różnym skutkiem reform gospodarczych. A także pytanie o racjonalność i skuteczność współzależności państw socjalistycznych w ramach wspólnoty socjalistycznej.

3.

Istniejący do dziś system zarządzania gospodarką i życiem społecznym ukształtował się pod koniec lat czterdziestych w wyniku walki z „odchYLENIEM” „prawdowo-nacjonalistycznym” i stał się kopią systemu zarządzania obowiązującego w ZSRR. System ten był wielokrotnie reformowany — nieskutecznie i niekonsekwentnie zresztą — zmieniający i usprawniany. Odbywało się to najczęściej w wyniku wybuchu

wszystkim minoło wiele czasu od „okresu błędów i wypaczeń” i pojawiło się kilka wstępnych publikacji na ten temat, pojawiły się dokumenty dotyczące tamtego okresu. Można na ten okres spojrzeć z koniecznej perspektywy czasu, co eliminuje emocje i uproszczenia.

Albo przede wszystkim socjalizm tak rozwinał się ilościowo, że stał przed koniecznością dokonania zmian jakościowych, rewolucyjnego skoku. Otóż — moim zdaniem — takiego skoku nie dokona się w pełni, jeśli nie dokona się jednocześnie głębokich zmian w społecznej świadomości. Doskonale rozumieją to inspiratorzy „pierestrojki”. Uważają oni, że dla stworzenia sprzyjających warunków dla wyzwalań inicjatyw, dla twórczych poszukiwań, przezwyciężania wszelkich form skostnienia, potrzeba przede wszystkim niezbędnych zmian w świadomości społecznej. Potrzeba wytworzenia powszechnego przekonania, że zmiany są konieczne, że bez nich nie nastąpi niezbędny i oczekiwany dalszy rozwój wszelkich dziedzin życia w ZSRR.

Te niezbędne zmiany w świadomości można uzyskać głównie poprzez rzetelną, konkretną, a nie ogólnikową analizę przeszłości, poprzez rzetelną marksistowską rozrachunek z tą przeszłością. A w tej dziedzinie mamy spore zaniedbania. Częściej do tej pory posługiwaliśmy się ogólnikami niż konkretem. Może po części i dlatego, że nie wszystkie konkrety mogły być udostępnione do szerokiej nad nimi dyskusji. Ale nadchodził chyba czas, aby tak się stało.

4.

„Socjalizm — napisał w „Nowych Drogach” Janusz Reykowski — miał być realizacją wy-

Pytań jest wiele, ale które z nich jest najważniejsze?

Jak kierować i przewodzić?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

konfliktu społecznego i dokonywało się pod hasłem powrotu do leninowskich zasad życia tak w partii, jak i w społeczeństwie.

Nie dokonaliśmy dogłębnej, marksistowskiej, naukowej analizy okresu zwanego „stalinizmem”. Okres ten najczęściej nazywa się umownie „okresem błędów i wypaczeń”, co nieznacząco nie wyjaśnia i nie tłumaczy. Jest to jedynie wielkie pojemne hasło i nic więcej.

Tymczasem już na VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 roku Władysław Gomułka dał najkrótszą, lapidarną, ale wielce istotną definicję tego, co zwykliśmy nazywać „kultem jednostki”.

„Kult jednostki — powiedział wówczas Władysław Gomułka — to określony system sprawowania władzy, to określona droga zdążania do socjalizmu, przy zastosowaniu metod sprzecznych z socjalistycznym humanitaryzmem, z socjalistycznym poczuciem wolności człowieka, z socjalistycznym poczuciem praworządności”.

Albo Władysław Gomułka stał na stanowisku — co wówczas miało swoje uzasadnienie w sytuacji politycznej kraju i Europy Wschodniej — że nie należy wracać do przeszłości. Miniony okres został nazwany, ujemnie oceniony, trzeba zatem dążyć do rozwiązywania bieżących problemów, które były niebawem trudne i skomplikowane, a nie babrać się w przeszłości.

Na posiedzeniu plenarnym Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, 14 grudnia 1956 roku Władysław Gomułka tak ten pogląd uzasadniał: „...ażebymy przede wszystkim oderwali się już od przeszłości. Dlaczego nam się trzeba oderwać od przeszłości? Trzeba się nam oderwać — zdaniem moim — dlatego, że każde powracanie do przeszłości powoduje tylko jątrzenie sytuacji. A dokąd nie zlikwidowaliśmy atmosfery jątrzenia, partia nigdy nie będzie mogła pracować normalnie, partia nigdy nie powróci do takiego stanu jakiego wszyscy sobie na pewno życzymy i jak tego wymaga obecna sytuacja”.

I dalej w tym samym przemówieniu: „...trzeba oderwać się od tamtego przeszłego okresu, bo to jest tylko uoda na młyn przeciwnika, na młyn reakcji”.

Władysław Gomułka miał subiektywne — był przecież represjonowany w „okresie błędów i wypaczeń” i nie chciał się mścić — i obiektywne — na Węgrzech doszło do kontrrewolucyjnych wystąpień, wkroczył wojska radzieckie, premier Imre Nagy chciał wystąpić z Układu Warszawskiego — przesłanki, aby nie wracać do przeszłości. Dziś jest inna sytuacja. Przede

wszystkim minoło wiele czasu od „okresu błędów i wypaczeń” i pojawiło się kilka wstępnych publikacji na ten temat, pojawiły się dokumenty dotyczące tamtego okresu. Można na ten okres spojrzeć z koniecznej perspektywy czasu, co eliminuje emocje i uproszczenia.

Albo przede wszystkim socjalizm tak rozwinał się ilościowo, że stał przed koniecznością dokonania zmian jakościowych, rewolucyjnego skoku. Otóż — moim zdaniem — takiego skoku nie dokona się w pełni, jeśli nie dokona się jednocześnie głębokich zmian w społecznej świadomości. Doskonale rozumieją to inspiratorzy „pierestrojki”. Uważają oni, że dla stworzenia sprzyjających warunków dla wyzwalań inicjatyw, dla twórczych poszukiwań, przezwyciężania wszelkich form skostnienia, potrzeba przede wszystkim niezbędnych zmian w świadomości społecznej. Potrzeba wytworzenia powszechnego przekonania, że zmiany są konieczne, że bez nich nie nastąpi niezbędny i oczekiwany dalszy rozwój wszelkich dziedzin życia w ZSRR.

Te niezbędne zmiany w świadomości można uzyskać głównie poprzez rzetelną, konkretną, a nie ogólnikową analizę przeszłości, poprzez rzetelną marksistowską rozrachunek z tą przeszłością. A w tej dziedzinie mamy spore zaniedbania. Częściej do tej pory posługiwaliśmy się ogólnikami niż konkretem. Może po części i dlatego, że nie wszystkie konkrety mogły być udostępnione do szerokiej nad nimi dyskusji. Ale nadchodził chyba czas, aby tak się stało.

„Socjalizm — napisał w „Nowych Drogach” Janusz Reykowski — miał być realizacją wy-

wszystkim minoło wiele czasu od „okresu błędów i wypaczeń” i pojawiło się kilka wstępnych publikacji na ten temat, pojawiły się dokumenty dotyczące tamtego okresu. Można na ten okres spojrzeć z koniecznej perspektywy czasu, co eliminuje emocje i uproszczenia.

Albo przede wszystkim socjalizm tak rozwinał się ilościowo, że stał przed koniecznością dokonania zmian jakościowych, rewolucyjnego skoku. Otóż — moim zdaniem — takiego skoku nie dokona się w pełni, jeśli nie dokona się jednocześnie głębokich zmian w społecznej świadomości. Doskonale rozumieją to inspiratorzy „pierestrojki”. Uważają oni, że dla stworzenia sprzyjających warunków dla wyzwalań inicjatyw, dla twórczych poszukiwań, przezwyciężania wszelkich form skostnienia, potrzeba przede wszystkim niezbędnych zmian w świadomości społecznej. Potrzeba wytworzenia powszechnego przekonania, że zmiany są konieczne, że bez nich nie nastąpi niezbędny i oczekiwany dalszy rozwój wszelkich dziedzin życia w ZSRR.

szy stopień samozadowolenia: wszystko jest dobrze, idzie ku lepszeniu, rozwiązano, będzie rozwiązanie. Aż żal mi było słuchać biednej dziennikarki, która okazała się kompletnie bezradna wobec takiego gejezu optymizmu. Jakżeż ten optymizm daleki jest od rzeczywistości panującej na PKP. Coraz niebezpieczniej jest jeździć pociągami PKP, nie mówiąc już o brudzie i złym stanie taboru, a tu erupcja urzędowego optymizmu. Fajno jest! Chyba tylko w sprawozdaniach.

Co zrobić, aby odwrócić sposób patrzenia i rozumowania? Co zrobić, aby nie sprawozdanie było celem działania instytucji, ale faktyczny interes jej klienta, czy petenta? Co zrobić, aby cały ten nasz wspólnie podejmowany wysiłek nie szedł w próżnię niczym przysłowiowa para w gwizdek? Co zrobić wreszcie, aby ludzie do tego powołani — między innymi rekomendacją PZPR — rzeczywistości ponosili odpowiedzialność za swoje czyny i działania? Co zrobić, aby działanie instytucji, urzędów i przedsiębiorstw oprócz na faktycznym zaufaniu, a nie na nieustannej podejrzliwości i mnożeniu różnych form kontroli. Zaufanie zresztą kontroli nie przeszkadza i odwrotnie. Człowiek, który zaufania nie zawodzi, kontroli się nie boi. On nie musi na czas kontroli przysposabiać instytucji na wysoki polysk, co jest przecież powszechną praktyką i wszyscy o tym doskonale wiedzą: kontrolowani i kontrolujący.

5.

Myślę, że kluczem do sprawności naszego systemu zarządzania jest nie tylko rzeczowa analiza jego genety, ale może przede wszystkim rzetelne wypełnianie roli kierowniczej i przewodniej przez partię. Nie przez instancję partyjną, ale przez właściwą organizację partyjną. Słabość organizacji partyjnych powoduje, że ich funkcje, ich zadania przejmują instancje partyjne. Ktoś to przecież musi robić. Życie — jak wiadomo — nie znoś próżni. Jeśli nie my, to kto? Lepiej więc, żeby przewodnią rolę w fabryce spełniał instruktor KD PZPR niż młot.

„Program Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej” uchwalony przez X Zjazd PZPR w lipcu 1986 roku, próbuje syntetycznie sformułować istotę roli kierowniczej, przewodniej i służebnej.

„Taka jest rola partii — służebna, przewod-

nia, kierownicza: — służenie klasie robotniczej, ludziom pracy, narodowi oznacza nakaz ideowo-moralny;

— przewodzenie społeczeństwu — to zdolność pozyskiwania zaufania, trwała więź z masami, stałe potwierdzenie swej wiarygodności;

— kierowanie państwem stanowi historyczną konieczność na drodze budownictwa socjalistycznego.

Funkcje te pojmujemy i realizujemy nieroz-

łącznie. Ale funkcje te mogą spełniać jedynie takie organizacje, które nie sformalizowały swą działalność, które mają rzeczywisty autorytet w środowisku, które przede wszystkim starają się w każdej sprawie mieć swoje stanowisko, nawet gdyby się z tym stanowiskiem nie liczone, które gotowe są bronić swego stanowiska przy pomocy racji, argumentów i faktów.

Co dzieje się natomiast, gdy podstawowe organizacje partyjne swoich funkcji nie wypełniają? Wtedy aparat wykonawczy instancji partyjnej przejmują te funkcje na siebie, szybko dochodzi do przekonania, że jest niezastąpiony i zna się na wszystkim, przestaje się liczyć nawet z tymi POP, które starają się swoje funkcje należycie wykonywać, odrywa się od podstawowych organizacji partyjnych i następuje kolejne „odejście od leninowskich norm życia partyjnego”.

W partii — podobnie jak i w innych dziedzinach życia — nie może następować wymiana kryteriów. Kryteria uboczne — kwiecista sprawozdawczość i dyspozycyjność wobec instancji nadrzędnych — nie mogą zastępować kryteriów centralnych, które w cytowanym „Programie” ujęto następująco: „Partia działa i będzie działać z ludźmi, przez ludzi i dla ludzi”. Spełnienie tego kryterium wymaga, aby każdy członek PZPR nie tylko umiał realizować linię i politykę partii w środowisku, fabryce, instytucji i miejscu zamieszkania (!), ale również, aby umiał jej wszędzie tam bronić. Tak on sam, jak i jego organizacja. Bez takich podstaw daleko nie ujedziemy!

6.

Każdy z krajów socjalistycznych realizuje podstawowe zasady socjalizmu w specyficznych warunkach, jemu tylko właściwych. Dokonuje się to przy jednoczesnym stałym zagrożeniu ze strony imperializmu, choć w interesie świata, jako całości, leży raczej współdziałanie i współistnienie państw o różnych ustrójach. I chociaż wśród różnych państw występują silne niekiedy sprzeczności interesów, to przecież mogłoby się wydawać, że postęp integracji wśród państw socjalistycznych będzie szybszy i silniejszy niż wśród państw kapitalistycznych. Rzeczywistość już wyraźnie pokazała, że i wśród państw socjalistycznych może dojść do antagonizacyjnej sprzeczności interesów, co miało swego czasu miejsce na pograniczu Chin i ZSRR. Alieci państwa realizujące „wyższe formy życia społecznego” powinny rozumieć głęboką konieczność ścisłej współpracy. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Postęp integracji wśród krajów RWP napotyka silne przeszkody wynikające z partykularyzmu niektórych jej członków.

A już wręcz żenująca stała się „wojna celna”, jaką z polskimi turystami prowadzą służby celne niektórych państw socjalistycznych. Jestem za zdecydowaną walką z wszelkimi formami przemytu, kombinatorstwa i cwaniactwa. Tylko formy tej walki mnie żenują. I ta wstrętna pogoda za dolarem! Czyż nie można tego załatwić inaczej?

Na pewnej stacji kolejowej dzwony rucha, pan Calusek, dzieli kobiety brutalnie po męsku na „dupiary” i „cy-cowy”. Pierwsze miały przewagę od pasa w dół, drugie — od pasa w górę (piękne piersi). W tej klasyfikacji Wiktoria Freie należała jednocześnie do obu kategorii. Kobieta ta wprowadziła praktykanta Miłosa Pipkę w rozkoszny świat życia seksualnego. Ale stało się to dopiero później. Przedtem było nieszczerze.

Elew komunikacji Miłosa Pipka był chłopcem nieśmiałym i naiwnym. Nie miał jeszcze żadnej dziewczyny. Kochał się w równie niewinnej i niedoświadczonej jak on konduktorka Maszy, lecz nie wiedział co z nią robić. Pewnego razu Masza sama wśliznęła się do łóżka, gdy nocował w atelier fotograficznym jej wujka. Lecz owa noc, zamiast rozkoszy, przyniosła mu wstyd i cierpienie. Tylko przez moment był mężczyzną, a kiedy miało już „to” nastąpić, nagle „zwiadł” i było po wszystkim.

Rano nie miał odwagi nawet spojrzeć na Maszę. Siedział jak struty. I w końcu ze zgrozy podciął sobie żyły.

Po trzech miesiącach choroby wrócił do pracy na stacji. Patrzył w niebo, wyobrażał sobie Maszę nagą i drżał na myśl, że znowu go „to” czeka. Nie miał wcale pewności, czy jest prawdziwym mężczyzną. Nigdy bowiem nie był „u kobiety”.

Nie wiedząc, kogo prosić, a rade, udał się do żony zawodowej. Wybrał moment, kiedy poszła do piwnicy. Zwiertzył jej się, że pojutrze jedzie do dziewczyny, która z pewnością będzie chciała, żeby on — „tę pamił” co. Na pewno pani zawiadowczyni wie. Niech nie uduje, że nie wie. Z nim jest tak, że niby jest mężczyzną, ale kiedy ma dać dowód, przestaje nim być. Według książek cierpi na „ejakulację prekokos”. Wiednie jak lilia...

W trakcie tej rozmowy Miłoszowi wydawało się, że jest mężczyzną. Ale całkowitej pewności nie miał. Poprosił więc, żeby żona zawiadowczyni dotknęła, sprawdziła i przekazała go. Ale dlaczego właśnie ona? Ponieważ lekarz w domu warianów poradził, żeby ołtarz „rózek” z jakąś starszą damą.

Wobec usilnych nalegań Miłosza, zawiadowczyni zdmuchnęła świeczkę, pochyliła się, dotknęła go i potwierdziła, że jest mężczyzną. A co do propozycji przeszkolenia, to oświadczyła, że już traci okres i nie chce mieć z tym nie wspólnego. „Rozumiem pania — powiedziała — gdyby była młodsza, to... Najświętsza Panna, co się z wami na tej stacji dzieje? Dzwony rucha, pan Calusek, z tymi pieczętkami, pan znowu z tym ocieraniem rozka... Wszystko się pojutrze uda, zobacz pan, jest pan mężczyzną, jeszcze jakim mężczyzną...”

Na co nie mogła się zdecydować żona zawiadowczyni, tego chętnie podjęła się młoda kobieta — wspomnianą wstępnie Wiktoria Freie. Kiedy usłyszała od praktykanta Pipki, że nie miał dotąd żadnej dziewczyny — „oczy jej zlagodniały, jakby zdiwili ją jakieś nieoczekiwane szczęście albo jakby znalazła jakiś bardzo cenny przedmiot...” (Niektóre doświadczające kobiety marzą o tym, żeby wtajemniczyć młodego chłopca). A potem zgasiła lampę, pociągnęła Miłosza na kanapę i była dla niego czuła jak matka.

Wiktoria Freie miała piękne i prężne ciało. Z zawodu była artystką cyrkową. Nic więc dziwnego, że elew Miłosz Pipka doznał ogromnej rozkoszy. Sam relacjonuje to następująco:

„...ogarnęło mnie światło, które wzmagało się nieustannie, wciąż wspaniałe się w górę, cała ziemia drżała, rozlegało się dudnienie i grzmoty, miałem wrażenie, że dźwięki te nie dobiegają ani ze mnie, ani z ciała Wiktorii, ale z zewnątrz, że cały budynek drży w posadach, brzęczą szyby, słyszałem, że na czesie tego mojego triumfalnego wjazdu w życie rozdziwiony się nawet telefon, że telegrafy nie stają, ni zowąd zaczęły wygrywać znaki Morse’a, tak jak się to działo w kancelariach dyżurnych ruchu podczas burzy, wydawało mi się nawet, że gołębie pana zawiadowcy gruchają wszystkie bez wyjątku, że i horyzont uniósł się nieco, by zapłonąć barwami ognia, że budynek stacji zadrżał teraz znowu, że zakłócił się lekko w posadach... A potem czulem, jak ciało Wiktorii Freie wygięło się w łuk, słyszałem jak jej okute

buty wryły się w ceratę kanapy, słyszałem, jak cerata drze się, drze się nieustannie, i skądś z paznokci rąk i nóg zbiega mi do męzgu olśniewający deszcz, wszystko nagle stało się białe, potem szare, potem brunatne, jakby spadający strumień gorącej wody przemieniał się w zimny, i w kręgosłupie poczułem przyjemny ból, jakby mi ktoś wbił wien hak murarski”.

Jeśli ktoś nie miał dotąd aż takich doznań, jeśli nie słyszał żadnych grzmotów i nie odczuwał drżenia ziemi, to nie musi się martwić. Albowiem dziwnym trafem podczas stosunku Miłosza i Wiktorii akurata rozpoczął się potężny nalot bombowy na leżące gdzieś za wzgórzami Drezno. Zdarzyło się to 13 lutego 1945 r. W wyniku dywanowego nalotu alian-tów miasto legło w gruzach. Zginęło przeszło 120 tysięcy ludzi.

Praktykant kolejowy Miłosz Pipka podziękował grzecznie Wiktorii Freie za przysługę. I ona jemu również podziękowała.

Powyższa historia — opowiedziana pięknie przez Bohumila Hrabala (lektura szkolna dla IV klasy liceum i technikum) oraz sfilmowana przez Jiřego Mentzla — pokazuje jak doświadczona kobieta może wyleczyć z intymnego kompleksu nieszczerliwego młodzieńca, jak może z niewinnego chłopca uczynić prawdziwego mężczyznę.

Z historii tej wynika jeszcze coś innego, nad czym warto się zatrzymać. Otóż to, co powinno być absolutną siłą mężczyzny, jest ich główną słabością. Nie mogą oni całkiem swobodnie manewrować najważniejszym organem ciała. Bardzo ciekawe na ten temat są

ROZWAŻANIA SW. AUGUSTYNA

Wybitny filozof wczesnochrześcijański, największy z Ojców Kościoła łacińskiego, długoletni biskup Hippony (dziś Annaba w północno-wschodniej Algierii) doszedł do wniosku, że Adam w raju — przed popełnieniem grzechu pierworodnego — mógł dowolnie ruszać członkiem. Słabość męska jest karą za nieposłuszeństwo pierwszych rodziców, a w szczególności Ewy.

Poglądy swoje w tej sprawie wyłożył św. Augustyn w fundamentalnym dziele historyzoficznym pt. „Państwo Boga” (Poznań 1934). W księdze XIV czytamy:

„W raju tedy cielesnym, gdzie wraz z dwójgim ludzi owych, mężczyzną i niewiastą żyły sobie różne zwierzęta ziemskie, uległe i nieszkodliwe, wybrał (Szatan — M. S.) węzła, zwierzę ślislike i ruchliwe w gibkich skrętach, nadające się do zamierzonego przezeń dzieła, aby przezeń mówić. Jako anioł i istota wyższej natury, przewrotności ducha uczynił sobie uległym węzła i nadzłuszysy go za narzędzie swoje, uwał się w pagawędkę z niewiastą. Zaczął mianowicie od niższej części owego ciała ludzkiego, żeby stopniowo przejść do całości. Nie uważał mężczyzny za ławowierne i za takiego, co łatwo da się kłamaństwem uwieścić, ale za ustepliwego dla cudzego błędu”.

Freudyści interpretowali w określony sposób ten fragment. I być może miałby rację. Należy zresztą podkreślić, że niektórzy badacze świeccy i kościelni kojarzyli zerwanie owocu z drzewa zakazanego z aktem seksualnym. Poznając seks człowiek stał się płodny i śmiertelny jak zwierzęta, a przedtem był bezpłodny i nieśmiertelny jak aniołowie. W planach boskich — jak sądził św. Augustyn — człowiek miał być duchowy nawet ciałem, a stał się cielesny nawet duchem.

W następstwie grzechu pierworodnego powstała żądza lubieżna (libido) i jej podporządkowane zostały organy płciowe. Ta część natury ludzkiej, która powinna być posłuszna człowiekowi, jest od niego niezależna. O pobudzeniu narządów seksualnych nie decyduje rozumna wola, lecz wymykająca się świadomej kontroli spontanna namiętność. Dlatego ludzie wstydzą się seksu. Wstydzą się tego, co z powodu ich występków, rządzą się własnymi prawami. We wszystkich kulturach wstydliwie zakrywają części rodne i w ukryciu odbywają stosunki seksualne. Nawet małżonkowie, choć ich kontakty są dozwolone, chowają się z tym przed innymi. Tylko „psi filozofowie” (cyncy) zachowywali się inaczej.

W raju natomiast nie było

To, co powinno być absolutną siłą mężczyzny, jest ich główną słabością. Tylko w raju podobno było inaczej...

W cieniu miłości i nienawiści

MIROSLAWA SARBIŃSKA

przyczyny wstydu. Mężczyzna mógł ruszać członkiem jak chciał i kiedy chciał. Także kobieta mogła współżyć według własnej woli. Podnieta lubieżna w ogóle nie istniała. A jak jest teraz? Sw. Augustyn pisze:

„Tymczasem nawet sami miłośnicy tej rozkoszy nie zawsze, gdy chcą, mogą się podniecić czy to do spółkowania małżeńskiego, czy to do sprośnej nieczystości, gdy znowu niekiedy natrętnie przybysza owo poruszenie, gdy go najmniej potrzeba, a znowu niekiedy naraz opuszcza dyszące z żądzy i gdy w duszy pożądliwość płonie, ziębnie w ciebie; w taki to dziwny sposób nie tylko woli rodzenia, lecz i rozpustnej żądzy żąda służby nie chce”.

Sw. Augustyn znał doskonale rozkoszną wartość seksu. Nie od razu był taki święty. Zanim został chrześcijaninem i biskupem, wiele lat żył w konkubinacie. Owocem związku poza-mażeńskiego był syn Adeodat. W szczyrych „Wyznaniach” (Kraków 1929) ogłasza, że w młodości rozpalał się w nim „żądza nasycenia się piekielną rozkoszą” i dopuścił, by jego serce „zarosło chwastem tajonych miłościak przetrzynnych”. Po przybyciu do Kartaginy od razu znalazł się w „zgiełkiwym kotle występnych namiętności”. Aż kiedyś trafił na „ową zagadkę Salomona, kobietę zuchwałą i nierozważną”, która go uwiodła. Potem był wierny jednej kochance, matce jego syna, którą jednak oddał (po długim związku) na życzenie rodziny. Miał się w końcu ożenić, ale znowu znalazł „inną kobietę, lecz bynajmniej nie małżonkę”.

Sw. Augustyn przyjął chrzest w 387 roku, kiedy miał już prawie 33 lata. Do tego czasu używał sobie nieźle i długo, gdyż zaczął już w 18 roku życia. Grzeszył — jak powiada — nie tylko z upodobania, lecz również z chęci sławy, aby popisać się przed współtowarzyszami. Poznał więc dobrze wartość życia seksualnego. Pisał nawet, że nie ma większej przyjemności wśród „wzweklkich rozkoszy cielesnych; w chwili dojścia do tej rozkoszy do punktu ostatecznego, cała prawie przytomność i niby czujność myśli zostaje pogrążona”.

Na jakiej jednak podstawie biskup Hippony (Hippo Regius) wykombinował, że w raju Adam ruszał członkiem jak chciał? Najlepiej oddajmy mi głos!

„Nie tylko przecież tymi członkami poruszać możemy wedle chęci, które mają stawy i kości, jak ręce, nogi i palce, lecz i takimi, co tylko słabym nerwem są pozostawione również w miarę chęci poruszać możemy kółeczka nimi, przedłużając podając je, zginając skręcając je, wypychając je ścisnąc: tak na przykład wola naszą możemy poruszać mięśnie twarzy i ust, i języka”.

Poruszamy też płucami i innymi pośledniejszymi członkami. A niektórzy potrafia ruszać uszami i skórą na głowie. „Inni — czytamy dalej — nasłuchują głosy ptaków, zwierząt albo innych ludzi z taką dokładnością, że gdyby się nie widzieli, niepodobna by było odróżnić. Inni dolną część tułowia, bez żadnego plugawstwa, tak rozmaite udele woli dźwięki wydają, że wydaje się, jak gdyby tamą częścią śpiwiali. Sam widziałem znowu, że człowiek na zawołanie pocił się, jak chciał”.

Skoło to wszystko jest możliwe, jeśli ludzkie ciało jest posłuszne w sposób taki niezwykły i nienaturalny, to dlaczego nie mielibyśmy wierzyć, że przed grzechem pierworodnym wstydliwe członki służyły woli człowieka bez chorobliwej pożądliwości? W rajskich warunkach bez „poważnej gorącej podnieci” i bez naruszenia „dźwiękowej całości, udzielałby się małżonkowi łonu swej małżonki”. A teraz, za karę, ludzie są nieszczerliwi, bo nie mogą żyć i współżyć tak, jak by chcieli.

Czytając po raz pierwszy księgę Genesis, nie mogłam pojąć, dlaczego Bóg przeklinając węzła (skazując go na czolganie się na brzuchu) ustanowił nienawiść między nim a niewiastą oraz ich potomstwem. Był może autor biblijny miał na myśli skomplikowane

STOSUNKI DAMSKO-MĘSKIE

W stosunkach tych, jak wiemy, występują nie tylko sily przyciągania (miłość i pożądanie seksualne), lecz również sily odpychające (nienawiść i lek przed seksem). Spotykamy tu integrację procesy przystosowania i współpracy oraz dezintegrację procesy współzawodnictwa i konfliktu. Między mężczyzną a kobietą — także w związku małżeńskim — występują problemy panowania i niewoli, wierności i niewierno-

ści, braku wzajemnego zrozumienia. Bywa, że nieustannie młotają się między miłością a agresją.

W przejawiskawony sposób stosunki damsko-męskie przedstawił Lew Tolstoj w opowiadaniu „Sonata Kreutzerowska”. Jego bohater nienawidzi kobiet, marzy o wyzwoleniu z niewoli małżeńskiej i w afekcie zabija żonę. Pozdnyśzew utrzymuje, że kobieta poprzez zmysły ujarzmia mężczyznę, staje się propozycją nie do odrzucenia, zdobywa nad ludźmi straszną władzę. Mówi on:

„Kobiety uczyniły z siebie takie narzędzie oddziaływania na zmysły, że mężczyzna nie może spokojnie się wobec nich zachować. Ledwo mężczyzna zbliży się do kobiety, wnet popadnie pod jej odurzający wpływ i oszaleje. Dawniej też czulem zakłopotanie, trwożę na widok wyfiokowanej damy w sukni balowej, ale teraz po prostu się boję, widzę w tym po prostu jakieś niebezpieczeństwo dla ludzi, jakieś bezprawie, i gotów jestem wołać policjanta, używać pomocy, żądać zabrania, usunięcia niebezpiecznego obiektu”.

Wyrazem panowania rodzaju żeńskiego jest fakt, że w dziewiętnastym wieku procentach sklepów wielkomięjskich nie ma nie na użytek mężczyzn. Wynikiem nacisku kobiet jest cały luksus życia. W celu zaspokojenia kobiecych zachcianek pokolenia niewolników trudzą się i giną w fabrykach. A one wciąż stroją się... To podniecające zdobienie ciała zakłóca spokój publiczny, jest groźną pułapką na ludzi, czyni znacznie bardziej niebezpiecznym niż zabronione gry hazardowe. Najślinniejszą bowiem żądzą jest żądza piclowa. Jest ona złem strasznym, z którym trzeba walczyć. Ma rację E-wangelia, że cudzołóstwem jest już patrzeć pożądliwie na kobietę. Dotyczy to zresztą nie tylko cudzych żon, lecz przede wszystkim własnej żony.

Żona bohatera utworu już w młodym miesiącu zachowywała się dziwnie. Bez wyraźnej przyczyny traciła humor, wybuchala płaczem. Potrafiła nagle przejść od smutku i rozdrażnienia do skrajnej wrogości. Pozdnyśzew nie wiedział jeszcze wtedy, że chłodne stosunki i kłótnie są w małżeństwie normalnym stanem rzeczy. Nie wiedział, że wszystkie myśli, iż tylko ich małżeństwo jest złe i ukrywają swój los, a w rzeczywistości jest to los powszechny.

Odtąd kłótnie wybuchaly między nimi tak często i z tak blahych powodów, że rozsądek nie nadążał z dostarczaniem dostatecznych racji do starć. Czasami nie mogli sobie przypomnieć, o co poszło. Pozdnyśzew opowiada dalej następująco:

„No i tak żyliśmy. Wzajemne stosunki stawały się coraz bardziej wrogie. Doszło wręcz do tego, że już nie rozdźwięki wywoływały wrogość, lecz wrogość wywoływała rozdźwięki: cokolwiek powiedział, z góry się z tym nie zgadzałem, podobnie i ona. (...) Jak sobie teraz przypominam, wcale mi tak specjalnie nie zależało na broniących przeze mnie poglądach, żeby mi nie mogli ich wywrzeć, ale ona była przeciwnego zdania, a ustąpić — jej ustąpić — o nie, na to się zdecydować nie mogłem. Ona też. (...) Powstawały scysy i objawy nienawiści o kawę, obrus, wolant, o wyjście w wincie — takie sprawy, które ani dla jednej, ani dla drugiej strony nie mogły mieć najmniejszego znaczenia. Wa mnie przynajmniej często kipiła strasza do niej nienawiść! Patrzyłem niekiedy, jak nalewa herbatę, porusza nogą, podnosi lżykę do ust, siorbie wciągając płyn, i nienawidziłem ją właśnie za to, jak za najgorszy postępki. Nie dostreżalem wtedy, że okresy złości powstają we mnie zupełnie regularnie i równomiernie, w zależności od okresów tego, co nazywałam miłością. Okres miłości — okres złości; gwałtowny okres miłości — długi okres złości; słabsze objawy miłości — krótki okres złości”.

Moje własne małżeństwo trwa zbyt krótko, żeby ocenić, czy taki rytm miłości i nienawiści rzeczywiście występuje. Na podstawie literatury i filmu oraz obserwacji małżeństw z dłuższym stażem mogę jednak stwierdzić, że coś w tym jest. Małżonkowie balansują nieraz między niebem a piekłem. Prawdopodobnie zresztą bez nienawiści nie ma miłości, jak nie ma jej bez zazdrości. Nie wierzę, że naprawdę kochają się ludzie, którzy nie odczuwają zazdrości.

Podkreślenie, że druga połowa nas zdradza, że potajemnie ma kogoś innego, jest nie do wy-

trzymania. Nie dziwny się więc, że Pozdnyśzew strasznie cierpił, odkąd zaczął posądzać własną żonę o romans z muzykiem, skrypką Truchaczewskim. Nienawidził teraz obojga. Myślał sobie, że wprawdzie jego żona nie jest już pierwszą młodością, brak jej z boku jednego zęba, jest odrobina za pulchna, ale taki niezłoty młodzieniec skorzysta z każdej przyjemności.

„A łączy ich muzyka — czytamy — najbardziej wyrafinowana smysłowa chud. Cóż więc go może powstrzymać? Nie. Przeciwnie, wszystkie go przyciąga. A ona? Kim jest ona? Ona jest tajemnicą, była nią i jest. Nie znam jej. Znam tylko w niej siwierz, a siwierzca nic nie może, nie powinno powstrzymać”.

„Llekoć na nowo czytamy „Sonatę Kreutzerowską”, zastanawiam się, czy Pozdnyśzew kochał swoją żonę? Sam zresztą nie wiedział, czy ją kochać, czy nienawidzić. A cierpił tak bardzo z zazdrości i niepewności, że aż przysłał mu do głowy myśl o samobójstwie. Tylko nienawiść powstrzymała go przed ostatecznym krokiem.

Straszną uderką nie pozwała mu na dłużej opuścić domu. Z dwudniowej delegacji służbowej wrócił wcześniej, aby rozwiązać wątpliwości. W drodze powrotnej niecierpliwił się bardzo. Tak o tym opowiada:

„Świadomość, że rozstrzygnięcie jest bliskie, tuż-tuż, jeszcze spotęgowała moje wzburzenie. Zrobiło mi się zimno, zaczęły zacząć mi tak dygotać, że dźwiękiem zębami”.

Lew Tolstoj miał dziwną opinię o małżonkach. W rzeczywistości kobiety-matki rzadko są niewierne, natomiast żonaci mężczyźni częściej korzystają z okazji. A tymczasem pisarz zanotował w swym dzienniku z 1889 roku:

„Tak, wczoraj chłopci potwierdzili, że opętanie z d r z a z się tylko babom, a nie dziewczynom. A więc to prawda, że jest następstwem wyuzdania seksualnego”.

Tolstoj nie mógł znieść ostentacyjnej kokieterii kobiet — tego, że znając słabość mężczyzn, bezczelnie ich uwodzą; odsłaniają ramiona, plecy, piersi, wypinają tyłki. Pod tym względem nie ma — jego zdaniem — różnicy między prostytutkami a światowymi damami z najwspanialszych salonów. Wszystkie starają się pokazać w najpotężniejszym świetle, ponieważ wiedzą, że mężczyźni potrzebne jest ciało.

Kobiety sex appeal drażnił w szczególności różnych świętoszków, dewiantów, hipokrytów. Negatywną rolę w tym względzie odegrał Kościół chrześcijański, w którym przez wieki wieków podejrzliwie traktowano kobiety powabne. Szanowano głównie skromne dziewczęta i wdowy. Zdecydowanie nie potępiano nagość w sztuce. Sprawy ciała, a w szczególności seksu, uznano za drugorzędne bądź nieważne.

Życie seksualne tolerowano pod warunkiem, że odbywało się między małżonkami i służyło prokreacji, a nie osiągnięciu rozkoszy. Szukanie przyjemności w stosunkach seksualnych było grzechem. Najwyżej ceniono tych, którzy przez całe życie całkowicie powstrzymywali się przed miłością fizyczną. Wywyższając jednak dziewictwo i bezżenność Kościół pomniejszał wartość małżeństwa.

Autor łacińskiego tłumaczenia Pisma Świętego, zwanego od XII wieku Wulgata, jeden z Ojców Kościoła łacińskiego, św. Hieronim (345—419) wślawił się m.in. dwiema charakterystycznymi tezami. Pierwsza głosi:

„Weźmy do ręki siekiere, i przytnijmy korzenie małżeństwa, tego bezpłodnego drzewa. Bóg pozwolił na małżeństwo na początku świata, ale Jezus Chrystus i Maryja usunęli dziewictwo”.

Sw. Hieronim przez pewien czas był w Rzymie przewodnikiem duchowym pobożnych dam z arystokracji. Lecz o kobietach miał jak najgorsze zdanie. On to bowiem powiedział: „Wszystkie zło pochodzi od kobiet” (Omnia mala ex mulieribus). Chroni nas, Panie Boże, przed takimi świętymi.



JAK ZWYKLE MNIE NIE SŁUCHASZ.

Rys. Stanisław Łucyński

Czym ostatnio zajmował się głośny dziennikarz Janusz Atlas?

— Trochę huchszapiera, nazywa się Wiesław Przybyłowicz. Nie wiem — czy już grasował w Łodzi?

— To ten sam, który próbował nabrać dziennikarzy w Opolu?

— To on.

— Zauważyłem, że jest pan wszędzie tam, gdzie dzieje się coś sensacyjnego.

— Albert Camus napisał, że dziennikarstwo jest cudownym zawodem pod warunkiem, że się z nim w porę skończy. Obecnie czuję się w tej profesji na wylocie i uważam dziennikarstwo za rozdział zamknięty w moim życiu.

— Jak to rozumieć?

— Doszedłem do wniosku, że powinienem odejść i zająć się... pisarstwem.

— Zanim zniknie pan z łamów polskiej prasy, porozmawiajmy jeszcze o dziennikarstwie. Z wykształcenia jest pan prawnikiem, ale najbliższą jest panu do estradowego podwórka, bo tam można naffatwiej wejść, najwięcej podslu-

Rodowicz, Wojciech Gassowski, Zbigniew Wodecki, Bogusław Mec...

— Otóż twierdzą, że jest pan chamelem, świnia i skurwysynem!

— Przykro mi, ale zdaje się, że wiem — które gwiazdy tak mówily. Otóż ja sądzę o nich to samo.

— Podobno wszystko załatwia pan przy wóźnie?

— Mam opinię pijaka, znam smak wódki, ale ona nigdy nie przeszkadzała mi w pracy. Bardzo poważnie traktuję swoją pracę, choć mam usposobienie bankietowe. Będąc już w średnim wieku, nie mogę sobie pozwolić na ekscyzy.

— Dziennikarze też pana nie lubią, choć podziwiają za tupet i przebojowość.

— Myślę, że nie lubią mnie dziennikarze nieutalentowani, bowiem zdolnych, którym nie zagrażam, zaliczam do swoich przyjaciół. Nienawidzę tych pierwszych bierze się z kompleksów i świadomości, że ja sobie pozwalam na więcej niż oni kiedykolwiek. A swoją drogą, nawet mi to schlebia. Tylko, że o tym środowisku jestem jak najgorszego zdania.

— Kiedyś pisał pan w „Ku-

— Za to pańska żona, świetna reporterka Katarzyna Dowbor, próbuje swoich sił jako nowa spikerka i programu TVP. Czy to pan doradził jej spikerowanie?

— Wprost przeciwnie. Byłem przeciwny, ale ona bardzo chciała się sprawdzić. Za występy telewizyjne mojej żony nie ponoszę odpowiedzialności.

— Szkoła jej talentu reporterki?

— Nadal zostanie dziennikarką.

— To nie jest pana pierwszą żoną?

— Druga. A ja jestem jej drugim mężem.

— Obserwując Was na festiwalach piosenek zauważyłem, że ona jest katalizatorem tego, co pan narozrabia. W domu również?

— Tak, ja bardzo lubię moją żonę, poza tym, że ją Kocham. To rzadko się zdarza.

— Dlaczego podczas koncertów w Sopocie jest pan taki ruchliwy? Naliczyłem, że podczas Dnia Polskiego zrobił pan aż 11 rund w tę i tamtą stronę. Pewnie po to, żeby być powszechnie zauważonym?

— Kilkogodzinne patrzenie na estradę jest jałowe i nudne. Nie wytrzymuję trzygodzinnego koncertu. Mój temperament na to nie pozwala. A poza tym zagłębienie za kulisy jest ciekawsze.

— W 1986 roku był pan rzecznikiem prasowym „Sopotu”. Różnie się na ten temat mówiło. Szczególnie po tym, jak napisał pan sprawozdanie z festiwalu, choć nie powinien?

— Napisałem z punktu widzenia rzecznika. Rzecznikiem się bywa a dziennikarzem się jest. To była wspaniała przygoda, ale nigdy bym się na tę funkcję w Sopocie po raz kolejny nie zgodził. Permanentne rzecznikowanie zabija osobowość a dotyczy to nie tylko festiwału piosenek.

— Zdaje się pan nie mieć skrupułów i nie dba o to, co wypada a co nie uchodzi?

— Mam skrupuły, ale to bardzo dobrze, że pan uważa, iż ich nie mam.

— Co z etyką dziennikarską?

— A co to jest?

— No to jaką zasadą kieruje się pan w swojej pracy?

— Naczelna zasada dziennikarza, na którą wszyscy lubią się powoływać i zastanawiać jak tarczą jest pomoc bliźnim i prawda. Ale nie w takim pojęciu jak u red. Karas'a, który opisuje wszystko, dąsłownie wszystko i uważa, że pomaga bliźnim. Słusznie przed wszystkim autorowi a dopiero później bohaterowi. Chodzi o załatwienie sprawy. Wiem, że czytelnicy mają do mnie zaufanie i to uważam za największy sukces swego działania.

— Edyta Geppert zarzuciła panu w TV, że potrafi sfingować wywiad, nie pytając nawet o zgodę, choć wtedy ukrywa się pod pseudonimem Jacek Artowski?

— Edyta Geppert udzielając mi wywiadu, nie wiedziała, że będę go sygnował pseudonimem, którego nie znała. Ja zresztą wtedy też nie wiedziałem. Stało to nieporozumieniem.

— Dlaczego używa pan pseudonimu?

— W robocie agencyjnej jest to niezbędne. Piszę tak dużo różnych tekstów, że nie sposób podpisywać je tym samym nazwiskiem. Dziennikarz musi mieć kilka pseudonimów. Przy publikacjach poważnych artykułów, o prawie używam nazwiska Jan Tarkowski.

— O tegorocznych wyborach Miss Polonia '87 napisał pan oszczerdnie, jak na pana wyjątkowo łagodnie. Czyżby ziałam się lwi pazur Janusza Atlas?

— Czasami trzeba dać szansę kolegom. Ale napisałem jako pierwszy, bo właśnie do mnie zwrócił się panie Jurorki. Nie wchodziłem w szczegóły. Za to ujawniłem prawdę o karierach polskich missek na Zachodzie.

— O czym teraz będzie pan pisał?

— Teraz napiszę pamiętnik z burzliwych lat 70., ale nie do druku, bo żadna cenzura tego nie puści. Napisać również kryminał pt. „Kaprysy mojej żony”. Jeżeli mi się uda, to wtedy nie będzie już dziennikarza Janusza Atlas.

— Zarobie tyle pieniędzy, że nie będę musiał iść do pracy.

— Teraz napiszę pamiętnik z burzliwych lat 70., ale nie do druku, bo żadna cenzura tego nie puści. Napisać również kryminał pt. „Kaprysy mojej żony”. Jeżeli mi się uda, to wtedy nie będzie już dziennikarza Janusza Atlas.

— Zarobie tyle pieniędzy, że nie będę musiał iść do pracy.

— Teraz napiszę pamiętnik z burzliwych lat 70., ale nie do druku, bo żadna cenzura tego nie puści. Napisać również kryminał pt. „Kaprysy mojej żony”. Jeżeli mi się uda, to wtedy nie będzie już dziennikarza Janusza Atlas.

— Zarobie tyle pieniędzy, że nie będę musiał iść do pracy.

— Teraz napiszę pamiętnik z burzliwych lat 70., ale nie do druku, bo żadna cenzura tego nie puści. Napisać również kryminał pt. „Kaprysy mojej żony”. Jeżeli mi się uda, to wtedy nie będzie już dziennikarza Janusza Atlas.

— Zarobie tyle pieniędzy, że nie będę musiał iść do pracy.

Minęły czasy, gdy nowożeńcy z utęsknieniem czekali na noc poślubną.

Bywają niekiedy zabawne śluby

JACEK GŁĘBSKI

1.

Wspaniałe bogato wystrojone wnętrze Urzędu Stanu Cywilnego na Polesiu. Przypychani nie ma się co dziwić, wszak ślub jest niecodziennym wydarzeniem w naszym życiu, trzeba nadać mu uroczystą oprawę.

Na sali tłoczno. Wszystkie oczy skierowane na młodą parę. Urzędnik w otoczeniu ciężkim łańcuchu z orłem zadaje panu młodemu pytanie, czy chce wstąpić w związek małżeński z obecną tu osobą. Pada sakramentalne — „tak”. Kolej na obłubienicę. Na to samo pytanie pani młoda odpowiada bez wahania — „nie”. Na sali konsternacja. Rozlegają się szepty, krzyki zdumienia spojrzeń. W sali obok czeka szampa. Fotograf na wszelki wypadek robi zdjęcie. Udzielający ślubu kierownik poleskiego USC, Adolf Kotuła, wykazuje się błyskawicznym reflekssem. Zamiast podziękować obłubieńcom i ogłosić, że ślub się nie odbył, pyta dziewczynę, czy rozumiała pytanie. „A o co pan pyta?” — narzeczona budzi się z zamyślenia. — „Czy chce pani pojąć tego pana za męża?” — „Ależ tak!” — pada odpowiedź. Z pierś gości i narzeczonego wydobywają się westchnienia ulgi. Teraz młoda para zgodnie powtarza za urzędnikiem uroczystą formułę: „Świadomy praw i obowiązków wynikających z zawarcia małżeństwa, uroczyste oświadczam, że wstępuję w związek małżeński z... i przysięgam, że uczynię wszystko, żeby nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i trwałe. Rozbrzmiewa marsz Mendelssohna.

2.

Wiele wskazuje na to, że instytucja małżeństwa przeżywa kryzys. Świadczy o tym malejąca z roku na rok liczba zawieranych ślubów. A co na ten temat sądzą sami zainteresowani?

Przed czterema laty pracownicy Zakładu Socjologii Ogólnej Instytutu Sociologii UL, Wiesława Warzywoda-Kruszyńska i Jerzy Krzyszkowski przeprowadzili badania pod hasłem „Społeczny proces wyboru współmałżonka”. Celem badań była analiza wzorów zachowań kandydatów i analiza modeli małżeństwa. Badaniem objęto 154 pary do 30 roku życia, które złożyły dokumenty do łódzkich USC. Wyniki są niewesołe.

3.

Realia — realiami, a jednak niektórzy aż pali się do żeniaczki. Wiadomo, że mężczyzna może zawrzeć związek małżeński, gdy ukończy 21 lat, a kobieta — 18. Tymczasem coraz więcej jest małżeństw pośród młodych ludzi, którzy nie ukończyli wymaganego wieku. W takim przypadku zgodę na zawarcie związku wydaje sąd. W ok. 80 proc. powodów jest ciąża panny młodej. Związek taki nie rokuje jednak dużych nadziei na przyszłość. Późniejsze rozwody nie należą do rzadkości.

4.

Najwięcej pracy przysporzył sędziom pewien młody obywatel Bałut. Najpierw sąd wydał zgodę na ślub, potem orzekł rozwód, a teraz wydał zgodę na poślubienie nowej wybranki. Chłopakowi znów zachciało się żeniaczki. Dziecko w drodze.

5.

Kolejna ceremonia w pałacyku na Polesiu. Orszak tym razem skromny. Pan młody wprowadza na salę obłubienicę. Na konto przyszłego, szczęśliwego pożycia oboje wypili sobie „kapkę”. Ledwie trzymali się na nogach. Na rauszu nawet ślub niestraszny. Ale kierownik USC jest innego zdania. Sprawę stawia ostro: ślubu nie da! Oboje jakby trochę wytrzeźwieł i dawaj rozpaczliwie. Kierownik jest nieugięty. Jak wytrzeźwieją, mogą przysiąc z pretenjami, a reklamacji nie uwzględni się. Nieoficjalne pogłoski mówią co prawda, że w ciągu 24 godzin można się rozmyślić i byli już tacy, którzy powołując się na ten „przepis” chcieli unieważnić zawarty związek, ale „przepis” jest wysany z palca. Nie ma żadnych reklamacji. Zawarcie małżeństwa uprawomocnia się natychmiast!

6.

Tymczasem państwo młodzi proszą i nalegają. Kierownik spogląda na zegarek. Dziś konczy udzielanie ślubów o godzinie dziewiętnastej. Niech przyjdą dziesięć minut po. Jak zdąży wytrzeźwieć. Na szczęście zdążyli. I jeszcze przeprosili za „niedyspozycję”. Ach, co to był za ślub!

7.

Zawarcie małżeństwa jest uroczystością, która odbywa się — przynajmniej teoretycznie — raz w życiu. Trudno się dziwić, że zainteresowani nie mają ani czasu, ani potrzeby studiować przepisów. Od tego są pracownicy USC. Ale czasem wiedza może się przydać. Najwięcej nieporozumień dotyczy momentu zawarcia małżeństwa.

8.

Oto częsty obrazek z sali USC: młodzi złożyli oświadczenia i przystępują do podpisywania aktu zawarcia małżeństwa. Ona z reguły podpisuje natychmiast, natomiast on majestatycznie ujmuje długopis, rozgląda się po zgromadzonych gościach, uśmiecha się triumfalnie i jakby wszystko zależało od jego dobrej woli — podpisuje. Kiedys, gdy pan młody zbyt długo celebrował złożenie podpisu, kierownik USC na Polesiu, Adolf Kotuła, nie wytrzymał: niech pan podpisuje, małżeństwo już dawno zostało

zawarte! Małżeństwo bowiem uprawomocnia się w chwili złożenia zgodnych oświadczeń przed kierownikiem USC, czyli formuły: „Świadomy praw i obowiązków...”. A nawet zwykłego — „tak”. Formuła jest tylko uroczystą oprawą ceremonii, a podpis — formalnością. Można odmówić złożenia podpisu, a małżeństwo i tak będzie w świetle prawa zawarte.

9.

Wbrew pozorom praca kierownika USC nie jest wcale lekka, łatwa i przyjemna. Tego samego dnia trzeba przyjąć dokumenty od kandydatów na małżonków, w chwilę później — akt zgonu, potem przyjąć szczęśliwego ojca... Trzeba umieć zmieniać nastrój, cieszyć się wraz z ludźmi albo współczuć im. Trzeba być dobrym psychologiem, ba, nawet psychiatrą. Są bowiem ludzie, którzy bez zgody lekarzy nie powinni zawierać związków małżeńskich. Mo- wa tu przede wszystkim o osobach chorych psychicznie. Kierownik USC ma prawo, a nawet obowiązek wszcząć postępowanie wyjaśniające, jeśli zauważy jakieś nieprawidłowości w zachowaniu. Może domagać się zaświadczenia, czy kandydat do małżeństwa nie leczy się w poradni zdrowia psychicznego, może też sam to wyjaśnić, nie uprzedzając kandydata. Bo psychicznie chorzy ani w metryce, ani w dowodzie osobistym (a są to dokumenty wymagane przy zgłoszeniu chęci zawarcia małżeństwa do USC) nie mają wpisanej choroby. Czasem osoba trzecia, mająca w tym interes prawny, wnosi, że dany obywatel leczy się u psychiatry i w związku z tym do małżeństwa dojdzie nie powinno. Oczywiście i w takim wypadku kierownik USC ma obowiązek wszcząć postępowanie wyjaśniające. Często jednak zdarzają się pomówienia. Zdarzyło się, że do poleskiego USC przyszła matka dziewczyny, mówiąc, że przyszły mąż córki leczy się w „wariatkowie” i w ogóle jego poziom intelektualny jest zerowy i ona nie dopuścił itd., itp. Chłopak rzeczywiście był w trakcie leczenia, lecz poradnia wydała zaświadczenie, że stan zdrowia pacjenta absolutnie nie wpływa na pojęcie małżeńskie. Ślub został zawarty. Matka musiała pogodzić się z decyzją córki.

10.

Nie wszyscy rodzice tak łatwo kapitulują. Niedawno musiała interweniować milicja. Zdarzyło się bowiem, że młody wojskowy brał potajemnie ślub ze swą ukochaną. Rodzina panny młodej, przeciwna temu związkowi, zgłosiła się do kierownika USC, który przed zakończeniem uroczystości pojawił się przed Pałacem Ślubów w zamiarach bynajmniej nie pokojowych. W powietrzu wisiała wielka bija-tyka. Orszak ślubny złożony z umundurowanych kolegów pana młodego na niewiele mógł się przydać. Siła bojowa wojska mogła okazać się zbyt mała. Wtedy kierownik zadzwonił po milicję. Zajęli radiowozy i dopiero wtedy między małżonkami wybiegli z Pałacu Ślubów do „gryzika” i odjechali z piskiem opon. Co było dalej — nie wiadomo.

11.

Ostatnio zapanowała nam moda na małżeństwa tzw. „zagraniczne”. W wielu wypadkach można mówić raczej o modzie (!) niż o potrzebie serca. Niedawno na Bałutach odbył się ślub 70-letniego przemysłowca z zagranicy i 20-letniej Polki. Oboje sprawiali wrażenie wielce zakochanych. Ciekawe, na jak długo wystarczy im zapalu.

12.

Tak się składa, że tylko panie cieszą się wzięciem. Widocznie piosenka A. Rosiłowca „Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny” poszła w świat. Teraz trzeba napisać piosenkę o panach...

13.

Najchętniej z Polkami żenia się Arabowie. W czołówce znajdują się obywatele Iraku, Libii, Afganistanu, Syrii. Na drugim miejscu są Niemcy z RFN i Szwedzi. Rzadkością są śluby z Francuzami, Szwajcarami, Norwegami, a także obywatelami krajów demokracji ludowej: ZSRR, NRD. Serca Polek aż rwą się do petrodolarów i zachodnich marek. Ale przedtem obokrajowców musi dostarczyć do USC świadectwo zdolności prawnej do zawarcia małżeństwa z obywatelką polską. Zaświadczenia takie wydają organy administracji państwowej z reguły ambasady.

14.

Kiedys jednak obywatel Emiratu Arabskiego przyniósł do poleskiego USC następujące „zaświadczenie”: „My, klan rodu X nie widziemy przeszkód, by X (i tu nazwisko) ożenił się z polską dziewczyną”. Przeszkody widział jednak kierownik. Zażądał zaświadczenia od władz. Arab mógł przecież okazać się posiadaczem sporego haremu, a jego kraj mógł też nie zezwalać na przekroczenie granicy przez poślubioną „polską dziewczynę”. Sytuację takie zdarzały się swego czasu w Iranie, Iraku czy Libii: „polskie żony” odsyłano z powrotem do kraju rodzinnego.

15.

Niektóre „śluby zagraniczne” odbywają się za granicą. Trudno powiedzieć jak w innych krajach wygląda ta uroczystość, ale chyba nie powinniśmy mieć kompleksów.

16.

Pora kończyć wizytę w Urzędzie Stanu Cywilnego na Polesiu.

Choć mówi się o kryzysie instytucji małżeństwa, o rosnącej liczbie rozwodów, śluby będą odbywać się zawsze. Jak dotąd nie lepszego nie wymyślono. Jedni będą pobierać się z miłości, inni ze względów majątkowych. Przy okazji wyniknie jeszcze sporo zabawnych sytuacji.

Na wylocie

Rozmowa z JANUSZEM ATLASZEM



Foto: Jarosław Woźniowski

chać i bezkarnie naobrażać. Tak?

— Tu nie chodzi o estradowe podwórko i moje w nim działanie. W życiu prywatnym jestem człowiekiem bardzo łagodnym. Agresywność i przebojowość są wynikiem wymyślnego przeze mnie na publiczny użytek image. Bardzo chciałem być znanym dziennikarzem, bo przecież to zawód publiczny, nie interesowała mnie w nim anonimowość. Aby się wybić, musiałem wymyślić swoją postać w druku. Z czasem Janusz Atlas z prasy stał się moją drugą naturą. Dziś marzy mi się, żeby napisać coś łagodnego, spokojnego, ciepłego.

— Często stawia się panu zarzut: Janusz Atlas to typowy dziennikarz brukowy?

— Do czego ja się przyznaję i nie wstydzę się tego. Ale piszę nie tylko o kulisach estrady i różnych mniejszych lub większych skandalach, bardzo interesuję się sportem, a niebawem będę pisał o filmie, który od dawna jest moją miłością. Podpisałem kontrakt z „Tygodnikiem Kulturalnym”, który będzie drukował moje antyrecenzje filmowe.

— Krytyczne, ostre pisanie utrudnia fakt, że np. z większością ludzi z estradowej branży jest pan po imieniu?

— Zgadza się z panem i dlatego obecny sezon jest moim ostatnim sezonem spędzonym na festiwalu piosenek, bo rzeczywiście znam zbyt wielu ludzi, z którymi jestem po imieniu. W tym roku zjechałem koncert Dinozaurów w Sopocie, ale chciałem napisać prawdę. Obecnie sam będę występował na estradzie, biorąc udział w zawodowej drużynie piłkarskiej dziennikarzy, zorganizowanej na znak protestu przeciwko kantom w piłce nożnej. Może spróbuję być gospodarzem programu. Moim niedoścignionym wzorem jest Lucjan Krzyżński.

— Rozmawiałem z gwiazdami piosenki na pana temat. I niech pan zgadnie co mówili?

— Na pewno, że bardzo mnie lubią (Urszula Siońska, Zdzisława Sośnica, Maryla

lisach” sensacyjne reportaże o głośnych sprawach sądowych, skandalach, wypadkach itp. Ale to było dawno i reportaży już pan nie pisze?

— Wydaje mi się, że nie mam już tyle do powiedzenia w reportażu jak 10 lat temu. Nie chciałbym drastycznie obniżyć swego poziomu. Wolalbym, aby zapamiętano mnie takim jakim byłem dawniej. Wypaliłem się.

— Tak, tak... Ale wydaję książkę z moimi reportażami i nie sądzę, żeby „Męskie sprawy” leżały na półkach księgarskich.

— Pisze pan teraz krótko i mało.

— Krótko — tak, bo takie są wymogi prasy agencyjnej. Naczelnej Redakcji Krajowej PA „Interpress”. Natomiast nadal piszę dużo, miesięcznie 100 stron maszynopisu. Rocznie 1200 stron. To gruba książka.

— Sądzi pan, że felieton wciąż ma swoją prasową rangę i szerokie oddziaływanie?

— Tak, uważam, że to czas felietonu a nie reportażu, można w nim więcej powiedzieć niż w zapisie faktograficznym. Tylko obecne przepisy prawa prasowego są gwoździem do trumny dla współczesnego dziennikarza. Byłby petak może straszny paragrafem i petaki z tej możliwości korzystają ponad wszelką miarę przyzwolności. Ale trudno wymagać od petaków przyzwoitości.

— Zauważyłem, że lubi pan pokazywać się w TV, nawet na chwilę, w tłumie, żeby być na małym ekranie, ale nigdy nie pokusił się o własny, duży program?

— Mam zia dykcję i persz się przed kamerą. Ale z drugiej strony uważam telewizję za cudowne medium, w którym od czasu do czasu trzeba się pokazać. Wkrótce będę miał w telewizyjnej „Panoramie dnia” własny felieton, sumujący wydarzenia tygodnia w różnych dziedzinach życia. I albo będzie to bomba albo niewypał. Nie będę przebiegał w słowach, ale nie będę wulgarny.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Kiedy jesienią 1980 roku Wacław S. dokooptowany został do społecznego zarządu Pracowniczego Ogrodu Działkowego im. Janosika w Łodzi i objął w nim funkcję sekretarza, atmosfera wśród działkowców była już ciężka i zatruta. Przeprowadzone w tym czasie kontrole wykazały, iż poprzedni zarząd dokonał wielu nadużyć i zaniedbań przynoszących szkodę całej działkowej mikrosocjności. Wojewódzkie władze Polskiego Związku Działkowców zaleciły więc doprowadzenie wszystkiego do porządku. Ale gdy nowy zarząd z gorliwością neofity zabrał się za to i dzieło naprawy chciał konsekwentnie doprowadzić do końca, okazało się, że jest to nie w smak grupie osób związanych z poprzednim zarządem, a i władze wojewódzkie coraz krytyczniej odnoszą się do tego zamiaru.

Działania zarządu, na czele którego stała Blandyna K., zmierzają w dwóch zasadniczych kierunkach: wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do osób winnych nadużyć oraz — zniwelowania w miarę możliwości skutków błędnych decyzji z przeszłości. Działania te zyskały poparcie walnego zebrania członków POD im. Janosika w dniu 11 października 1981 roku, na którym większością głosów zaaprobowano decyzje zarządu o wykluczeniu z działkowej społeczności Józefa B., przewodniczącego poprzedniego zarządu, oraz ukarania nagana i zakazem pełnienia funkcji w organach samorządowych przez dwie kadencje Stanisława K. i Henryka S. — członków komisji rozjemczej współodpowiedzialnych za przydzielanie działek niezgodnie z przepisami. Zebranie przyjęło też między innymi uchwałę o przywróceniu do pierwotnego stanu placu zabaw dla dzieci, zwanego popularnie ogródkiem jordanowskim, zlikwidowanego w 1978 roku w celu utworzenia na nim nowej działki dla Czesława W., protegowanego przez Wojewódzki Zarząd PZD.

Uczestniczący w zebraniu przedstawiciele WZ i Krajowej Rady PZD nie wnosili do uchwał żadnych zastrzeżeń, co jednoznacznie odebrało jako przejaw ich poparcia dla tej linii działania. Później jednak te same instancje stwierdziły autorytatywnie, że w związku obowiązującej zasady niekarania członków byłych władz, zaś uchwałę o przywróceniu ogródka jordanowskiego prezydium WZ PZD... anulowało 15 kwietnia 1983 roku.

Zarówno Wacław S. jak i pozostali członkowie zarządu nie mogli zrozumieć tej zmiennej i dwuznacznej postawy władz zwierzchnich. Nie dosyć bowiem, że mieli jawną już kilkuosobową opozycję w ogrodzie, która starała się torpedować ich posunięcia, to jeszcze zamiast pomocy z góry, co jakiś czas wylewano im na głowy kubel zimnej wody. Nie mogli też tego zaakceptować, choć nie chcą, musieli więc przyjąć w tej sytuacji walkę na dwa fronty: wewnętrzny i zewnętrzny. A że byli pewni swoich racji i póki co mieli poparcie większości działkowców, przyjęli ją i toczyli z otwartymi przyłbicami, jawnie o wszystkim informując ludzi na tablicy ogłoszeń.

Niestety nie była to walka równa,

gdyż wygrać ze zwierzchnikiem, jak wiadomo, nie jest wcale łatwo, choćby się miało nawet równe sto procent racji. Poza tym nikt w PZD i poza związkiem nie chciał do końca wystuć Blandynę K., Wacława S. i pozostałych, porozmawiać z nimi, co czują wystawieni przez Wojewódzki Zarząd do wiatru, doszukać się prawdziwych przyczyn konfliktów w POD im. Janosika, tkwiących przede wszystkim w złej pracy poprzedniego samorządu. Ograniczono się do względów formalnych i faktu, że zarząd „rozrabia”, czyli wysyła dziesiątki pism w obronie swych poglądów i działań, odwołuje się, śmie kwestionować słuszność postawy nadrzędnych organów w niektórych przypadkach, a przede wszystkim — jest bezkompromisowy.

Nie da się przy tym ukryć, iż poczynania zarządu były coraz bardziej nerwowe, coraz częściej poddyktowane rosnącą nieufnością, podejrzliwością, ale przecież — nie bez powodu. No i zdarzały się czasem uchybienia, jak choćby to, że Stanisław K. i Henryk S. ukarani zostali przez walne zebranie dodatkową karą zakazu pełnienia funkcji w samorządzie ogrodu przez dwie kadencje, choć kary takiej przepisy obowiązujące wówczas w Polskim Związku

Działkowców nie przewidywały. I o tym zarząd powinien powiadomić uczestników zebrania, jakkolwiek równie dobrze mogli to zrobić obecni na zebraniu przedstawiciele WZ PZD i Krajowej Rady, a też nie zrobili.

Ale co powiedzieć, jeśli

uchwałę walnego zebrania anuluje prezydium, a zgodnie ze statutem powinien cały Wojewódzki Zarząd?

Wacław S. podkreśla ten fakt nie tylko dlatego, by pokazać, że również „góra” może mylić się w interpretacji przepisów, lecz także — aby uzasadnić, iż usprawiedliwione było podejrzenie, że nie cały Wojewódzki Zarząd był w pełni poinformowany o tym, co dzieje się przy ulicy Janosika. Bo gdyby był, to może nie anulowałby wcale uchwały o przywróceniu ogródka jordanowskiego? Może też zechciałby przyjąć do wiadomości, że ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo nie skanalizowa-

nych podejrzeń, zaskoczenie było jednak zupełnie, albowiem tego akurat zarząd się nie spodziewał.

Można było przecież poczekać te dwa miesiące do końca kadencji, miesiąc na działkach „martwe”, i wtedy wyjaśnić wszystko na walnym zebraniu. Można było wcześniej i nawet dużo wcześniej wezwać zarząd na rozmowę ostrzegawczą, przeprowadzić kontrolę... Krótko mówiąc, można było załatwić tę sprawę w zupełnie inny sposób — jawnie, otwarcie, a nie zza węgla — pomyślał Wacław S. i w pewnym momencie demonstracyjnie opuścił „posiedzenie”, a za nim — pozostali zawieszeni.

Co było dalej, nikt nie odgadnął: prezydium WZ PZD upewniło się, że miało do czynienia z nieodpowiedzialnymi ludźmi, a zawieszony zarząd — że najpierw został wciągnięty w brzydką zabawę pod nazwą: zrobić porządek w waszym POD, a następnie skrzywdzony i złośliwie ocenzurowany. Wszystko wskazywało też, że maczali w tym palce niektórzy działko-

tem jednak po interwencji WZ PZD i Prokuratury Wojewódzkiej uznano jedynie, że Wacław S. powinien zwrócić zatrzymane dokumenty i pieczęć. To wszystko. Nikt nie spróbował nawet sprawdzić zasadności zarzutów, które spowodowały zawieszenie, nikogo nie interesowało, dlaczego przez prawie cztery lata zarząd POD im. Janosika postępował tak, jak postępował, jak układały się jego wcześniejsze stosunki z wojewódzkimi władzami PZD i co było rzeczywistym powodem ich zepsucia. Nawet sąd nie chciał w to wnikać.

Wszyscy patrzyli tylko na skutki — mówił Wacław S. — zapominając zupełnie o przyczynach. A przecież jakieś przyczyny były, były ponad wszelką wątpliwość!

Czy ktoś zechce jeszcze kiedyś o nie zapytać?

Referat wprowadzający WZ PZD na nadzwyczajne walne zebranie członków POD im. Janosika w dniu 19 stycznia 1986 roku informował, że:

„Wojewódzki Zarząd PZD uchwałą z dnia 28 grudnia 1983 r. zawiesił Zarząd POD im. Janosika w pełnym jego składzie, albowiem działania tego zarządu były sprzeczne z obowiązującymi w Związku przepisami i prawem w ogóle, przynosiły szkodę Związkowi, doprowadziły społeczność tego ogrodu do wielkiego skłócenia”.

Konkretnie zarzuty można znaleźć w uzasadnieniu do uchwały WZ PZD o zawieszeniu.

Dają się one sprowadzić do następujących stwierdzeń:

ukaranie przez zarząd Zygmunta Sz., Henryka S. i Stanisława K., za ich działalność w organach związku na terenie ogrodu oraz wywieszenie informacji o karach przed ich uprawomocnieniem było sprzeczne ze statutem PZD i regulaminem POD;

zarząd nie przyjmował do wiadomości, że tylko Krajowa Rada PZD posiada uprawnienia do interpretacji statutu oraz regulaminów, zawłaszczając to prawo dla siebie, a zatem — stawiając się ponad KR PZD;

zarząd sprzeciwiał się wykonaniu prawomocnych postanowień Krajowej Komisji Rozjemczej;

dopuszczał do nalożenia przez walne zebranie kar pozbawienia biernego prawa wyborczego przez dwie kadencje, sprzecznych z obowiązującymi przepisami;

doprowadził do całkowitego rozpadnięcia się komisji rozjemczej POD im. Janosika w 1983 roku;

wywieszając w gablotach ogrodu swoje pisma m.in. do KR PZD i KL PZPR, nawoływał tym samym działkowców do nieposłuszeństwa wobec nadrzędnych organów PZD.

— Jaki dalszy program i zadania wynikają dla Polskiego Związku Działkowców zarówno z dotychczasowych doświadczeń, jak i porównań z innymi krajami?

— Na pierwszym miejscu postawiłbym dalszy rozwój i umacnianie samorządności w ogrodach, cementowanie społeczności, które same kierują swoimi sprawami, same dbają i odpowiadają za stan swoich ogrodów.

(z wywiadu prezesa Polskiego Związku Działkowców, Eugeniusza Kondrackiego dla „Życia Warszawy” — 17 sierpnia 1987 r.).

PAWEŁ TOMASZEWSKI

(2)



A na działkach spokój

nej ubikacji dzieci i wnuki działkowców nie powinny bawić się na resztkach terenu po rozparcelowanym placu zabaw, co później potwierdził w swej opinii sanepid. A przecież innego miejsca od 1978 roku nie miały.

Było to jednak tylko podejrzenie, domysł — zresztą jeden z wielu, jakie towarzyszyły pracy zarządu POD im. Janosika w 1983 roku, praktycznie ostatnim w jego czteroletniej kadencji, gdyż 24 lutego 1984 roku miało się odbyć walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Miało, ale się nie odbyło, gdyż...

3 stycznia wszyscy członkowie zarządu otrzymali pocztą imienne zawiadomienia o „wyjazdowym posiedzeniu” Prezydium WZ PZD na terenie POD im. Janosika, które wyznaczono za dziesięć dni. Zarząd miał się stawić w komplecie, wraz z prowadzącym księgowość Janem B., i z dokumentacją ogrodu, ponieważ „rewident Zarządu Wojewódzkiego ma polecenie przeprowadzić kontrolę...”.

Słowa te nie zapowiadały nic dobrego. Po pierwsze — że nie było dotychczas w POD im. Janosika „wyjazdowych posiedzeń”, po drugie, — że w zawiadomieniu brakowało porządku obrad, a po trzecie — że w atmosferze nieufności do władz wojewódzkich członkowie zarządu czuli to wprost instynktownie. Zanim więc doszło do spotkania 15 stycznia, zarząd zwrócił się do Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej o przeprowadzenie kompleksowej kontroli całej jego działalności (czego nie robiono od 1980 roku). W tym również „o kontrolę m.in. całości sprawy ogródka jordanowskiego ze szczególnym uwzględnieniem przestępczych poczynąń Prezydium Wojewódzkiego Zarządu w tej sprawie...”, dodając w uzasadnieniu prośby:

„Ponieważ Statut nie daje Prez. W.Z. uprawnień do przeprowadzenia kontroli osobiście, jesteśmy przekonani, że Prez. W.Z. chce w podstępny sposób przejąć nasze dokumenty i zatrzeć ślady swych przestępczych działań przeciwko nam”.

Odpowiedzi zarząd POD im. Janosika oczywiście nie otrzymał przed 15 stycznia. Później zresztą także nie, gdyż na „wyjazdowym posiedzeniu” odczytano mu głośno treść uchwały Wojewódzkiego Zarządu o... zawieszeniu go w dniu 28 grudnia 1983 roku. Mimo wcześniej-

wsze spod znaku Janosika. Kogóż bowiem WZ PZD powołał do tymczasowego zarządu w miejsce zawieszonych? — Przewodniczącym został Stanisław K., o którym była już mowa, sekretarzem — Urszula A., która również była w konflikcie z zarządem, skarbnikiem — Barbara W., żona Czesława W., użytkownika działki wydzielonej na miejscu dawnego ogródka jordanowskiego, gospodarzem zaś — Zygmunt Sz., ukarany przez zarząd, przyjaciel i poplecznik Józefa B.

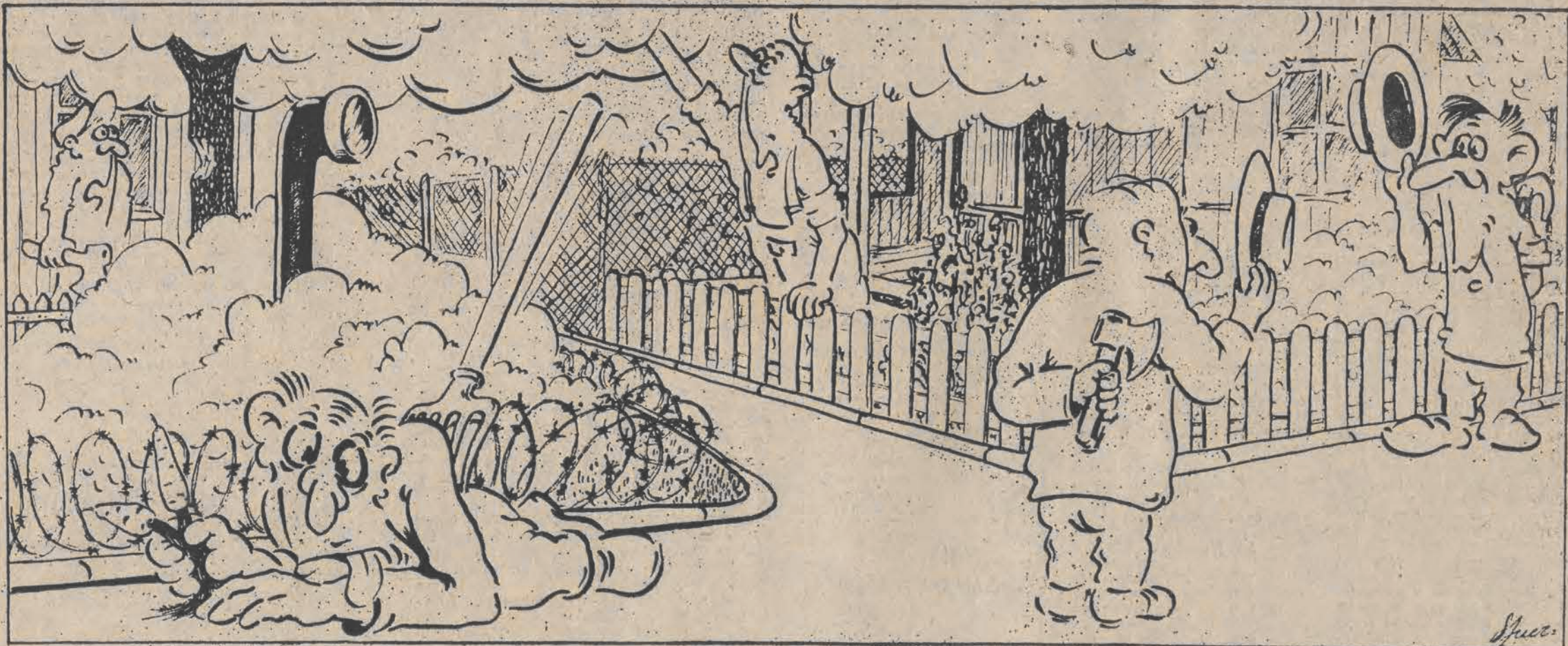
Zdaniem Wacława S. taki

skład tymczasowego zarządu jednoznacznie świadczył, iż w grę wchodziły tu także sprawy personalne,

a dokładniej biorąc — urażone ambicje tych, którym bezkompromisowość zawieszonych zarządu od samego początku była nie na rękę. Co więcej, zarząd tymczasowy sprawował władzę znacznie dłużej niż przepisowe sześć miesięcy, a władze wojewódzkie ignorowały wezwania do zwołania nadzwyczajnego walnego zebrania członków POD, tłumacząc się nieprzekazaniem im dokumentacji ogrodu przez Blandynę K. i Wacława S. Czy był to jednak powód jedyny i wystarczający? Sekretarz zawieszonych zarządu domyślał się, iż chodziło raczej o to, aby jego i paru innych osób tak długo, jak to tylko możliwe nie dopuścić do publicznego zabrania głosu. Dlatego zarząd tymczasowy kierował ogrodem nie sześć miesięcy, a dwa lata!

Wacław S. wielokrotnie odwoływał się w tej sprawie i w ogóle w sprawie zawieszenia, gdzie tylko mógł: do Krajowej Rady PZD, Ministerstwa Administracji i Gospodarki Terytorialnej, Naczelnego Sądu Administracyjnego, PRON, prokuratury... Początkowo wraz z innymi członkami zawieszonych zarządu, potem tylko z Blandyną K., wreszcie sam.

Krajowa Rada popierała w pełni stanowisko WZ PZD, ministerstwo przekazało sprawę do rozpatrzenia... Krajowej Radzie, NSA w ogóle nie otrzymał skargi Wacława S., gdyż KR PZD jej tam nie przekazała, choć powinna, PRON odwołał się do zdania prokuratury, Prokuratura Rejonowa zaś najpierw „umyla ręce” powołując się na brak kompetencji, po-



Rys. Sławomir Luczyński



Na stresy - najlepsze są dresy...

ze str. 1

ciekawym zakład. Zarobki jak i warunki pracy były tu lepsze niż w innych kółkach zakładach włókienniczych, toteż trudno było otrzymać zażycie u „H. i W.”. Najczęściej udawało się to „z polecenia ważnych osób”. Niektóre obowiązki dotyczące pracowników były dość oryginalne: nie wolno było na przykład przychodzić kobietom do pracy w chustkach, a wyłącznie w płaszczach i kapeluszach. Ogromnym wzięciem na rynku krajowym i zagranicznym cieszyły się produkowane tu wysokiej jakości swetry, bluzki, spodnie, kostiumy kąpielowe, damskie i męskie bielizna. Fabryka otrzymała wiele międzynarodowych wyróżnień i medali.

Wpada wyraźnie rozeźloną szef, duszkiem wypija szklankę słonej „Krystynki”.

— Pewnie strajk... — do-wcipkuje.

— Jeszcze nie... — dyrektor zerka na mnie koso. — Chole-raz, żeby głupiej waty nie moż-na było załatwić!

— Jakiej waty? Do produk-cji dresów? — teraz ja muszę

mieć lekko zdziwioną minę, bo Węglarczyk wybuchł śmiechem.

— Nie, nie! Moje panie, a mam ich tu prawie tysiąc! Chęć by im pomóc załatwić watę, bo nigdzie nie można jej kupić. Co za czasy! — Pan tu mnie przyciska czemu nie produkuje dresów niczym Adidas, gdy tymczasem...

— Największym rarytasem jest wata i papier do...

— No właśnie. I ja im tej waty nie mogę załatwić! Uży-wając do pomocy tak zwanych najwyższych czynników. Choć gdy ten materiał się ukaże, ma już do Łodzi nadejść zapowie-dziana partia dodatkowych 25 ton z pabianickich „opatrun-ków”.

— No, to dobra nowina! Wróćmy więc jeszcze na chwile do prozaicznego eksportu do Wielkiej Brytanii. Zapewne, skoro wciąż jakoś nie naj-wyższa, „ida” tam pańskie dresy za przysłowiowe grosze?

— Nie takie to znów „gro-sze”, dokładnie „Dresso” do-staje za jeden dres około 6,5 dolara.

— Przy realnym kursie pra-wie 1000 złotych za dolara — nie jest to mało...

— Oczywiście. Ten dres ko-

jak kto woli — prołenu...

— Ależ one „nie idą”.

— Nie muszą. Większość z powodzeniem eksportujemy...

— W ciągu ostatnich lat eksport stał się naszą mocną stroną, jeszcze kilka lat temu „Dresso” kojarzyło się raczej z produkcją byle jakich, sztucz-nych „polówek”, a nie efek-tywnych pidżam czy dresów...

— To prawda. Podajmy dwie liczby, żeby nie zarzucono nam, że te opowieści sączymy z głowy. Proszę, 1984 rok: wartość produkcji rocznej 1,1 miliarda złotych i praktycznie żadnego eksportu. I rok bie-żący: globalna produkcja sięg-a 3 miliardów, a udział produkcji eksportowej — ponad 700 milionów.

— To zastęga, w dużym stopniu, dyrektora Węglarczy-ka, który rozpoczął tu pracę, nomen omen — 1 kwietnia ty-sięć czterdzieści osiemdziesiąt-go czwartego roku?

— Całej załogi, wszystkich. Opracowaliśmy jakby nową strategię produkcji. Wyeliminowaliśmy przede wszystkim konfekcjonowanie dzianin z za-kupu, no i przeszliśmy generalnie w wyroby z dzianin fro-towych.

— Nie obeszło się bez mo-

deralizacji maszyn...

— To zrozumiałe. Ale we wspomnianym 84 roku roblis-my 200 ton dzianiny, obecnie — 8” — 850 ton rocznie. Ale też energooszczędna Textima pro-dukowała na godzinę 4,5 kilo-grama „frotki”, a podobna maszyna firmy Mayer — już 18 kilogramów.

— Mówiliśmy już o dresach, o kostiumach kąpielowych. Ale wasz główny szlagier ostatnich lat to oczywiście...

— ... pidżamy. Damskie i męskie. Klasyczne, z długimi spodniami i — bardzo poszuki-wane — letnie, z krótkimi rękawami i krótkimi, zgrabnymi porteczkami z dzianiny frotte.

— Gdzie to można kupić?

— Adresy jak wyżej: eksport, „Moda Polska”, „Galux”. Ale nie przesadzajmy, bywają też w „normalnym” detalu, choćby w „Karolinie” na Marszałkowskiej. Ale o wyborze sklepu to już ja nie decyduję. Eksport pidżam to w tym roku 2,5 miliona marek RFN, sprzedajemy właśnie do RFN, Francji, Holandii.

— Mówią o „Dresso”...

— Ale kto mówi?

— Powiedzmy, z kół zbliżo-nych do handlowych. Mówią więc, iż ten eksport, to ogrom-ne zasoby „twardej” waluty. Powiedzmy zatem — ile?

— Koniecznie?

— Ja wiem, że zaawistnych nie brakuje, ale właśnie dlate-go...

— No, powiedzmy, że mam pół miliona dolarów rocznie...

— Nieźle...

— Większość niestety, idzie na odpisy dla wszystkich na-szych kooperantów. A teraz każdy wyciąga rękę: na barw-niki, na przędzę, na nici i gu-ziki też.

— To ileż wam zostaje?

— Około 200 tysięcy dola-rów. I to w całości przeznaczamy na zakup maszyn, części, podzespołów. Bez stałego uno-woczenia parku maszyno-wego nie przeskoczymy tych wielokrotnie dziś wspomina-nych dresów a la Adidas.

Tak na marginesie: chcemy zakupić między innymi we włoskiej firmie „Rimoldi” spe-cjalistyczny ciąg produkcyjny do konfekcjonowania dresów. Będziemy ich wówczas mogli wyprodukować nawet 40 pro-cent rocznie więcej. A zbliża się olimpiada w Seulu i ładne stroje dla naszych sportowców będą potrzebne.

— Prawda jest, że „Dresso” udziela tylko 11 procent mar-ży handlowej na swoje wyro-by, a nie 16 jak inni produ-cenci?

— Prawda.

— A dlaczego tak mało da-jecie?

— Bośmy dobrzy są i cenić się trzeba. Handel zresztą nie narzeka, i tak się „zabija” o nasze wyroby.

— To na coż znów te złotów-ki ciulacie?

— Aktualnie zbieramy na do-kończenie modernizacji far-biarni, a przed nami jeszcze niezbędna modernizacja szwal-ni, dzielnicy...

— A co ładnego pokazacie na targach jesiennych w Po-znańcu?

— Kolekcję dresów.

— A w Hamburgu?

— Oj, nie ma o czym mó-wić...

— Bez fałszywej skromności, wiem, że wielu wam tych wy-jazdów zazdrości, ale to prze-cież nasza narodowa cecha.

— No to napiszmy, że „Dre-sso” uczestniczy w tych tar-gach, organizowanych przez polską spółkę „Texinco”, regu-larnie od trzech lat i w tym roku sprzedamy...

— Na pewno sprzedamy?

— Na pewno, za około 1,5 miliona marek. Będą to niemal wyłącznie wyroby frotte; głów-nie pidżamy.

— Dostając za jedną sztukę? — Przeciętnie od 13,5 do 14,5 marki RFN. Ale, jak już mó-wiliśmy wcześniej, cena katalo-gowa, detaliczna będzie śred-nio trzykrotnie wyższa.

— Czy szef firmy już tak re-nomowanej i z dużymi pre-tenzjami produkcyjnymi korzy-sza z wyrobów „Dresso” na co dzień?

— Jasne! Świetnie mi się śpi w pidżamie z własnej firmy. Czyli przypowieść o szewcu tym razem się nie sprawdzi.

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI



Mówi: Zbigniew Korzeniowski

— Czy słuchasz radia?

— Tak, oczywiście. A najchętniej — i najczęściej — własnych audycji. Jestem ich najkrytyczniejszym słuchaczem; podczas e-misji dostrzegam bowiem błędy montażu i najczęściej mam wra-żenie, że w tej chwili wszystko zmontowałbym zupełnie ina-czej.

— A poza swoimi audycjami?

— Głównie IV program. Nawet w samochodzie cały czas mam włączone radio — oczywiście na „czwórce”.

— A „trójka”?

— Też, ale rzadziej. Jest — w moim odczuciu — za mało pogłębiona, zbyt skrótowa. Słowem — „expressowa”.

— Na ogół sam przeprowadzasz wywiady. Jak się czujesz w odwrotnej roli?

— Fatalnie. Zaczynam rozumieć swoich rozmówców, którzy się denerwują, czują treść, których peszy mikrofon — bo gówni mówić „dobrze” i „ładnie”.

— Czy miałeś „wpadkę” na antenie?

— A bo to jedna? Każdy z nas ją miał. Niedawno w „Czte-rech porach roku” uczestniczyłem w programie o pomocy szko-le. Po przyjeździe do studia okazało się, że nie ma prowadzącego i ja — gość programu — muszę go poprowadzić. Chciałem wszy-stko zrobić jak najlepiej i... stało się. Patrzył na zegar — jest punkt dziesiąty. Słyszę „piki” (tzn. sygnał czasu), dostaję świa-tło — znak że jestem na antenie — i mówię: „Jest godzina dziesiąta”. Później byłem już tak zdenerwowany, że zapla-tał mi się język i wyraz „kulturalne” próbowałem powiedzieć chyba że trzy razy. Na koniec — o mały włos — przeczytałbym dwa razy to samo zdanie, które przez pomyłkę było powtórzone w serwisie informacyjnym.

— A inne przygody?

— W czasie III Zjazdu ZHP robiłem rozmowę z Marianem Spy-chalskim — ówczesnym Marszałkiem Polski i jednocześnie prze-wodniczącym Rady Przyjaciół Harcerstwa. Wywiad wyglądał w ten sposób, że podbiegłem do niego z ważącym dwanaście kilo-gramów magnetofonem, spytałem o wrażenia ze zjazdu i... po-siłczałem się padając przed nim na kolana. Nad głową usły-szałem słowa: — Moje wrażenia są wspaniałe. A jakie są wa-sze? — Wtedy też po raz pierwszy byłem w TV — cały ten moment był bowiem emitowany.

— Może jeszcze jakaś?

— Na tym samym zjeździe przemawiał ówczesny I sekretarz PZPR — Władysław Gomułka. Stałem obok niego z mikrofonem tak długo, jak długo delegacje młodzieży wręczały mu kwiaty i upominki. Gdy doszedłem do wniosku, że mam już dość ma-teriału dźwiękowego, chciałem odejść. Nagle słyszę chórny śmiech sali. Odwracam się i widzę, że ciągnę Gomułkę za so-bą na... kablu mikrofonowym, który wpłatał się w wiązanki kwiatów. Do dnia dzisiejszego przechowuję zdjęcie, które zro-bili mi koledzy z „Na przelaj”, jak razem z Gomułką rozplątujemy kabel z kwiatów.

— Twoja ulubiona postać radiowa?

— Tadeusz Szuk. I to już od samego początku jego radiowej działalności, tzn. od czasów „Rozgłosz Harcerskiej”, gdzie był zastępowym.

— Ile audycji radiowych nagrałeś?

— Tego już nie da się określić, jest to po prostu fizyczna nie-możliwość. Było ich zbyt wiele — to już dwadzieścia dziewięć lat na antenie...

— Ale największe cykle antenowe pamiętasz?

— Tak. Zaczęło się od „Wakacji na własny rachunek”. Póź-niej były „Kolorowe podwórka”, „Świat ginących wiatraków”, „Aby Lipce były Lipcami”, „Most radiowy”, a obecnie robię w programie I „Kto pomoże szkole?” i „Bezkrwawe łowy” w pro-gramie IV. Przed 30 laty byłem natomiast jednym z inicjatorów powstania Rozgłosz Harcerskiej.

— Czy twoja działalność radiowa zaowocowała jakimiś nagro-dami?

— W 1977 roku otrzymałem nagrodę prezesa Komitetu ds. Ra-dia i Telewizji za koncepcję programową i realizację akcji „Wakacje na własny rachunek” oraz w 1984 r. nagrodę Rady Mini-strów PRL za twórczość artystyczną dla dzieci, a właściwie za popularyzację kultury ludowej wśród młodych słuchaczy. To by-łyby te najważniejsze.

— Dwadzieścia dziewięć lat w zawodzie — to szmat czasu. Znasz może jakiś dowcip o dziennikarzu radiowym?

— Hmm... Nie. Nie mam pamięci do kawałów. Ale mogę ci powiedzieć coś autentycznego. Kilka lat temu — jak wiesz — programy radiowe znów zaczęły być emitowane „na żywo”. Mówi do mikrofonu ze świadomością, że jest się słuchanym przez kilka milionów osób — to duże obciążenie psychiczne. Właśnie w owym czasie Kryśka Tamulewicz przed każdym wejściem „na żywo”... ściagała buty! Pytały ją: dlaczego? Odpowiedziała: „Żeby nie było słychać, jak mi się nogi trzęsą”.

— Twoje hobby?

— Etnografia, podpatrywanie przyrody, turystyka rowerowa, fotografia...

— Czy lubisz gotować?

— To ma być do twojej wiadomości czy wiadomości czytel-ników?

— Dla czytelników.

— Nie, nie lubię.

— A prywatnie?

— Kiedyś lubilem piec szarlotkę — ale było to dawno, je-szcze za studenckich czasów. Teraz lubię kisić ogórki i gotować bigos.

— Można dostać przepis na bigos z la Korzeniowski?

— Można. Ale on jest nie do zrealizowania z 2,5 kg kartki. Bowiem na mój bigos potrzeba kilku gatunków mięs: wołowi-ny, wieprzowiny, baraniny, koniny, a także drobiu. Mięsa musi być prawie tyle samo, co i kapusty. Kapusta — oczywiście w dwóch postaciach: świeża i kiszona. Do tego suszone sliwki i czerwone wino. Tajemnica bigosu tkwi w tym, że tylko część mięsa duszona jest z kapustą. Resztę piecze się osobno i dodaje do bigosu tuż przed zakończeniem gotowania. Najlepszy jest o-czywiście po kilku dniach, gdy jest już parę razy odgrzewany.

— Czego się życzy dziennikarzom radiowym?

— Chyba tego, żeby mu nie wysiadły baterie w magnetofo-nie.

— A więc życzę ci tego!

— Teraz? Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej! Ty wiesz, jaki wspaniały materiał — właśnie przez baterie — „uciekł” mi sprzed nosa podczas pobytu w Czechosłowacji?

Rozmawiał: WITOLD WERNER



Foto: Grzegorz Galasinski

Wiersze iwanowskich przyjaciół

Iwanowo — jedno z centrów przemysłu włókienniczego Rosji i tzw. „bliźniacze” miasto Łodzi znajduje się, obok Suzdału i Kostromy na odcinku zachodnim słynnego „Złotego Pierścienia” miast nadwołżańskich o szczególnie barwnej przeszłości. Jest krainą legend, bogatą w zabytki architektury świeckiej i sakralnej z czasów rusko-romańskich i nawet starszych niż romańskie. Często nazywa się je muzeami na świeżym powietrzu, a i planuje objęcie całego „pierścienia” wspólną organizacją miast niejakie skansenowskich o szczególnych rygorach, jeżeli chodzi o zabudowę i obszary strzeżonego krajobrazu.

Iwanowo posiada uniwersytet z rozbudowanym wydziałem filologicznym i utalentowane środowisko intelektualne, artystyczne (w tym słynną w świecie grupę artystów ludowych o bardzo starych tradycjach) i literackie. To ostatnie jest wybitnie utalentowane i jakkolwiek brak lokalnego wydawnictwa książkowego oraz pisma literacko-kulturalnego, stanowi pewien czynnik hamujący jego produkcję, zajmowało ono całkiem znaczące miejsce w życiu literackim Rosji już od przelotu naszego i poprzedniego wieku, po Rewolucji, kiedy to powstał tu Kołm Prawdziwych Proletariackich Poetów opiekował się

żarliwie Gorki, a nawet interesował się Lenin.

Obecnie też to nieduże (ponad dwudziestu twórców) środowisko należy do artystycznie najciekawszych bodaj najbardziej zauważalnych z podobnych ośrodków na bliższej czy dalszej prowincji rosyjskiej. Nie jest rzeczą współczesnych osadzanie twórców na Parnasie, uczyni to w sposób nierównie obiektywniejszy historia literatury. Niemniej pragnę zwrócić uwagę, że z prozatorów tamtej ziemi wybór ich utworów wychodzi obecnie nakładem KAW-u w oprac. Wasyla Kocznowa. Szczególną popularnością cieszy się nie tylko w ZSRR proza Witalija Serdiuka. Jego powieść „A niebo błękitne” przełożył przed niewiele laty i wydał w oficynie łódzkiej Konrad Frejdlach. Głosnymi poetami są: Władimir S. Zukow, (ur. 1920), autor wielu tomów poezji, w tym wielu wierszy o Polsce pod wpływem przeżyć wojennych podczas wyzwalania Małopolski, laureat Nagrody Państwowej im. Gorkiego; Michaił Dudin (ur. 1916) także poeta i żołnierz (ten wyzwał z kolei wybrzeże) nagrodzony autor wielu książek prozą i wierszem; Władimir Dogadajew (ur. 1926) autor wielu tomów, poeta zwięzły, władający po mistrzowsku skrótem artystycznym, bardzo mi poetycko bliski; Władimir Marfin (ur. 1934) mistrz miniatury

poetyckiej i wielu innych. Nie sposób tu wymienić wszystkich wyróżniających się poetów. Szczególnych przyjaciół poezji rosyjskiej odsyłam do wydanej staraniem TPRP, a opracowanej przez W. Kocznowa i niżej podpisanego antologii „Znam brzmienie słowiańskiej mowy. Wiersze poetów Iwanowa” (z. wyd. 1980). Należy tylko jeszcze słów kilka poświęcić osobie i twórczości wymienionego przed chwilą Wasyla Kocznowa. Urodzony w 1922 r. koło Rżewa jest poetą eseistą po równi niemal dwóch naszych bliskich narodów i dwóch bliźniaczych miast — właśnie Iwanowa i Łodzi. Ożeniony z Polką, pracował przez wiele lat na Uniwersytecie Łódzkim: od 1980 związany z Uniwersyteciem w Iwanowie, członek Związku Pisarzy ZSRR. Autor tomów poezji na przemian po rosyjsku i polsku. Jako poeta rosyjski przynosił na grunt tamtejszy wiele zdobytych polskiej awangardowej poezji, tłumaczył poetów polskich na rosyjski, od Słowackiego po bardzo młodych łódzkich autorów. Jako naukowiec szczególnie znawca i badacz „Słowa o wyprawie Igora” i związków kulturalnych polsko-rosyjskich w XVII i XVIII w. Laureat Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji na książkę eseistyczną o sztuce przekładu „Utracana Inonia”.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Władimir Marfin



Dziś mi już nie ma wolności
się bili,
wzrostkiem zasie
i czar by nie zdziwili.
Męstwa od matek
mamy się uczyli,
a serdeczność (kiliwe)
od żołnierzy.

Władimir Dogadajew

Jesień

Pamiętasz tę wojenną jesień?
Stuk kół pod nami w dal się niesie.

W dół kielkującej oziminy
Uderza pierwszy zamrós silny.

Wyrastki — kłoski ledwie wzeszły,
Szybko wyrósł ostre, spierzchnięte.

Wyrósł. Wnet my, mocni sercem,
Z ojcami w jednej tyraderce.

Czas dojrzewania nam nie pluł —
Leż nowym ziarnem nas powtórzył



Te parowy i gęste przylaski,
Te ruczajów spieszne mamrotania.

Nasze czasy — drogi i przełaski
Do rozbrasku nagłego spotkania.

Zajasnijcie, wyjarzy się, gaśnie...
I zastygnie jak w kosmosie gwiazdy.

Leś od rana
W kierunku rozjaśnienia
Wynurza się z mgły mkną pojazdy.

Władimir Żukow

Na przełęcz

Od wiosny w Tatrach tych, bodających chmury
Spł na przełęcz wlecznym snem plechury.

Koledzy chłopów w żwirze zakopali,
Z głazów nad nimi usypali kopce
Pod Orlą Percia, hen, za Zakopanem,
W milę od miejsca, gdzie nuri wojny dotrze.

Wzdłuż całej drogi rwą z kaukaskich stoków,
Na tej przełęczy znalazł ujście — w Pokój...
Brzask płoń, kłócie bzu dymili w jarze,
A na działkowych przodkach na biwaku
Żalobne pisma pisali pisarze.

Jak po żelazie pióra im skrzyły.
Biorąc zadany ból na swe sumienie,
Pisali szczerą prawdę jak umieli...
I narzeczono przed ślubem wdowi, i
I zamieniały się matki w kamienie...
A w pododdziałach pisarze siwili.

Michaił Dudin

I.T.

Zostaniesz na zawsze w mym życiu zawilim,
Ta sama co dzisiaj i ongi.
Pociągi do ciebie wzywały, nagliły
I ja pokochałem pociąg.

Płatały się drogi, na fletcie wiatr szlochał,
Świeciły jak przybój sygnały...
Jam ziemię rodzinną tym mocniej ukochał,
Ze po niej twe stopy stapały.

I byłaś tam ze mną, gdzie ogień blił gęsto —
Tyś broń i nadzieję, i siła.
Jam życie pokochał być może i przez te,
Ze ty pokochałaś mnie, młła.

1947
Przekł.: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Iwan Chanajew



Przez całe lata, przodków wzorem,
Co znaczy mistrzem zostać — pytam.
Ten dzień spełnienia, hen, za borem,
Odległa wciąż ta chwila szczytna.

Czy przyjdzie w dzień jubileuszu,
Gdy śladem przynię kark krzyżyków,
I siwy, pełen animuszu,
Będę pochlebstwa i łzy tykał.

Nie w czas wylecien mych udanych
Zasług i zalet w każdym dziele...
Przyjdzie ten dzień, gdy ktoś nieznanym
Napisać, że mu przyjaśniam.

Aleksander Błagow



Przepiękny mój rodzinny kraj,
Jak bardzo jesteś sercu bliski!
Oto ścieżką obok gału
Idę chruszałkiem, uroczyskiem.

Witaj, strumieniu gadatliwy,
Sunący pod wysokim brzegiem!
Czy nie o naszych dniach szczęśliwych
Tam nucisz, upojony biegiem?

Płasi harmider, cień od kłonu,
Cisza w królestwie leśnym milym...
Dzień po dniu nowe z niego wonia
I piersi wypełniają siły.

Jak dobrze po twych czarodziejstwach!
W sercu do pracy chęć wzebrała.
Czeremcho miła, podmoskiewska,
Czemu wciąż jesteś taka biała?

Przekład:
WŁADYSŁAW STRZELECKI

Wasyl Kocznow

Tajemnica

Córce Wandzie

Nikt nie widział
jak przesuwa się granica
między rzeczywistością i zmyśleniem
porażką i zwycięstwem
snem i jawą
duchem i ciałem
miłością i nienawiścią
bo ona przechodzi jednocześnie
tu i tam
niepostrzeżenie
jak światło w zmierzchu
Dla mnie zanika
a dla ciebie
dopiero wchodził
z ciemności

Poezja

Morze nad ranem
jest majestatycznym heksamebrem
słucha swej głębi
pod rozklosowanym niebem

Dwie wąskie łódki w dal
jak sandały Wenus
zostawione podczas ucieczki
czekają na płasku
spragnionym jej ciała
Do nich
podpływają delfiny i okręty
O tej właśnie porze
nad morzem
chodzę z tobą
pod rękę

Oczekiwanie

Oczekiwanie ma swoje okna
wychodzą na cztery pory roku
najbardziej na zimę
Porastają białą ciszą
i czekając na mnie
kreślą na srebrnych gałązkach mrozu
„kocham”

Poprzez „kocham” wpatrują się
w ślepy cień grudnia wśród samotnej nocy
w pustkę wmarznąłą w śnieg
Poprzez „kocham”
słuchają ulicy za lasem na szybie —
czekają
złapanie w skrzydła
uniesionych brwi
by przetrwać zimę
w której mnie
nie ma

WIERSZE NAPISANE PRZEZ
AUTORA PO POLSKU

Larisa Szczenaj



Kocham wciąż silniej i feralniej —
Mękę z tęsknotą w jedno mieszcząc —
Wypukły, dzwiczny, dostrzegajny,
Wiosenny, letni i nawałny,
Ścisnięty w mrozu kleszczach,
Ten istniejący świat realny
Z nieszczęściem, co nastąpić musi,
Z nieuchronnością utrat sroga,
Gdzie się minęły nasze dusze
I gdzie się spotkać już nie mogą.

Przekł.: FLORIAN NIEUWAŻNY

Kronika kulturalna

OGÓLNOPOLSKA
INAUGURACJA Roku
Kulturalnego oraz Sezonu
Artystycznego 1987/1988 odbędzie
się 30 bm. w Nysie (na
Opolszczyźnie).

W trakcie niej, po raz
pierwszy, wręczonych zostanie
dziesięć nagród wyróżniającym
się towarzystwom regionalnym.
Nagrody te ufundowane zostały
przez ministra kultury i sztuki
— przyznawane zaś będą
każdego roku najaktywniejszym
towarzystwom.

PRZEZ DWA DNI, 11 i 12
września br. Łódź i Sieradz były
„Miedką i Medyną” czcicieli
i miłośników Kalliope.
Gościli bowiem poetów i
krytyków z całego kraju,
uczestniczących w XV
Ogólnopolskim Festiwalu Poezji,
organizowanym przez Oddział
Łódzki ZLP.

Z tej okazji odbywały się
liczne imprezy, sesje
krytycznoliterackie i spotkania
autorskie. Rozstrzygnięte też
stały tradycyjne już konkursy
poetyckie.

Za najciekawszy tom poezji —
opublikowany między festiwalami
— jury, obradujące pod
przewodnictwem Tadeusza

Chróscielewskiego, uznało
„Święty brud” Jerzego
Górzańskiego, zaś za
najciekawsze debiutanckie tomiki
poetyckie nagrodziło — Pawła
Filasa, Andrzeja Jakuba
Mularczyka i Janinę Małgorzatę
Lewicką. Drugie nagrody za
najbardziej interesujące, nie
publikowane zestawu wierszy
otrzymali: Mirosław Bochenek,
Krzysztof Soltysiak (ze Złazera)
i Stanisław Filipowicz.
Nagrody wręczono w MBP
im. Ludwika Waryńskiego,
w obecności m.in. sekretarza
KL PZPR — Grzegorza
Misiewicza.

W RAMACH OBCHODÓW
„Dni Słupska” w Łodzi,
18 września, w Ośrodku
Propagandy Sztuki (w parku
im. H. Sienkiewicza), otwarta
stała bardzo interesująca
wystawa poplenerowa „M — jak
morze” (Ustka '85 — '87).
Naszych łódzkich „szczeniów
ładowych” gorąco zachęcamy do
nasycenia się do woli
urzekającym pięknem Bałtyku,
utrwalonym malarską paletą.
Natomiast w Galerii Sztuki
BWA (przy ul. Wólczańskiej 33)
od 25 bm. prezentować będzie
swoje prace malarskie Stanisław
Mazur.

Mamy również ciekawą
propozycję dla bibliofilów.
W Galerii Bałuckiej, na Starym
Rynku, czynna jest od 18
września wystawa pn. „Ekilibrium
i kolekcjonerskiej teki”.

MIEDZY 23 a 27 września
czeka nas wiele interesujące

spotkanie z Działem Muzyki
Organowej i Oratoryjnej,
organizowanymi tradycyjnie
przez Filharmonię Łódzką
w Kościele Ewangelickim
św. Mateusza.

Program tegorocznej imprezy
zapowiada się rewelacyjnie.
Przewidziane są m.in. dwa
koncerty oratoryjne. Gościć
będziemy również wybitnych
organizatorów: Marka Kudlickiego
(związane aktualnie z Orkiestrą
Symfoniczną Radia Austriackiego
w Wiedniu) oraz Juliana
Gembalskiego (laureata
Konkursu Improwizacji
Organowej w Weimarze).

Dużo niespodzianką dla
melomanów będzie niewątpliwie
występ Zespołu Instrumentów
Dawnych Ars Nova z Warszawy,
prowadzonego przez Jacka
Urbanika (absolwenta
Królewskiej Akademii Muzycznej
w Sztokholmie). Da on koncert
złożony z kompozycji króla
hiszpańskiego z XIII w.: Alfonsa
El Sablo. Z zespołem tym
śpiewać będzie gościnnie Jerzy
Artyss — baryton i Mariusz
Gebel — kontratenor.

POLSKA znajduje się w
naszej okolicy osterdzistę
programów telewizji satelitarnej.
Liczący użytkowników
przekroczył 300 osób, a 1200
dalszych otrzymało swobodę
na oglądanie.

PRIMABALERINA
KUBAŃSKA, Alicia Alonso,
zapowiedziała wystawienie
w Hawanie, opery o życiu
Ernesta Hemingwaya.

Otworzy ona Międzynarodowy
Festiwal Sztuki, który odbędzie
się w październiku w stolicy
republiki.

WYDARZENIEM
ARTYSTYCZNYM dużej rangi
był występ w naszym mieście,
w ubiegłą niedzielę, Państwowej
Akademickiej Orkiestry
Symfonicznej Filharmonii
Leningradzkiej.

Ten światowej sławy zespół,
najstarsza orkiestra symfoniczna
w ZSRR (założona w 1832 r.),
przewodzony jest od wielu lat
przez Eugeniusza Mrawńskiego.

NAKŁADEM Centrum
Oświatowo-Wydawniczego
Polskiego Związku
Esperantystów ukazal się reprint
podręcznika dra Ludwika
Zamenhofs „Język
międzynarodowy”.

Ta historyczna książka, która
zapoczątkowała ruch esperantki,
opublikowana została w Polsce
po raz pierwszy w 1887 roku.

MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA im. Ludwika
Waryńskiego w Łodzi wzbogaciła
swoją księgozbiór, w ostatnich
dniach, o cenny nabytek —
32-tomową Encyklopedię
Britannica.

NIE KONCZĄCE SIĘ OWACJE,
okrzyki biał i brawo — taki był
skór występu aktorów
warszawskiego Teatru
Współczesnego na scenie

moskiewskiej Taganki.
Gościł tam oni ze sztuką
Michała Bułhakowa „Mistrza i
Malgorzata”, w reżyserii Macieja
Engleria. A co taki aplauz
oznacza w Moskwie, uważanej
za stolicę teatralną, nie trzeba
tłumaczyć!

ANATOLIJ RYBAKOW, autor
drukowanej w naszym tygodniku
głośnej powieści rozrachunkowej
„Dzieci Arbatu”, powiedział
w wywiadzie dla „Sztandaru
Młodych”: „Odpowiadałem
zawsze, że ta powieść potrzebna
jest przede wszystkim mojej
Ojczyźnie, mojemu narodowi.
Nie zależy mi na sławie
i pieniądzu, mam 76 lat
i niedługo umrę. Ale chcę, aby
mój naród znał prawdę o swojej
przeszłości. Bo moja powieść jest
nie tylko o Stalinie, jest także
o narodzie”.

NA PREMIERĘ OPERY
„NABUCCO” w łódzkim Teatrze
Wielkim, która odbędzie się
w październiku br. zapowiedzieli
swoją przyjazd dyktory
najśłynniejszych scen
operowych: La Scall,
Metropolitan Opera, Covent
Garden.

ŁÓDZKI TEATR WIELKI
otrzymał zaproszenie na występy
w Siniogarcie.
Pokaże tam „Wolfgang
Amadeus” oraz „Così fan tutte”.

OFICyna WYDAWNICZA
ZWIĄZKU PODHALAN
w Nowym Sączu wydała,
w pięknej szacie edytorskiej,
„Myśli o sztuce” Władysława
Hasiora (wybór i opracowanie
Zdzisławy Zegadłówny).

A oto jedna z
charakterystycznych wypowiedzi
Hasiora: „Co to jest dobra
rzeźba? Pytanie zabójcze —
odpowiedź niemożliwa, mimo że
historia sztuki wymienia wielu
wspaniałych rzeźbiarzy, a jeszcze
wcześniej Pan Bóg, lepiąc
człowieka z gliny, dał przykład
rzeźbienia — i nie udało się”.

W FIRMIE FONOGRAFICZNEJ
„MELODIA” trwają prace nad
serią płyt z nagrań koncertów
Władimira Waryńskiego. Dwie
płyty poświęcone będą wiecom
łączącym Wysokiego z Lubliną
Vlady oraz piosenką z filmów,
w których występował.

W TURNIEJU JEDNEGO
WIERSZA o nagrodę
Robotniczego Stowarzyszenia
Twórców Kultury w Łodzi,
pierwszej nagrody nie przyznano;
druga — otrzymał Kazimierz
Graczyk z Łodzi, dwie
równorzędne przypadły w udziale:
Marii Szczesnej z Lublina
i Alfredzie Cegiello z
Aleksandrowa k. Łodzi.
Wyróżnieniami i dyplomami
został uhonorowany: Anna
Wojciechowska z Łodzi, Anna
Romanowicz z Białegostoku
i Janusz Bartłewicz z Łodzi.

Opracował: JAK

W wakacje gdzieś mi się wyjechało. Pewnie daleko, bo nie pamiętam już dokąd. Albo jeszcze dalej. Skuterem. Taki... kuferek na kółkach. Z kierownicą. Z trąbką. Jak się wieje benzyny, to czasami nawet kawałek pojeździć.

Więc też, zamiast do Budapesztu, dojechałem tylko do Kielc. Albo jeszcze bliżej. Jest tam w pobliżu jakiś Łysa czy Diabla Góra. Tam, gdzie te... czarownice zlatują się na tych swoich odrzutowych miotłach. (Zwykle miotły dość trudno zdobyć bez znajomości). No i coś mi się nagle w skuterze popsuło.

Zachrobało. Zazgrzytało. Stało...

Na szczęście jednak jestem profesorem technikum samochodowego, więc zupełnie zrozumiałe, że... nie miałem zielonego pojęcia jak się do takiej naprawy zabrać.

Więc się nie zabierałem.

Staję na szosie, wyciągając rękę przed każdym nadjeżdżającym motorem, ale każdy pokazuje tylko zegarek, rozkłada bezradnie ręce — na zegarku już prawie wieczór, sobota, każdemu się spieszy.

Zrobiłem więc to, co na moim miejscu każdy Polak by zrobił: usiadłem w rowie i czekałem na zmiłowanie boskie. Skuter oparłem o drzewko, flamastrem napisałem wielkimi kufonami: „przechodniu, jeśli możesz — poratuj! Jeśli nie — idź do diabła”. Na patyku zatknąłem afisz jak flagę, że powiewała każdemu z daleka i... wystawiłem twarz w kierunku resztek przedwieczornego słońca — i tak się przecież nie znam, a jeśli sądzono mi być w Budapeszcie, to niech ONI, na Górze, coś tam wymyślą. (Góra zawsze za wszystkich z powodzeniem wymyśla). Może podesła mi na chmurno jakąś duszę pokutującą z branży miłośnierno-naprawczej z wichajstrem? W trzy zdrowski naprawi, odmódlę mu to na rachunek lub w ratach. Albo zwyczajnie, „na fuchę” to zrobi...

Każdy przemknął motorem, rzucił okiem, pojechał. Pieczędliwy dopiero zawrócił — ruszyło go widać sumienie, albo zwyczajnie, chce mi tylko przyłożyć za afisz nieskromny, szosa o tej porze już pusta...

Stałem w kasku, w goglach, niepodobny do nikogo, podobny do wszystkich — nos mi tylko sterczy spod hełmu. Mierzy mnie z góry na dół i od pasa znowu do góry. Nagle twarz mu się rozjaśnia od ucha do ucha.

— Dzień dobry, panie profesorze. Coś się zepsuło?

Kamień spadł mi z serca. Nawet nie na odciśki, bo było trochę z górki, więc się sturlał do rowu. No tak: jeśli „profesorze” to na pewno uczeń (Sprytnie to sobie na poczekaniu wymyśliłem). Oczywiście taki sprzed lat, bo gdyby „teraźniejszy” to bym go przecież poznał. A jeśli dawny uczeń, to teraz już co najmniej technik, mistrz, może nawet inżynier? Albo jeszcze lepiej. Pomoże, nie zostawi przecież sieroty na szosie. I jak tu nie wierzyć w cuda?...

A może on to nie on?

Skąd jednak by wiedział, że ja to ja?...

Podszeł do skutera, pomacał, coś tam zaczął rozkręcać... A ja już cały „w skowronkach”. Taki cud... Zreperuje, w dodatku forsy nie weźmie. Któż by brał od ukochanego profesorka? Z piekła by potem nie wylaził.

I nagle jakby ktoś lodowatą wodą na grzbiet rozgrzany mi chlusał znieśnaka. Dreszcz przeszedł wzdłuż krzyża — podpadł mi facet. Zbyt szybko do roboty się zabrał, porozkręcał na zbyt wiele już części i dalej rozkręca. Czy ja go czasami nie oblałem na maturze? Bo jeśli tak, to on mnie teraz obleje. Porozkręca mi skuter na drobne kawałki, powie że nic zreperować się nie da, wsadzi na motor, odjedzie i co ja z tą kupą szmelcu sam tutaj zrobię? Czekając do poniedziałku, po kieszeniach popychać i „wte i wewte” do Kielc z tym latać?

Jakby odgadł te moje niepokoje. Odwrócił głowę, spojrzał na mnie.

— Nie poznaje profesor? Kaszewski jestem. Takiego balona na maturze ze mnie pan zrobił, że cała komisja się śmiała. A dyrektor to nawet kawę się oblał.

Dobrze mi tak. To moje poczucie humoru wyjdzie mi teraz nie tylko bokiem, ale i kołem, bo kółko też mi właśnie odkręca.

— Ale... — ostatnią resztką nadziei próbując ludzi się jeszcze — zdał pan, co?

Zmrużył szelmowsko oczy, wytrzymał mnie chwilę.

— No... taki to pan znów nie jest, żeby... Mnie się zacięło, pan popchnął mnie trochę i jakoś wyszliśmy na prostą.

W duszy złożyłem ręce, podniosłem oczy do nieba: „pamiętaj, draniu, żebyś nikogo nigdy już nie oblał. Bo to wiesz kogo spotkasz jeszcze na szosie?”

Kaszewski, Kaszewski... Tyle nazwisk, tyle wcięt twarzy. Ile to lat już?... Siwizna załatuje, albo tak tylko, pod słońce... Dyrektor kawa się oblał? Ciekawe, czy była słodka, czy cukier był wtedy na kartki... Balona z niego robiliem?... Bo to z niego jednego?... Coś trzeba było przecież zrobić, gdy robiło się smutno i nudno. Ktoregoś roku, to aż pięć klas maturalnych mordowało się od ósmej do dwudziestej przez dwa tygodnie.

— Pamięta pan, jak zeszytami w nas ciskał, gdy wtedy, no, z tą klasówką, trzydziści dwój czy coś w tym rodzaju... Tylko głowy uchylał, gdy zafurczała. A jak profesor drzwi potem zamknął, to po całej Łodzi żeśmy szklarsz szukali.

Wiaterek pewnie gdzieś powiał albo parę kropel spadło w pobliżu, przechodziło się nieco, bo klepek mózgu rozsunęły się jakby i drgnęły szare komórki.

— No to już teraz wie pan chyba, panie Kaszewski, jak było na imię Oleńce Bilewiczównie?

— Zośka... Ale to nie ja powiedziałem. To Tadek Szymczak. A ja na tych aureolach się wygubiłem. Pytał pan o aureole w malarstwie. Zamiast powiedzieć, że znali już perspektywę i dlatego malowali je w kształcie spłaszczonego koła nad głową świętego, powiedziałem, że robili je takie, żeby lepiej przylegały do głowy. Jak czapki. A pan podpuszczał mnie jeszcze — zarchotał, jak łańcuch wkręcany w koło. — Ale wysypałem się dopiero na „Lalce”. „Lalki” nie przeczytałem. Na szczęście profesor nie był uparty i dał mi jej spokój. Na „Chłopów” zesłaliśmy, a to już czytałem.

Pamiętam... Matura wyglądała wtedy inaczej niż teraz. Zdawało się wszystko za jednym za-

machem. Od razu. Do takiej dużej sali wnosili się jeszcze większy stół, nakrywało się czerwonym sukmem, żeby nie było widać krwi przelewanej niewinnie i od stu lat już chyba zbyt mocno ku uciesze dorosłych.

Za tym stołem i sukmem i tysiącem przypadków, które pozostają w takim samym stosunku do wiedzy, jak planeta Wenus do zóciowego woreczka pradziadka zasiadają w większej ilości ci, co to zawsze wszystko wiedzą najlepiej. Poważni, dostojni, pozapinani na wszystkie guziki, krawaty zacisnięte wysoko pod szyją, co drugi belfer za pazuchą jeszcze jakiegoś „pershinga” czy inną armatę ukrywa, a z drugiej strony stołu — krzesło elektryczne.

I zapraszało się kandydata do dorosłości. Nawet drzwi nie było potrzeby otwierać: takie to wystraszone, małe, przez szparę w drzwiach przelezie, przez dziurkę od klucza się wciągnie. I gdy „toto” jest młode, takie, na przykład, osiemnastoletnie, co to od smoczka aż po maturę przesuwa się rok po roku, po kolei, normalnie, bez przerw w życiu, to całą młodzieńczą beztroską pośladowców rozsiada się wygodnie i ani powieka takimemu nie zdradzi. Re-

HENRYK CZARNECKI

Profesor na drodze

(Fragment nowej wersji powieści)

cytować może nawet to, o czym nie ma zielonego pojęcia. Nie zda w tym roku, to ma jeszcze w zanadrzu tych dziewięćdziesiąt dziewięć lat do emerytury i zawsze zdąży. Ale dorosły? Ojciec dzieciom? Jak się w domu pokazać? W domu żona z odświętną kolacją, córka w białej bluzeczce z wążką kwiatów, syn też nogi umył, wiadomo: święto, tata maturę zdał. I jak tu powiedzieć, że się oblało? Żona tylko czeka na taką okazję, by się odegrać: „wiesz, stary? A nie mówiłam żeś głupi? Dopiero obcy musieliby ci to powiedzieć?... Tak, jak to zwykle żony do nas przemawiają: tkliwie, serdecznie. Syn też pod boki się wzięmie: „tata dostał gola, bo tabliczkę mnożenia nie umie”. W pracy też czekają z kwiatkami, gratulacjami...

Stąd po dorosłych, pod drzwi traktorem trzeba podjeżdżać, do stołu holować, bo gdy się trafi taki wrażliwy, co to nerwy na supelki posuwał, w drzwiach stanie, na odświętną ko-

prywatny, intymny użytek. Gdy stoję w oknie wagonu i konduktor podnosi już chorągiewkę i pociąg ma ruszyć, a ktoś zdyszany — najchętniej ze sterą bagażu — biegnie do pociągu, to wtedy mi ten z końskim ogonem mamroczący pod umorusanym nosem: „ażebym nie zdążył?... I gdy pociąg ruszy, a ktoś tam zostanie bezradnie na samotnym peronie, jakoś źle robi się człowiekowi, że się zdążyło, a tamten pozostał.

I właśnie wtedy, ten ogoniasty, podpowiedział mi w uchu, a ja tuż za nim...

— Czy nie wie pan... jak było na imię Oleńce Bilewiczównie?

Komisja spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie. Ale tylko przez chwilę, bo rzeczywiście było nudno, zaledwie trochę banałów powiedzieli uczniowie, trochę zdań wyrzuczonych, bez większego polotu, więc może ten teraz?...

Przerazony spojrziałem na... Szymczaka (wciąż jednak to nie Kaszewski a Szymczak?... Eee, pewnie się wstydzi i dlatego mi z tym Szymczakiem teraz wyskoczył) — już nie raz w życiu diabeł mnie opętał — a temu twarz nagle pokrasniała, oczy nabrały rumieńców — wiadomo: skoro polonista pyta o jakąś dziewczynę, a na

Fawie podbiegł do krzesła. Nawet trzymając już nie muszę. Wiadomo: Oleńka pomoże. Był się tylko przedwcześnie nie zdradzić. Dziób w ciup i czekać. Reszta jest tylko milczeniem.

— Czy nie wie pan...

Wie. Już się prawie uniósł na swoim krześle. Już chciałby powiedzieć, choć nie zdążyłem jeszcze o nic zapytać.

— Czy nie wie pan...

I nagle ten diabeł. A myślałem, że egzorcystów już dzisiaj nie będzie.

— Czy nie wie pan, ile lat trwała wojna czteroletnia?

Kłops. Wie jak było na imię Oleńce, ale ile lat trwała ta cholerna wojna?... A to go „Buźka” zaskoczył. Skąd miałby wiedzieć?

— Czy to o tę ostatnią wojnę chodziło? — patrzy na mnie z odrobiną jeszcze nadziei.

— Nie. O tę czteroletnią.

— Nie wiem... Nie pamiętam... Trudno, będę strzelał.

— Niech pan strzela. Na wojnie trzeba strzelać. Nawet głono.

Coś tam oblicza w obie strony na palcach. I jeszcze raz od początku. Było nie było, strzelił na oślep.

— Siedem!

Siedzimy w rowie, gadamy, gadamy. Skuter gotowy, mrok wyciera zza widnokręgu, powietrze gęstnieje. Za górą zaczarowaną — wszystko tu przecież zaczarowane — czarownice zapalają już „na pych” swoje miotły, jako żurawie po niebie popłyną.

Tylko nam się nie spieszy.

I siedzimy, i sporty palimy, i matura toczy się gładko. Tamtymi dniami wciąż żyje. Nie roztapiają się w lipcowym upale. Pomnożonym przez ileś tam lipców. I zim wiatrem przetrząsających kieszenie pamięci. Nie się zmarznąć nie może. Wszystko stamtąd jest ważne. Jak człowiekowi przychodzi kiedyś ochota czegoś wokół siebie poszukać, bo mu ciasno i niewygodnie, to zaraz tam biegnie. Pomiedzy ławką, chłopaków. Choćby chłopaki byli wtedy z wasami.

Więc i tamte wasy są dobre. I lisy najdroższe. I belfry pomyłone, które zliczyć do trzech nie umiały, bo dwa i plusik na trzy z minusem im wychodziło. A to już nie to samo. Zwłaszcza, gdy i minus z ostatniej rubryki musiał wyparować.

— Na „Lalce” się wyłożyłem. Pamięta profesor?... Tylko „Lalki” nie przeczytałem. Nigdy nie miałem do tych bab szczęścia, potem rozwód... I musiałem akurat trafić na ten temat. Co ja za głupstwa wtedy wygadawałem. A pan podpuszczał mnie jeszcze.

— Było wtedy tak nudno... Dopiero pan wniósł tą „Lalkę” trochę radości.

Wspomnienia, wzruszenia. Szkoła wyrasta przy szosie, szosa podbiega do szkoły. Wieczór ciepły, przytulny, dobry jak Wigilia z rodziną. Szkoda tylko, że trwa tak krótko.

— No to „grzejem”, panie profesorze. Skuter gotowy. Niech pan tylko znów nie podkręca zbyt mocno hamulca.

— „Grzejem”, panie Kaszewski. A jak pana syn będzie kiedyś zdawał maturę, to niech nie zapomni przeczytać „Lalki”. Naprawdę warta grzechu.

— Ażebym pan wiedział, że przeczytałem. Zaraz po maturze. Nie wierzy pan?... To niech mnie profesor zapyta. Na dobrą sprawę mógł mnie pan przecież wtedy oblać. Najpierw te aureole, a potem... No! Niech mnie profesor zapyta.

— Ależ wierzę. I cieszę się.

Spojrzał na mnie społe łąba.

— Akurat... Tak pan tylko mówi. Na pocieszenie. A ja naprawdę przeczytałem. Jak Boga kocham... No, tak tylko na próbę. Z tej „Lalki”, bo innych rzeczy mogę już nie pamiętać.

Podawał się nagle jak uczeń, szybko obciągnął kapotę, pozapinał, stanął jak do odpowiedzi. Jak wtedy. Tam. Jak wymagałem.

Kaszewski, Szymczak, Grzegorek... Któs zapalił światło. Otworzyłem dziennik. Wiele nazwisk już nieczytelnych. Za oknem deszcz — twarze rozmazały się na mokrej szybie. Śnieg. Znowu deszcz. Wiatr dzwoni deszczem po parapiecie. W klasie jednak przytulnie. Ciepło. Czyżby tylko od kaloryferów, które dobrze grzeją?

Minał nas samochód. Gasną szybko uciekające na szosie czerwone światła. Ale utrwalałony przez chwilę obraz klasy nie da się łatwo wymazać z pamięci. Lekcja trwa dalej.

— Panie Kaszewski!...

A może by tak napisać coś o nich? Ot tak, zwyczajnie, po prostu, nieobowiązująco, jak jak tu teraz — z kolanami pod brodą, na trawie, w rozpiętej koszuli, z rozwianymi włosami na wietrze. Jak to w wakacje. Na skuterze. Że gdzieś sobie, na przykład jadę, coś się popsulo...

A na końcu koniecznie o „Lalce”. Jak to Kaszewski w rowie, po latach, na chwilę znów poczuł się uczniem.

Albo nigdy nim być jeszcze nie przestał.

„Kawałek szczytu, która wtedy wypadła ze zbyt energicznych drzwi, parę zeszytów, Grzegorek, Szymczak, Kaszewski... Jakby to wszystko pozbierać do kupy, Oleńkę można załadować z tyłu na skuter — sam jadę, mógłbym podwieźć kawałek autostopem, co się dziewczyna ma męczyć, dość że się z nią chłopaki na maturze męczyli...

No właśnie. Wystarczy, że wyjdę na szosę, podniosę rękę, zatrzymam jakiegoś motocyklistę. Któż się zaraz domysli, że stojąca z popsytnym skuterem ofiara to, po prostu, taki sobie profesor na drodze.

...A może przeczytają to kiedyś, usłyszą, chociaż na pogrzeb się zlecą?

A ja im tam, u góry, tym moim kochanym chłopakom w międzyczasie, kursy pomaturalne załatwiam.

Bez egzaminu.



Rys. Janusz Szymański-Glane

miszę społe łąba popatrzeć i do ucieczki się zbiera, tyle że nogi przymurowało, a ręką do klamki trafić nie może — czort bierz maturę, idioty z siebie robić nie będzie, papiererek musi wystarczyć. Szkoda, bo zaświadczanie na papierze dziesiątej kategorii. Napisane na popsutej maszynie. Przez maszynistkę, która pisać nie umie. W dodatku pewnie też niedowidzi?... A ja przecież wiem, że człowiek umie. Powinien umieć, skoro do drzwi doszedł po tylu latach. Sam za rękę go prowadziłem, trójki stawałem, to i teraz rękę trzeba mu podać, nie pozwolić mu uciec.

— Chwileczkę, ojcuniu! — aż pod drzwi wyszedłem po niego. — Proszę się nie denerwować. Tutaj jak w telewizji. Wielka gra. Pierwsze pytanie łatwe. Za pięćdziesiąt złotych. No, to co? Gramy?

Taszcę go na krzesło przed stołem. Za ramię trzymam, żeby nie wyskoczył przez okno. Patrzy na rozłożony wachlarz pytań na stole. Na każdej kartce co najmniej wyrok śmierci. Albo i gorzej: na męki wężną go przedtem.

W tej chwili na łóżko mi nie odpowie. Ręce się trzęsą, oczy szklane, bezbarwne, w środku pusto — „automaty” tylko pracują... Na pewno nie wie nawet jak się nazywa, więc trzeba go najpierw odświeżyć. Wymyślił jakieś łatwe pytanie. Żeby tylko ruszył go z miejsca. Dalej już pójdzie. Najtrudniej zacząć. Potem już sam na czwarty bieg się przełączy...

— Czy nie wie pan?... — pośpiesznie szukam w myślach czegoś łatwego, ale już widzę, że nie wie, choć o nic jeszcze nie zdążyłem zapytać. — Czy nie wie pan?...

I nagle diabeł mi wskoczył do ucha. Złotówek — blondasek z końskim ogonem (dawnie tak się dziewczyny zwały) Diabełek. Taki na

Już dobrze. Ręka trafi już teraz po egzaminacyjnym pytaniu. Coś tam się wie przecież. Profesor w razie czego chociaż przecinek podrzuci, kiwnie głową, że dobrze — zawsze byli zyczliwi, niepotrzebnie się ich tutaj przestraszyli. Teraz mógłby nawet o Wielkiej Improwizacji mówić, choć bał się tego tematu najbardziej...

Tylko gdy wchodził, był taki małutki, drobniutki, przepraszał, że żyje. Teraz już głowa zadarta, gdy szczęśliwie przedelfował z krzesłem z jednego końca stołu na drugi. Przy wyjściu futryna za niską. Ledwie w drzwi już się mieścił.

Na korytarzu bohatera udaje. Phi... co to dla niego, mógłby jeszcze raz zdawać — opowiada przez ramię.

— Cwaniaczek z tego „Buźki”. Nie dajcie się czasami mi nabrać. Oleńce to na imię Oleńka, a nie jakiś tam Zośka. Nie ze mną takie numery...

I już płynnie opowieść od początku do końca poprzez wszystkie szczegóły z telewizyjną „Wielką grą” włącznie. Głoda słucha ciekawie, z podziwem cmoka ustami.

I znów ktoś wciska się przez dziurkę od klucza. Jeszcze mniejszy niż tamten. Głowa jak trzyletni krajowy akumulator — napięcia nie trzyma, doładować już nie ma kiedy, ale wie, jak Oleńce na imię. Gdyby tak zapytali zaraz by blysnął reflekssem.

Ale tymczasem też go przy drzwiach zamurowało. Albo tylko murarza udaje.

A ja przecież wiem, że Kaszewski (Kaszewski?) na korytarzu powieść na ten temat napisał, audycję nadał, zebrał oklaski, z Oleńki przeegzaminował, więc żeby ten nie miał już wątpliwości i też się bał przestać, zaczynam do słowne tak samo.

— Tutaj jak w telewizji... Wielka gra...

Nie, Kirowa! Ordżonikidze na razie nie zaatakuje. Ich pora jeszcze nie nadeszła. Na razie Stalin zaczyna od niego, bada go jako człowieka, zaprzyjaźnionego z Kirowem i Ordżonikidze jeszcze z czasów obrony Astrachania i działań wojennych na Północnym Kaukazie. Po to go wezwał. Sprawy międzynarodowe nie interesują Stalina. Gdyby tak było wezwałby go już rok temu.

Jak zawsze zdumiewała szczerość, z jaką Stalin wypowiadał się o bliskich mu ludziach, pewność, że jego słowa nie zostaną powtórzone. Gdyby Budiażyn napomknął Kirowowi albo Ordżonikidze o tym, co tu usłyszał, wyszedłby na intrygant. Przecież Stalin nie powiedział niczego złego, wspominał jedynie o dążeniu Sergo do obsadzania KC działaczami, gospodarczymi, i wyraził naturalną obawę o bezpieczeństwo Kirowa, który tak otwarcie i swobodnie spaceruje po ulicach Leningradu.

— A tak na marginesie — spytał Stalin nie odwracając się — co to za człowiek ten Kodacki? Zdał się, że był z tobą w Astrachaniu? — Tak, był, kierował obwodową centralą rybną. Na pewno ty też go znasz, jest przewodniczącym leningradzkiego Górszowietu.

Stalin uśmiechając się, nie zauważył ukrytej złośliwości i powiedział spokojnie:

— A przecież Kodacki to znowjowiec.

— Kodacki? Przecież występował przeciwko Zinowjewowi — szczerze zdziwił się Budiażyn.

— Tak, pozmowie występował — zgodził się Stalin.

— Ale kiedy robotnicy leningradzcy zażądali wykluczenia Zinowjewa i Trockiego z partii, towarzysze Kodacki nie był tym specjalnie zachwycony. Wahał się. W takiej kwestii i wtedy sam towarzysze Kirow zaproponował, by zwolnić go ze stanowiska sekretarza Leningradzko-Narwskiego Komitetu Rejonowego partii. Zwolnili. Potrzebni byli Sownarchozie. A teraz wysunął na stanowisko przewodniczącego Lensowietu. Zamiast przewodniczącego Lensowietu Grigorija Zinowjewa mamy nowego przewodniczącego — znowjowca. Jak powinni to oceniać robotnicy leningradzcy?

— Kodacki, o ile mi wiadomo, nie należał do opozycji — powiedział Budiażyn. — A że okazał wahanie w kwestii organizacyjnej... Przecież nikt z nas nie jest wolny od tego rodzaju wahań, ani teraz, ani tym bardziej osiem lat temu.

— Nikt nie żąda krwi towarzysza Kodackiego — obojętnie powiedział Stalin i odwrócił się do Budiażina. — Jednakże w takiej organizacji jak leningradzka należy być bardziej ostrożnym w doborze kadr. Zresztą partia zaufała towarzyszowi Kirowowi w kwestii doboru współpracowników według własnego uznania. Nie będziemy się wtrącać.

Ostatnie zdanie dawało do zrozumienia, że rozmowa o Kodackim ma charakter prywatny, nie oficjalny. Już dla formalnego zakończenia wizyty Stalin zadał pytanie, którego Budiażyn oczekiwał:

— Co z Hitlerem?

— Hitler — to wojna — odpowiedział Budiażyn.

Stalin pomilczał, potem spytał:

— Ma czym wojować?

— Niemcy to kraj o dużym potencjale przemysłowym. Uzbroją się z ławnością.

— Pozwól mu na to?

— Nie będzie pytać o zgodę.

— Utrzymaj się przy władzy?

— Wygląda na to, że tak.

Stalin znów pomilczał, przeciągnął palcami pod białym kołnierzykiem.

— Niemcy będą walczyć?

— Gdy ich zmusi, to będą.

Powoli, z naciskiem Stalin powiedział:

— Anglia i Francja narzuciły Niemcom Wersal, reparacje, ograbiły, zabrali kolonie, Sudety, Gdańsk, polski korytarz, odcieły Prusy Wschodnie. Z kim mają zamiar walczyć Niemcy?

— Anglia i Francja będą próbowały dogadać się z Niemcami naszym kosztem.

Stalin popatrzył na Budiażina. Wszystko jasne: nie kryje się ze swoimi poglądami, wręcz przeciwnie, uważa za stosowne wygłaszać je tu, w jego obecności, w jego domu.

Mimo to zachowując pozorny spokój powiedział:

— Anglia i Francja nigdy nie dopuszczą do powstania w sercu Europy silnych Niemiec. Przeciwnie, to my jesteśmy zainteresowani silnymi Niemcami jako przeciwwagą dla Anglii i Francji.

— Niemcy — to dla nas najbardziej realne niebezpieczeństwo — odparł stanowczo Budiażyn.

Stalin zachmurzył się.

— Przeciwnie, niebezpieczeństwo ze strony Niemiec — to lekceważyli głównie niebezpieczeństwo. Niewątpliwie imperialiści angielscy są tym bardzo zainteresowani. Ale my, ludzie radzieccy, nie jesteśmy tym zainteresowani.

— Pozostaję przy swojej opinii — powiedział Budiażyn.

— Dlatego nie jesteś już tam gdzie byłeś — nie spuszczać z niego wzroku powiedział Stalin. Budiażyn wytrzymał do spojrzenia. Stalin pomilczał, a potem nie patrząc na Budiażina, jak gdyby zwracając się do kogoś innego oznajmił:

— Partia nie potrzebuje popisywania się odcieniami poglądów. Partia potrzebuje rzeczowej pracy. Kto tego nie rozumie, nie jest partii potrzebny.

— O tym, czy jestem partii potrzebny, zdecydować partia — powiedział Budiażyn.

Stalin usiadł przy stole, odwrócił się, wziął do ręki książkę.

— Jestem zajęty. Wybaczcie.

Drzwi zamknęły się za Budiażinem. Stalin odłożył książkę, wstał, z falką w dłoni przeszedł się po pokoju, przystanął u okna, popatrzył na znajomy żółto-biały budynek Arsenału, na zdobiące jego fasadę miedziane armaty.

Dyplomata z Motowilichy! Nie rozbrojone Niemcy, ale japońskie wojska w Mandżurii, na tyłach naszego Dalekiego Wschodu — oto niebezpieczeństwo. Budiażyn, mimo że tak ograniczony, też to rozumie. I nie przyszedł tu z powodu Hitlera. Przyszedł oznajmić, że istnieją w partii siły, mające swój własny punkt widzenia, gotowe w odpowiedniej chwili przeciwstawić go jego punktowi widzenia. Budiażyn nie przyszedł z własnej inicjatywy, jest na to zbyt mało znaczącą figurą. Przyszedł na polecenie. Polecenie od tych, którzy jakoby pomogli jemu, Stalinowi, rozgromić przeciwników, od tych, na których on się jakoby opierał, opiera i powinien się opierać, gdyż w przeciwnym

razie usuną go jak tamtych. Są przekonani, że on wszystko im zawdzięcza.

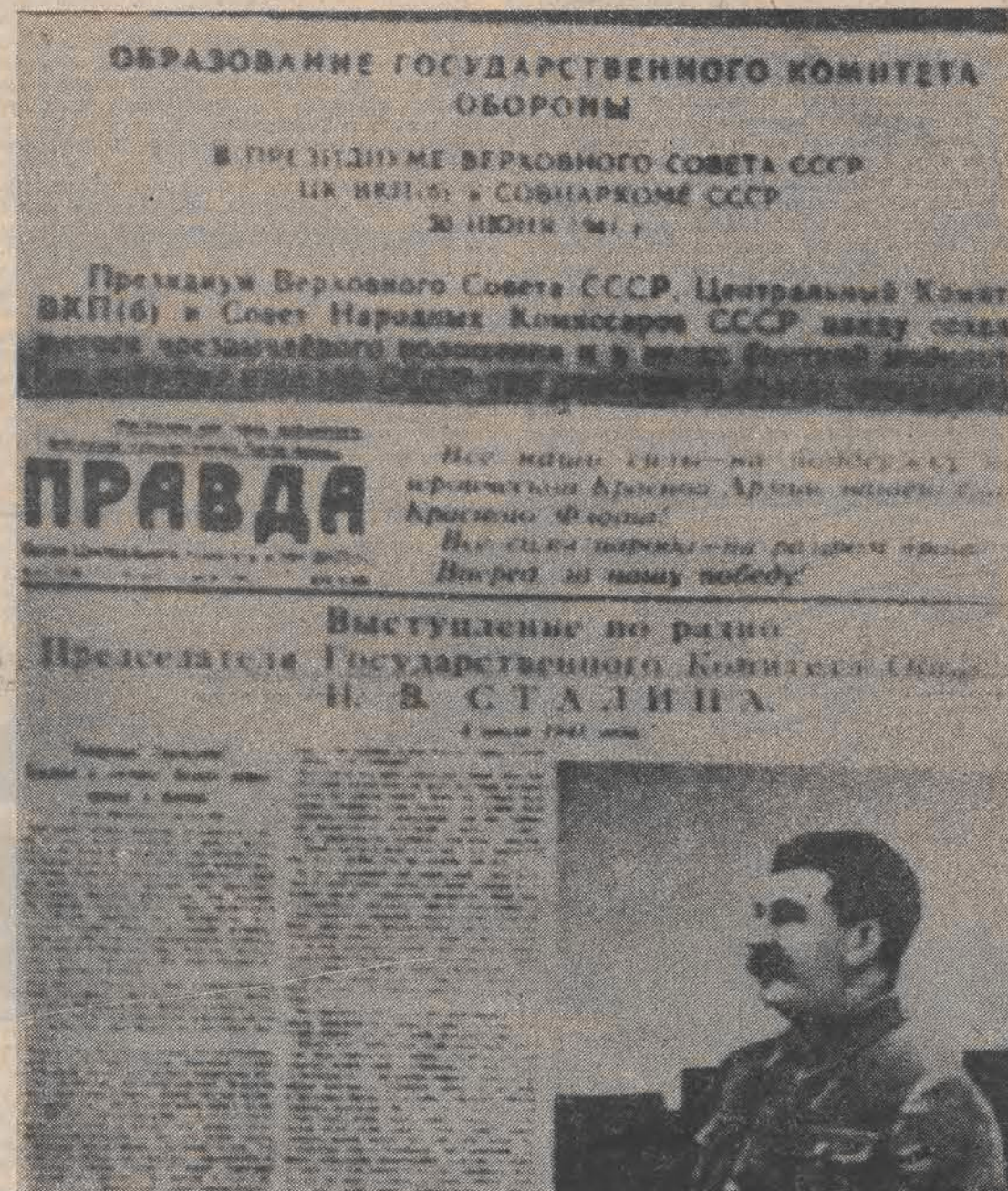
Myślę, myślę się zasadniczo! Prawdziwy wódz przychodzi SAM, swoją władzę zawdzięcza wyłącznie SAMEMU SOBIE. Jeżeli zawdzięcza ją innym, to nie jest wódcą, a figurantem. To nie oni wybrali jego, to on wybrał ich. To nie oni wysunęli go do przodu, to on pociągnął ich za sobą. To nie oni pomogli mu się umocnić, to on wyniósł ich na wyżyny władzy państwowej. Stali się tym kim są tylko dlatego, że byli przy nim.

Komu zawdzięczał coś Lenin? Londyńskim i genewskim emigrantom? Komu zawdzięczał coś Piotr? Mienszykowowi? Lefortowi? Dziedziczyli władzę nie zmieniała istoty sprawy. Aby stać się godnym miana wodza, monarcha musi unicestwić otoczenie, uważające go za marionetkę. Tak było z Piotrem, tak było z Groźnym.

On stał się wódcą nie dlatego, że zdołał rozgromić swoich przeciwników. Rozgromił swoich przeciwników dlatego, że jest wódcą, dlatego, że jemu przeznaczone jest kierować tym krajem. Jego przeciwnicy nie rozumieli tego, i dlatego zostali rozgromieni, nie pojmując tego nawet teraz, i dlatego zostaną unicestwieni. Pretendent, któremu się nie powiodło, to zawsze potencjalny wróg.

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



Wybór historii padł na niego, ponieważ tylko on zna sekret sprawowania władzy, w tym kraju, tylko on wie, jak kierować tym narodem, tylko on zgłębił do końca jego wady i zalety. Przede wszystkim — wady.

Lud rosyjski — to lud kolektywny. Wspólnota — to odwieczna forma jego istnienia, równość leży u podstaw jego charakteru. To stwarza sprzyjające warunki dla społeczeństwa, które on tworzy w Rosji. Leninowski NEP był dobrym posunięciem taktycznym, ale „na serio i na długo” — to już błąd. Czasowy kompromis z chłopstwem w celu uzyskania chleba to manewr, „na serio i na długo” — to już polityka obliczona na farmera, a farmerstwo oznacza wejście na drogę nierówności, sprzeczną z psychologiczną naturą ludu rosyjskiego. Stalin podszedł do polki, wyciągnął tom Lenina z założonymi stronicami, jeszcze raz przeczytał: „Aby poprzez NEP osiągnąć włączenie się do kooperacji całej ludności... potrzeba całej epoki historycznej... Bez całkowitej likwidacji analfabetyzmu, bez dostatecznego stopnia uświadomienia, bez dostatecznego stopnia wykształcenia wśród ludu nawiązywanie z chłopstwem, bez podstaw materialnych, bez powszechnego systemu zabezpieczenia przed np. nieurodzajem, głodem itd. celu tego nie osiągniemy”.

Zamknął książkę, odstawił na miejsce. Tak, to droga wpaiania chłopu obcej mu psychologii farmera. A farmer nie potrzebuje dyktatury proletariatu. Farmer, posiadacz własności prywatnej, indywidualistę, trzeba zmusić do rosyjskim chłopie już w zarodku. Spółdzielnia? Owszem. Ale taka, w której chłop będzie prostym pracownikiem. On tego dokonał, i to była druga rewolucja w Rosji, równie ważna co i Październikowa. W Październiku mieliśmy chłopstwo po swojej stronie: podczas kolektywizacji mieliśmy je przeciwko sobie. Zgoda; książki, nauki, walka z nieurodzajem — wszystko to też jest potrzebne. Ale nie jako poprzedzenie kolektywizacji, lecz dopiero na bazie kolektywizacji. On tak właśnie postąpił: najpierw kolektywizacja, potem kultura.

To, co Lenin nazywał biurokratycznym wypaczeniem, jest jedyną możliwą formą sprawowania władzy. Tak, tkwi w tym niebezpieczeństwo: biurokracja usiłuje stanąć pomiędzy narodem i najwyższą władzą, stara się zastąpić najwyższą władzę. Należy więc do bezkrytyczności. Aparat to posłuszny wykonawca najwyższej woli, trzeba utrzymywać go w strachu, strach wpojony aparatowi będzie udzielał się narodowi.

Czy on dysponuje takim aparatem? Nie! Nie dysponuje. Aparat stworzony w walce o władzę nie jest narzędziem w ręku wodza, uważa się za współtwórcę zwycięstwa. Wizyta Budiażina to przypomnienie tego stanu rzeczy.

Aparat prawdziwego wodza — to aparat stworzony przez niego samego po zdobyciu władzy. Aparat nie może być wieczny, stabilny, w przeciwnym razie cementuje wzajemne powiązania, stając się monolitem, obrońcą w siłę. Aparat trzeba tasować, odnawiać, wymieniać. Stworzenie takiego aparatu to zadanie trudniejsze niż eliminowanie rywali, aparat to setki tysięcy ludzi, ludzi tworzących jeden organizm, związanych i zespolonych ze sobą. Obecni członkowie Biura Politycznego to już nie ci, którzy wrócili z Leninem z zagranicy. To ludzie, mający powiązania wewnątrz aparatu, lańcuszki.

(15)

Ordżonikidze. Trudna sprawa. Jedyny bliski mu człowiek, poznał się trzydzieści lat temu w Tyflisie. No właśnie — zbyt długo zna, w zbyt różnych sytuacjach widywał, uważa się wręcz za współnika. Wódz nie ma współników, wódz ma najwyżej towarzyszy broni. Apostołów nie wybiera się spośród przyjaciół, tylko spośród uczniów. Romantyk, prostoduszny, ufny, zbyt szczerze wierzy w to co mówi i robi — niebezpieczne cechy u polityka. Po kapitulacji opozycjonistów proponował przyjąć ich wszystkich z powrotem do partii. Czyżby nie rozumiał, że ci, którzy występowali przeciwko niemu muszą być zlikwidowani? Naród musi wiedzieć, że występowanie przeciwko niemu — to występowanie przeciwko władzy radzieckiej. Dlatego Ordżonikidze sprzeciwiał się likwidacji wrogów władzy radzieckiej wewnątrz partii? To nie błąd, to linia, chęć zachowania w partii przeciwwagi dla niego, dążenie do występowania z pozycji arbitra, dążenie do utrzymania w partii rezerw, które w razie potrzeby będzie można rzucić przeciwko niemu!

Potwierdzeniem tego jest Lominadze. Sergo wie o liście Lominadze do Szackina, przechwyconym w trzydziestym roku. Jak zareagował? Wzruszył ramionami: „... Dzieciak...”. A co ten „dzieciak” pisał o nim w swoim liście? W polityce nie ma miejsca na dzieciadę, polityka to nie zabawa. Lominadze i Szackin szkodliwi się do roli następców, spieszyli się. A kim jest Lominadze? Gdyby urodził się o trzy lata wcześniej, znalazłby się w jednej kompanii z mienszewikami, z Zordanią, Czcheidze i Cereteli, tamci przeciw tej jego uważali za ignorantę. Ci gruzińscy inteligenci reprezentowali sobą najgorsze cechy charakteru narodowego Gruzinów: przekonanie, że są europejską wyspą w Azji. Teraz Lominadze jest na Uralu, ale Sergo nadal go popiera. Przypadek? Na pewno nie. Lominadze to jedno z ogniw jego polityki.

Czy Ordżonikidze robi tę politykę sam? Nie. To ich wspólna polityka, Kirowa i Kirowa. Nierozłączni przyjaciele! Przyjeżdżając do Moskwy Kirow zatrzymuje się tylko u Sergo. Co się kryje za tą ich przyjaźnią? Co ich łączy? Czyż między działaczami politycznymi może być jakakolwiek przyjaźń? Dlatego dwaj członkowie Biura Politycznego izolują się od pozostałych? Obaj mają po czterdzieści osiem lat, obaj byli na Północnym Kaukazie i w Gruzji, obaj od trzydziestego roku są członkami Biura Politycznego — wszystko to nie daje jeszcze powodów do takiej zażyłości. W przyjaźni nie ma równych. W przyjaźni jak w polityce: ktoś przewodzi, ktoś słucha, ktoś wpływa, ktoś ulega wpływowi. W tej przyjaźni ton nadaje Kirow. Ambitny, jak każdy niedouk, demagog, jak każdy przeciętny prowincjonalny pisarz, jak każdy hałaśliwy krzykacz ma też swoich zwolenników, uważających go za najlepszego mówcę w partii, nie maże za „trybuna rewolucji”.

Kierując w swoim czasie Kirowa do Leningradu Stalin chciał pokazać leningradzkom, że ich miasto nie jest drugą stolicą, a przeciętnym obwodowym ośrodkiem miejskim na północnym zachodzie kraju. Nie mogą istnieć dwie stolice, druga zawsze rywalizuje z pierwszą. Leningradzcy przywykli do wybitnych nazwisk, a tu z dalekiego Azerbejdżanu przyjechał do nich niemal zupełnie nieznany Kirow, nawet nie członek Biura Politycznego. Pięćset robotników szczytą się swoją rewolucyjną przeszłością, a przysłano do nich człowieka, który przed rewolucją był szeregowym pracownikiem malowniczej gazety „Terek”. Przysłano jako obcego, namiestnika, poskromiciela opozycyjnego buntu. Panovali przekonanie, że leningradzcy nie ściernią afrońtu, że sytuacja ulegnie zastrzeżeniu i powstaną warunki, sprzyjające ostatecznej likwidacji tego wiecznie spiskującego gniazda wszelkiej anarchii.

W ciągu ośmiu lat Kirow stał się w Leningradzie swoim człowiekiem, „ulubieńcem”, skupił wokół siebie całą organizację partyjną, umocnił znaczenie Leningradu właśnie jako drugiego miasta w kraju, popiera tradycyjny leningradzki separatyzm, to śmiechu warte przekonanie, że Leningrad to miasto wyjątkowe, jedyne europejskie miasto w Rosji. Kirow zabiega o popularność, epatuje prostotą. Mieszka na Prospektie Kamiennoostrowskim, w dużej kamienicy, między zwyczajnymi ludźmi, chodzi do pracy piechotą, spaceruje po ulicach Leningradu, wozidzieci swoim samochodem, bawi się z nimi na podwórku w „kotka i myszkę”.

Towarzysz broni powinien wzorować się na wodzu. Styl życia wodza — to styl epoki, którą uosabia, styl państwa, którym kieruje. Swoją brawurą prostotą i przystępnością Kirow rzuca wyzwanie jemu, chce podkreślić, że Stalin mieszka na strzeżonym dniu i nocą Kremlu, że nie chodzi po ulicach, nie bawi się z dziećmi w „kotka i myszkę”, chce podkreślić, że Stalin boi się narodu, a on, Kirow, nie boi się.

Na Siedemnaście Zjeździe Kirow powiedział: „W Leningradzie stare są tylko sławne tradycje rewolucyjne petersburskich robotników, wszystko pozostałe jest nowe...”

Skłamał! W Leningradzie do dziś uchowały się niedobitki przedrewolucyjnej kadry urzędniczych, szlacheckich, burżuazyjnej inteligencji, zostali Łotysze, Estończycy, Finowie, Niemcy — agenci burżuazyjnych wywiadów, żyje robotnicze mieszczaństwo, uważające się za twórców Rewolucji Październikowej, są dziesiątki tysięcy ludzi, którzy poparli Zinowjewa w jego ataku na partię. Organizacja leningradzka też opowiedziała się za Zinowjewem, komuniści i komsołci głosowali za opozycją! Gdzie się podziali? Żyją i mają się dobrze, nadal tworzą większość w leningradzkiej organizacji partyjnej. Korzonki zostały, dużo, korzonków... Dlatego Kirow nie chce ich wykarzcować? Powołuje się na Czudowa, Komarowa i innych, którzy wystąpili przeciwko Zinowjewowi. A dlaczego wystąpili? Zinowjew ich obraził, oto dlaczego wystąpili. Miernota Zinowjew też to rozumiał i dlatego ich odrzucił. On również nie pozwolił im działać, będą macie i przeciwko niemu. A towarzysze Kirow otacza się tymi ludźmi.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIELLO

Polemiki • Listy • Opinie

JAK ZNIECHĘĆ DO ŁODZI CZYLI O SZTUCE „ROBIENIA ALBUMÓW”

Nawet najbardziej przywiązani do swojego miasta łodzianie przyznają, że nie należy ono do pereł architektonicznego piękna. Ale ma przecież wiele zaskakująco interesujących fragmentów ulic, zaułków, domów a nawet całe dzielnice. Tak jest zarówno z Łodzią dawną jak i współczesną, która rozwija się, także odnosząc wrażenie, równie bezplanowo jak ta dawna tylko że mniej żywiołowo. Powszechnie wiadomo, że do Łodzi można się przywiązać, można „kochać jej urodę złą”, lecz trudno ją uczynić turystyczną atrakcją. Dlatego tak ważną rzeczą jest na ile i jak to swoiste piękno Łodzi, jej inność i różnorodność umiemy pokazać innym. Niestety, na co dzień w kioskach pocztówkowych, często w najgorszym wydaniu, nagminny brak ciekawych folderów a większych wydawnictw albumowych nie uświadczyć nigdzie.

Dorobek łódzkiej wydawnictw w tej dziedzinie jest nader skromny. W powojennej historii doczekaliśmy się zaledwie pięciu (a właściwie czterech) takich wydawnictw, o bardzo różnej wartości, wśród których niewątpliwie prym wiodą: znakomity album W. Bilńskiego „Łódź jaką znam” oraz pomnikowa, rzecz by można „Architektura Łodzi przemysłowej” A. Szrama i A. Wachy (n.b. też Łódź która, strach pomyśleć, odeszła niebawem przy takim pietyzmie jakim otaczamy naszą secesję i nie tylko). Autorem innych albumów nigdy nie udało się połączyć w sposób miarę pełny i atrakcyjny (także wydawniczo) Łodzi starej i nowej — czyli po prostu ukazać Łódź jaką ona jest w całej swojej złożoności. Zdać sobie sprawę, że jest to przedsięwzięcie trudne, ale przecież nie niewykonalne o czym świadczy rozliczne przykłady innych tego typu wydawnictw.

Piszę o tym dlatego, bo oto otrzymaliśmy najnowszy album „Łódź” firmowany przez bardzo zasłużoną spółkę autorską, wspomnianych już — Antoniego Szrama, wybitnego znawcę architektury i historii Łodzi oraz znanego fotografa Andrzeja Wachy — spółkę gwarantującą, wydawać by się mogło, wreszcie wysoki poziom takiego wydawnictwa.

I oto całkowicie zaskoczenie! Uwagi o poziomie sztuki poligraficznej Łódzkich Zakładów Graficznych przy ul. PKWN zostały na koniec. Pełna analiza tego wydawnictwa mogłaby starczyć do rozprawki na temat, zawarty w tytule tych uwag. Jest to bowiem po prostu nieporozumienie wydawnicze — bo tak można tylko nazwać to czym uraczył nas łódzki KAW inwestując w nie grube chyba pieniądze. Niewiele bowiem dobrego da się powiedzieć o scenariuszu, doborze i poziomie zdjęć (nie wiem co było tu przyczyną, a co skutkiem) co razem z informacjami zawartymi w podpisach tworzy często wprost „obrazkowo-słowną poezję”, dość swobodną, bo wywołującą dobrą zabawę albo złość (częściej). O ile lepiej byłoby gdyby autorzy zrezygnowali z podpisów pod zdjęciami — same zdjęcia byłyby wtedy, nawet niekiedy interesującymi artystycznie impresjami m.in. na temat Łodzi. TO TRZEBA PO PROSTU ZOBACZYĆ — by zrozumieć przeciwko czemu wytycam aż takie zarzuty — trudno bowiem opisywać każdy z obrazków i mówić o wszystkich implikacjach z tego wynikających.

Albo spróbujmy wesprzeć się choć paroma przykładami. Już sam scenariusz wyróżniający działy: Komunikacja, Urbanistyka, Ekonomia (!?), Zdrowie, Kultura i nauka, Sport, Wolny czas, Turystyka — budzi nie tylko zaskoczenie, ale wręcz zdumienie swoją niespójnością (szczególnie w tego typu wydawnictwach) co potwierdzają zresztą zamieszczone w poszczególnych działach fotografie, często o powtarzającej się tematyce lub wręcz „nieprzystające” do danego działu. Fotografie o bardzo różnej wartości artystycznej, od znakomitych po techniczne zwykłą amatorszczyznę (niech mi autor wybaczy to określenie, ale nie umiem inaczej nazwać poziomu zdjęć z działu „Komunikacja”, niektórych z „Wolnego czasu” czy „Turystyki”). Jakże wyróżniała się na tym tle reprodukcja (!) kilkunastu starych fotografii nieocenionego Bronisława Wilkoszewskiego (a nie J. Wilkoszewskiego).

Całość otwiera łódzka komunikacja czyli jak powszechnie wiadomo supernowoczesne rozwiązania drogowe, estakady, wielopozycyjne skrzyżowania czyli... 14 fotografii tak starych (nawet jeśli kolorowe) jak nasza komunikacja, ukazujących najczęściej „z lotu ptaka” kawałki, i to wcale nie te najciekawsze filmowo, ulic z 2-3 samochodami na najruchliwszych (w rzeczywistości) trasach. Zachodzę w głowę o jakiej porze dnia robiono te zdjęcia? Jedno jest pewne — przed paroma laty! Zamyka te część imponujący fotogram (na rozkładówce) przedstawiający feerie kolorowych świateł a raczej ich refleksy zamazujące wszystko prócz jednego wielkiego napisu „Łódź Fabryczna”. Całe szczęście, że sprawę wyjaśnia podpis „Łódź Fabryczna, najstarszy łódzki dworzec kolejowy” (fot. 31).

Dział „Urbanistyka” otwiera „Ulica Piotrkowska” czyli jedna wielka, ciemna plama przecięta jaśniejszą linią, jeźdźcy z zarysowanymi ledwie w prawie londyńskiej mgie czy smogu konturami katedralnej wieży (fot. 32). Na szczęście ratują ten dział inne fotografie, które stanowią bodaj najlepszy fragment albumu.

Przedziwny punkt widzenia przyjęli autorzy przedstawiając nasz przemysł, handel, usługi czyli „Ekonomia”. Tu prezentację poszczególnych zakładów, domów handlowych ratują wyłącznie podpisy, bo w większości same zdjęcia mogą być wszystkim i zewszad. Podobnie tkalnie, czołownia, fragmenty maszyn, ozdobione uśmiechniętą buzią dziewczyny (skąd my to znamy) — konia z rzedem temu kto wiazałby to z Łodzią (chyba, że na zasadzie oklepanego stereotypu: Łódź — włókiennictwo). Ale inne przemysły to istne rebusy — na szczęście zabawne. Spadające skądś jakieś flakoniki i buteleczki (w tle oczywiście panienka) to „Fabryka „Polena — Ewa” (fot. 86); 2 buty (nie od pary) na jakimś chyba imadle to „Instytut Przemysłu Skózanego” (fot. 90); uśmiechnięta bo jakże inaczej, twarz pana w hełmie na głowie obyspana sztucznymi ogniami to „Kombinat Maszyn Włókienniczych „Polmatex — Wilama”, zakład odlewniczy” (fot. 94); kolejny pan w leżącej okragłej klatce ze stalowych prętów (które spawa) to „Widukt Łódź Kaliska w budowie” (fot. 95); panienka z opaską z perforowanej taśmy na oczach to „Zakład Elektronicznej Techniki Obliczeniowej „Zeto” (fot. 101). Również zagadkowe ale i zabawne są zdjęcia np. czterech eleganckich panów, sunących równym krokiem z tacami w ręku, którzy to panowie są... „Restauracja w hotelu „Centrum” lub zdjęcie panienki o dość smutnym, tym razem, wyrazie twarzy, która coś wkłada (lub zdejmując) na dwa potężne modele... no, mniejsza z tym co przypominające (to nie Skirólawki a opowieść o Łodzi) — a to są po prostu „Zakłady Przemysłu Pończosznego „Feniks” (fot. 85). Szczególna preferencja darta autorzy handel prywatny, pokazują go wszędzie, na Piotrkowskiej, przy „Centralu”, nawet tam gdzie jest absolutna rzadkość np. na ul. Piłsudskiego (fot. 108, 109, 110).

W dziale „Zdrowie” panują te same zasady doboru zdjęć. Bo co jest łódzkiego np. na zdjęciu pt. „Zespół kardiologiczny podczas operacji serca” lub „Zabieg operacyjny w jednym z łódzkich szpitali”, gdzie widoczne są tylko 2 „zakwefione” głowy lekarzy i beczeniowa lampa. Podobnie głęboko łódzki jest obrazek „Oddział noworodków w Szpitalu im. Kopernika” czyli rząd łóżeczek z niemowlętami, które nie wiedzą, że w ten sposób trafiły do historii. Cóż za wspomnienie za kilkanaście lat! Album „Łódź” stanie się najdroższą pamiątką rodzinną. Itd., itd. Szamowni autorzy — bomba kobaltowa czy inna gamma kamera z leżącym pod nią chorym to nie obiekt do prezentacji w albumie tego typu!

„Kultura i sztuka” też dostarcza niezapomnianych wrażeń. To, że kiedyś wystąpił w Łodzi Penderecki czy Zimmerman to nie powód by ich fotografie znalazły się w łódzkim albumie. A

dziesiątki innych wybitnych, którzy tu też byli? Nie zasługują na to? Ale przecież nie o to tu winno chodzić!

Brawa za zdjęcie dawnej sali jadalnej w Muzeum Historii Miasta, której widzimy tylko sufit odbity w krzywym zwierciadle błyszczących posadzek a wokół pod ścianami suną w chocholim tańcu... Kto? Kto ciekaw niech się odszuka! (fot. 134). Dostało się wreszcie Poznańskiemu za jego pazerność i szkaradną architekturę, którą nam zostawił.

Wzruszające są dowody szacunku i miłości łodzian do pomników utrwalone na zawsze przez A. Wachy. Staszycowi ledwo co wzniesiśmy pomnik a już zarzuciliśmy mu niezłą pięć na szyję, zaciskana przez kogoś (już poza kadrem) (fot. 207). Przewrotna symbolika ale jakże bliska życiu! „Tuwimowski koń” uwieczniony został akurat wtedy, gdy potężny dźwięk zdejmuje go z dachu przy ul. Kopernika. (fot. 206). Zastanawiam się czym zasłużył sobie interesujący skądinąd detal architektoniczny z kamienicy przy Piotrkowskiej czyli „figura” górala by znaleźć się obok pomników Tuwima, Schillera, Reymonta.

Jako pracownik Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego szczególnie wdzięczny jestem autorom za zaprezentowanie mojej firmy w postaci dziewczynki uginającej się pod stosem książek o bardzo zniszczonych oprawkach co opatrzone podpisem „Wojewódzka (!) Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, dział starodruków” (sic!).

Można ciągnąć ten rejestr dalej bo fotogramów jest 213. Można pytać dlaczego te same prawie zdjęcia są w działach „Wolny czas” i „Turystyka”. Z tą tylko może różnicą, że w turystyce już nie powtarza się wzruszający obrazek z „Czynów społecznych na nowym osiedlu” w wykonaniu 4-latkę, którego przerosła łopata, ale idąc widać, że zrozumiał. Dlaczego smutny, zbity tłum pod parasolami to „Festyn „Głosu Robotniczego”, święto gazety”? Identyfikacja zresztą wygląda jak „Dni Bałut na Rynku Staromiejskim” (fot. 234 i 235). Dlaczego pomnik Marchlewskiego to „Dni Oświaty, Książki i Prasy” na Starówce” (fot. 239)? Dlaczego „Spółdzielczy Dom Handlowy „Central” w Dniu Dziecka” to karuzela na ile budującego się jeszcze gmachu (fot. 243) a Dom Towarowy „Uniwersal” to zdjęcie neonowego napisu „Centrum” — bo nie więcej na zdjęciu nie widać? Jaki związek machiwanie się w sadzawkach Ogrodu Botanicznego (co wszak jest zabronione) z turystyką? (fot. 265). Chyba tak sam jak „Lotnisko sportowe na Lublinku” i „siadający” właśnie spadochroniarz! Skończył jednak z tymi pytaniami. Zatrzyście państwo sami do tego albumu — biblioteki kupią go na pewno, bo muszą!

Album kończy dział o tytule, który mnie zaintrygował autentycznie. „Województwo łódzkie w skali kraju”. O cóż tam może chodzić fotograficznie rzecz traktując? Srodze się zawiódłem. Poza jednym zdjęciem „Starej i nowej Łodzi” znalazłem przedruk danych z „Rocznika Statystycznego” i to bez możliwości porównania naszych osiągnięć z innymi, bo dane dotyczą tylko naszego województwa. I całe szczęście — zaoszczędzono w ten sposób sporo porządnego kredowego papieru. A danych statystycznych i tak nikomu do głowy nie przyjdzie szukać w albumie fotograficznym.

Na koniec jeszcze wypada podziękować Zakładom Graficznym z ul. PKWN, które jak się wydaje dokładały wszelkich starań, by sprostać trudnej sztuce edytorskiej. I nawet im to się w niektórych partiach udało, szczególnie jeśli chodzi o oprawę. Aż szkoda, że forma (ale tylko zewnętrzna) tak przerosła treść. Wszystko zaś przerosła cena — 3600 zł!

Szkoda też, że tak bardzo potrzebna pozycja na naszym rynku, wydana takim kosztem tak bardzo zawiadła odbiorców. Autorzy, wydając się przechytrzyć sami siebie. Chociaż uciec od pocztówkowej sztampy (od której i tak uciec im się nie udało) wpadli w zalepek pełen zasadzek, bowiem zbudowanie albumu — obrazu miasta, bogatego treścią i atrakcyjnego formą to zadanie bardzo trudne i zazwyczaj podejmuje ten trud zespół ludzi. Łódzkie impresje o propagandowym nieco wyrazie to nie to samo co obraz miasta.

Autor wstępu do omawianego albumu J. Wilmański pisze: „Czy można jednym spojrzeniem ogarnąć to miasto?... Czy zobaczymy to wszystko patrząc na Łódź okiem kamery?... Niestety, w tym przypadku nie zobaczymy! Pozostaje tedy posłuchać jego rady: „Spróbujmy zajrzeć poza kadry tych pięknych fotografii...”. Nie mamy innego wyjścia. Na album popatrzy przez szybę wystawową księgarni czy kiosku a na Łódź własnymi oczyma!

Łódź (scenariusz Antoni Szram; zdj. Andrzej Wach; oprac. graf. Janusz Wiktorowski. — Łódź: KAW, 1987. — 222, 2 s.; il. — 34 cm. — Aut. wstępu Jerzy Wilmański. — ISBN 83-03-01769-1; 3600 zł.

ANDRZEJ GAWROŃSKI

Od redakcji: Z zainteresowaniem przeczytaliśmy opinie naszych czytelników o ww. albumie.

TRZEBA MŁODZIEŻY ZAUFAC

Nieomal wszyscy narzekamy na naszą młodzież. O wiele łatwiej jest pisać o marginalisze społecznym, zaniku kultury i obyczajów, niż spojrzeć w sposób realistyczny na przyszłość i obecną kolekcję młodzieży.

Interesuje mnie głównie poszukiwanie rozwiązań mogących w jakiś konkretny sposób zmienić nasze życie, uarty pogląd na zachowanie naszej młodzieży. Nie jestem „wapałkiem”, zasklepionym w sobie, aczkolwiek moje lata młodości za przeminęły już dawno.

Mam poważne wątpliwości czy zawsze i wszędzie, w domu rodzinnym, szkole, internacie, na zebraniach i wieczorach szanuje się słowa młodzieży, co myślą, czują i mówią. Bywa i tak, że niejednokrotnie chcemy narzucić im swoją wolę w sposób jawny lub zakamufLOWANY. A młodzież tego nie lubi i nie dziwnego, że czasami odnosi się do nas z pewną dozą nieufności. Posiada ku temu prawo. Przecież nie po raz pierwszy lecz sądzę, że ostatni, młodzież stała się obiektem różnej manipulacji, raz na lewo, drugi raz na prawo.

Toteż, gdy spora grupa młodzieży z pewnego dużego wieżowca zwróciła się z prośbą do komitetu domowego o przeznaczenie jednej suszarni na świetlicę, komitet przychylił się do tej prośby. Nie będę wymieniał nazwisk głównych inicjatorów pomysłu, zarazem ludzi młodych i niespokojnych. Niejednokrotnie wpływały na nich skargi od mieszkańców wieżowca za zakłócanie spokoju publicznego, niszczenie urządzeń i trawników wokół bloku mieszkalnego. W tej sytuacji niezwykle trudno było przekonać mieszkańców, co do celowości oddania jednej z czterech suszarni na świetlicę. Na szczęście komitetowi domowemu udało się przekonać lokatorów i kompetentne czynniki administracyjne. Długo zastanawiano się, co począć z tym fanatem... Wreszcie zapadła pozytywna decyzja.

Z perspektywy minionego czasu okazało się jednak, że obawy były ponne, nieczym nie uzasadnione. Nie zawiedli zaufania ci młodzi, niespokojni ludzie, bowiem tylko tacy mogą coś zdziałać. Młodzież sama ułożyła wykładzinę, wytapetowała ściany, pomalowała stare krzesła, otrzymała w prezencie, a kilka stolików przeznaczył nawet sam kier. administracji — mgr Wojciech Chmielec.

Młodzi chłopcy i dziewczęta obecnie w wolnych chwilach mają możliwość spotykania się niemal codziennie w przyzwyczajonym przez siebie lokalu, przemianowanym na świetlicę. Zamiast bezmyślnie wysiadywać na ławkach i skwerkach, w sposób kulturalny mogą spędzać czas wolny od zajęć, pograć w ping-ponga, szachy, warcaby, przeczytać interesującą prasę, lekturę. Ustaliły narzekania lokatorów na zakłócanie spokoju, a młodzi ludzie znaleźli swój sposób na życie. Niektórzy z nich nie mogą liczyć na kieszonkowe od rodziców, potrafią sami zarobić na drobne wydatki i swoje potrzeby, angażując się w dro-

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

bne usługi dla osób starszych i samotnych. Część pieniędzy zarobił w OHP podczas tegorocznych wakacji. Są to młodzi, ambitni ludzie, którzy niewątpliwie dadzą sobie radę w życiu.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

„SKLEP SPOŻYWCZY CZY APTEKA”

W odpowiedzi na notatkę prasową zamieszczoną w tygodniku społeczno-kulturalnym „Odgłosy” wyjaśniam, że nie mieliśmy nigdy zamiaru przebrzmiewać, ani też likwidować sklepu nr 1154 branży spożywczej przy ul. Skupionej 1.

Zdajemy sobie sprawę jak bardzo każda placówka tej branży jest potrzebna w osiedlu.

Ponadto informujemy, że oddział nasz nie otrzymał żadnego wniosku z prośbą o zmianę branży omawianego sklepu. Nie występowało również w powyższej sprawie do Wydziału Handlu, Drobnej Wytwarzalności i Usług Urzędu Dzielnicowego Łódź-Górna.

Nadmieniamy, że mając na uwadze prawidłową obsługę klientów sklep przy ul. Skupionej 1 od momentu uruchomienia nie był jeszcze zamykany do remontu.

Remont został zaplanowany na rok bieżący, ale z uwagi na przewidywane oddanie do użytku w końcu roku 1987 pawilonu nr 360 przy ul. Natalii wstrzymuje się powyższy remont do chwili oddania pawilonu.

prezes Zarządu Oddziału
mgr JADWIGA SZABUNIO

PISARZE O BIBLIOTECE-JUBILATCE

Przed 76 laty została 11 października otwarta w Łodzi Biblioteka Publiczna nosząca od końca 1949 r. imię Ludwika Waryńskiego.

Jej bibliografia liczy już setki publikacji dziennikarzy i bibliotekarzy. Z księgozbioru Biblioteki korzystali i pisarze. Bywali też uczestnikami spotkań z czytelnikami i bibliotekarzami oraz organizowanych tam sesji i sympozjów literackich.

Ślady owych kontaktów czasami spotykamy w ich dorobku twórczym. Warte są przypomnienia z tej jubileuszowej okazji. Jan Koprowski poświęcił trzy felietony w „Dzienniku Łódzkim” w latach 1960—1963, 64 sprawom i wydarzeniom MBP.

„Jubileuszowy portret” Miejskiej Biblioteki w związku z 50-leciem jej istnienia zaprezentował w „Ogłosach” z r. 1967 (nr 19) Konrad Frejlich pod nieco zaskakującym tytułem „Jutro Kolumbski — pojutrze może księżyc”. Obszerny, interesujący literacko artykuł oparto na dokumentacji i wywiadach. Przedmiotem specjalnego zainteresowania Jerzego Wilmańskiego jest działalność wydawnicza MBP, którą omówił na łamach „Ogłosów” w r. 1974 (nr 50 „Łódzka Bibliografia”) i w numerze 34 r. 1975 („Wydawnictwa bocznego nurtu”) oraz w nrze 35 „Głosu Robotniczego” z r. 1985 („Wydawnictwa Biblioteki im. L. Waryńskiego”). Tenże autor wraz z T. Zakowickim przedstawił w „Ogłosach” (r. 1959 nr 19) Miejską Bibliotekę w pierwszym 10-leciu po przeniesieniu się do nowego gmachu przy ul. Gdańskiej.

Pisarze jako Czytelnicy ujawniają swoje sentymenta do łódzkiej księgarni. Jan Sztandynger w wierszu o Łodzi „Lubię ją i za to” (Łatki na szachownicy 1961) tak pisze:

Za Miejską Biblioteką, której jestem dłużny,
że książkę nie udziela, jak bogacz jałmużny
Ale chętnie i sprawnie z szybkością pioruna
Jak harfa co pod palcami dźwięczy wielostruna.

W migawkowym fragmencie „Naszej łódzkiej młodości” (W „Tranzycie przez Łódź” 1964) Wiktor Woroszyński maluje na tle „Jasnej sali Biblioteki Publicznej przy ulicy Andrzeja” obraz swoich lektur jako studenta. A zakończy go słowami „...coż oznacza ten obraz i po co go utrwalamy? — chłopiec czyta i tyle — nie, on żyje gorąco i intensywnie — tak jak później, być może, nigdy już nie potrafi, czytając — bo to jego przywilej, takiego chłopca — więc już mniejsza o to nawet, co czyta — ważne, jak czyta — pozazdrościmy mu chwilę i nie zauważeni odejdźmy...”

Grzegorz Timofiejew w swoim wspomnieniu o latach międzywojennych w „Młodości nad książką” (Gł. Rob. 1967 nr 9) obok refleksji nad bibliotecznymi lekturami opisuje „szturmy” młodzieży szkolnej na czytelnie Biblioteki przy ul. Andrzeja, połączone niekiedy z przypadkami tłuczenia szyb w drzwiach wejściowych. W zakończeniu czytamy „Brakowało miejsc, starsi posiadali przywilej pierwszeństwa. Nieraz młodzi czytelnicy czekali godzinami w kolejce aż się jakieś miejsce opóźni. Pewnego razu do dyrektorki wpłynęła petycja z podpisami kilkuset uczniów i uczennic. Treść brzmiała lakonicznie „bodaj was cholera!”, „Ja tego nie podpisuję, ale szczytnie”, tak jak później, Andrzej Brycht zadedykował pracownikom MBP im. L. Waryńskiego wiersz „Biblioteka” („Łódzki Expr. Ilustr.” 1954 nr 230)

Jerzy Urbankiewicz w książce „Muzy przy krosnach” (1970) niewiele miejsca poświęcił dziejom MBP. Natomiast w „Passe — partout w ciepłym kolorze” (1984) kreśli w dłuższej gawędzie „Konfesyjale dla czytelników” w ciepłej tonacji sylwetkę J. Augustyniaka jako dyrektora Biblioteki Publicznej. Do najdawniejszych lat Biblioteki nawiązuje fragment artykułu „Pięćdziesiąt lat małego mostu” („Jednota” 1982 r.). Autor, pisarz z Tel. Awiwu Jeszajahu Spiegel odznaczony jedenastoma nagrodami literackimi za twórczość w języku żydowskim wspomina „Urodziłem się w r. 1906 w najbliższej dzielnicy łódzkiej na Bałutach... ukończyłem gimnazjum. No, niezupełnie, 7 klas a było 8. Potem w bibliotece publicznej, która może istnieje do dziś w Łodzi, przesiadywałem od rana do wieczora. Dziesięć deko kielbasy krojonej i jedna buleczka i cały stos książek. Dyrektor tej biblioteki (pamiętam jak się nazywał — Augustyniak) o pierwszej godzinie kiedy wszyscy szli na obiad, a ja siedziałem jeszcze w kacie, to on dochodził do mnie i mówił: — panie Spiegel, już czas na obiad. — Ja jeszcze mam coś dokończyć. — Pan pozwolił do nas na herbatę i zaprosił mnie do siebie. I tam u niego prawie codziennie jadłem mój obiad”. W książkach Wacława Pawlaka: „W cieniu ratuszowej wieży” (1973) i „W rytmie fabrycznych syren” (1984) znajduje się kilka istotnych informacji o Bibliotece z okresu od założenia Tow. Bibl. Publ. w 1916 r. do wmurowania kamienia węgielnego pod nowy gmach w 1938 r. Artykuły Tadeusza Giegiera o Romanie Kaczmarsku, drugim dyrektorku „Waryńskiego” (Życie Lit. 1983 „Śladami antenatów” i „Odgłosy” 1985 „Potomek Roszków i Drewnowiczów”) nie rozwijają tematu Biblioteki. Dodać należy, iż gawędziarski informator „Spacerem po Łodzi” z r. 1984 Adama Ochockiego i Władysława Orłowskiego podkreśla w stosunkowo niedużych 2 wzmiankach rolę MBP i jej filii w podnoszeniu kultury mieszkańców miasta.

IZABELA NAGORSKA

Polityka zakupów filmowych w naszym kraju nie zmienia się od lat, czego skutki obserwujemy w kinach. Niektóre filmy wyświetla się miesiącami przy pełnej widowni (np. „Wejście smoka”), inne od początku nie mają widzów i po kilku dniach schodzą z ekranu. Powie ktoś — całkiem prawdziwie, widzów mamy różnych. Jeden musi zobaczyć „Wejście smoka” czy „Poszukiwaczy zaginionej Arkii”, inny woli „Sonatę jesienną” Bergmana lub ambitny film bułgarski. Otóż jest to nieprawda. Każdy obejrzy „Poszukiwaczy...”, Bergmana najwyższej garstka, zaś ambitnego filmu bułgarskiego nikt nie będzie chciał oglądać. Filmy bułgarskie, rumuńskie czy czeskie omiń zresztą w tych rozważaniach, bowiem otrzymujemy je za nasze filmy, czyli za darmo.

A więc co i dla kogo się kupuje? Co — to oczywiste. Filmy najlepsze. Czują nad tym areopag najwybitniejszych krytyków, odwiedzających regularnie prestiżowe festiwale, zwłaszcza Cannes. Nagroda festiwalowa ich zdaniem kwalifikuje film automatycznie do zakupu. Jednak okazuje się najczęściej, że nie mają te filmy u nas widowni. Dla kogo są więc kupowane? Ironista odpowiedziałby, że dla tychże krytyków. Ponieważ jednak ironista nie jestem, spróbuję się nad tym zastanowić. Odpowiedź na to pytanie nie jest bowiem oczywista. Trzeba w tym miejscu powrócić do poruszonego już przeze mnie na tych łamach („Odgłosy” nr 23 z 6 czerwca br.) problemu nowej publiczności. Jest to publiczność młoda, średnia wieku — szacunkowo, bo żadnych kompleksowych badań widowni u nas

Co i dla kogo

się nie prowadzi — wynosi około dwudziestu lat. Upodobania tej publiczności ukształtowała telewizja. Nie chodzi tu oczywiście o upodobania tematyczne, lecz o pewien typ percepcji. Telewizja dostarcza mnóstwa wymieszanych ze sobą najróżniejszych informacji, o różnym stopniu atrakcyjności. Uwaga widza siedzącego przed telewizorem jest jednocześnie rozpraszana przez wydarzenia dziejące się w jego domu. Większa część telewizyjnego przekazu miga mu więc przed oczami nie angażując go zbyt. Nie odczuwa jednak nudy, bo absorbuje go równocześnie to, co robią domownicy. Dopiero coś niezwykle atrakcyjnego przykuwa jego uwagę do telewizora, zwykle na krótko. Dlatego człowiek oglądający cały dzień telewizję potrafi później w pięć minut opowiedzieć co widział. Często telewizor przesłakuje z jednego kanału na drugi, łaknąc wciąż nowych wrażeń. Idąc do kina, oczekuje podświadomie tego samego. Tymczasem kino tradycyjne, nawet kino wielkich mistrzów, oczekiwanych tych nie spełnia. Realizowane jest bowiem dla widowni innej, wychowanej na literaturze, bardziej refleksyjnej, dziś już nie istniejącej. Dzisiejsza publiczność, jeśli przypadkiem na film taki zabłądzi, nudzi się, potem usiłuje się rozzerwać komentując głośno swoje doznania, wreszcie wychodzi przed końcem nie szczędząc reżyserowi słów krytyki. Model „telewizyjnej percepcji” filmów kinowych utrwała się obecnie dzięki wideo. Można na to narzekać, co niektórzy czynią z upodobaniem, ale niczego to nie zmienia. Nowa widownia jest faktem i trzeba dla niej kupować odpowiednie filmy, albo od razu zamknąć kino.

Jakie filmy będą odpowiednie dla tej widowni? Te, które określa się wspólnym mianem kina popularnego. Filmy z sensacyjną fabułą, wartką akcją i precyzyjnie zrealizowanymi efektami specjalnymi. Oczywiście nie całe kino popularne. Filmy niskobudżetowe, tandemnie zrealizowane, są przez tę widownię bezrefleksyjnie odrzucane. Jest to więc widownia o wyrobionym smaku (tak!), wiedząca czego chce.

Na skutek homogenizacji kultury masowej i dość swobodnego przepływu mód i trendów, widownia nasza prawie nie różni się upodobaniami od widowni zachodniej. Można więc z dziewięćdziesięcioprocentową pewnością stwierdzić, że film będący hitem kasowym na Zachodzie sprawdzi się i u nas. Kupować więc należy według list przebojów. Tak się niestety nie dzieje.

Wspomniałem już, że w pierwszym rzędzie kupujemy filmy nagrodzone na festiwalach. Ponieważ praktyka ostatnich lat dowiodła, że publiczność oczekuje czegoś innego, kupujemy również kino popularne. Ale — niestety — zbyt często na zasadzie transakcji wiązanej. Do ewidentnego hitu dokupujemy pęczek filmów klasy C. W sprawozdawczości wygląda to skromnie, lecz przyzwolcie: w dobie kryzysu jednak kupujemy około dwudziestu zachodnich filmów rocznie (niegdys około osiemdziesięciu). Tymczasem połowa — to kino festiwalowe, cieszące się uznaniem krytyki, lecz niedochodowe, trzy lub cztery filmy to ewidentne hity, przynoszące spore zyski, reszta zaś nie interesuje nikogo. Krytyka gani te filmy — i słusznie, publiczność je omija. Nie stać nas na takie okazjone zakupy. Przysłowie mówi: „Ubogich nie stać na rzeczy tanie”.

Wnioski nasuwają się same. Zamiast dwudziestu tanich filmów powinniśmy kupować piętnaście droższych, ale atrakcyjniejszych. Zmienione winny być proporcje zakupów. Nie należy rezygnować z kina „festiwalowego”, ale niech stanowi ono trzydzieści procent filmów zakupionych na Zachodzie. Zmniejszą się w tym procencie filmy wybitne, bo różnie z nagrodami na festiwalach bywa. Reszta — to muszą być przeboje kasowe, kino popularne w najlepszym gatunku. Muszą to być filmy nowe, bo inaczej luka repertuarowa — jak luka technologiczna — będzie się pogłębiać i również pod tym względem pozostaniemy w tyle za resztą świata. Ze luka ówa już istnieje, dowodzi pojawienie się w tym roku na naszych ekranach filmu Jamesa Camerona „Elektroniczny morderca”, będącego przebojem roku 1984. Trzeba przyznać gwoździ sprawiedliwości, że były filmy zakupione szybko, które przyniosły spory zysk kinom. Myślę tu o filmach „Indiana Jones” Stevena Spielberga, „Miłość, szmaragd i krokodyl” Roberta Zemeckisa, „Powrót do przyszłości” tego samego reżysera, „Gremliny rozrabiają” Joe Dantego, a ostatnio „Critters” Stephena Hereka. Są to jednak przysłowiowe wyjątki potwierdzające regułę.

Z luki repertuarowej korzysta tymczasem rynek wideo, odbierając potencjalnych widzów wielu filmom, zbyt późno zakupionym przez „Film Polski”. Światowe przeboje docierają do nas na kasetach z półrocznym najwyżej opóźnieniem. Jeśli nawet rynek wideo nie wyprzedzi „Filmu Polskiego” w zakupie, na pewno ubiegnie Przedsiębiorstwo Dystrybucji Filmów w rozposzczętnianiu. Już od kilku miesięcy kraja na kasetach filmy „Mona Liza” Neila Jordana i „Pożegnanie z Afryką” Sidneya Pollacka, pokazane na tegorocznych konfrontacjach. Można powiedzieć, że w tym przypadku PDF zrobiło reklamę prywatnym dystrybutorom kas. Oprócz tego są już od dawna na rynku „Piraci” Romana Polańskiego, „Obcy” decydująco starcie Jamesa Camerona, nawet „Ran” Akiry Kurosawy. Prywatni importerzy filmów wydają się lepiej znać gusty naszej widowni niż fachowcy z „Filmu Polskiego”. Do tytułowego pytania „co i dla kogo” należałoby w tym miejscu dodać „kto i dlaczego”. Ale to już osobny temat.

BRONISŁAW PUŁASKI

12 ODGŁOSY

FILMY Z KASETY

Duch II: druga strona

Tym razem Steven Spielberg nie przyłożył do tego ręki. Dalszy ciąg znanego nam „Ducha” został wyprodukowany przez MGM, zaś nakręcony przez raczej nieznanego reżysera Briana Gibsona. Aktorzy jednak pozostali ci sami. Dalsze perypetie sympatycznej rodziny Freelingów na ich grze się głównie trzymają.

Rodzina Freelingów — Steve (Craig T. Nelson), Diane (JoBeth Williams) oraz ich dzieci, Carol Anne (Heather O'Rourke) i Robbie (Oliver Robins) opuścili Cuesta Verde mieszkać teraz w domu Babci Jess, matki Diane. Babcia Jess, posiadająca także dar jasnowidzenia jak mała Carol Anne, wkrótce umiera. Po jej śmierci dom nawiedzają podobne fenomeny co w Cuesta Verde. Freelingowie uciekają, ale zostają zatrzymani przez Indianina Taylora (Will Sampson, z „Lotu nad kukułczym gniazdem”), który posiada nadprzyrodzone właściwości i obiecuje im pomoc. Taylor wprowadza się do domu Freelingów i stwierdza, że to o małą Carol Anne duchom chodzi. Była już kiedyś w ich mocy („Duch”) i teraz chce ją z powrotem. Zło w osobie upiornego pastora Kane'a decyduje do Freelingów, ale spotyka się ze stanowczą odpawą. Wtedy Kane wywołuje burzę i przenika do ich domu w kropkach deszczu przelecających przez dach, ale musi ustąpić przed zaklęciami Taylora. Diane ma wizję, że Kane był przywódcą sekty przybyłej przed laty do Cuesta Verde. W przewidywaniu rychłej Apokalipsy sekta wybrała samobójczą śmierć w jaskini, znajdującej się obecnie pod zrujnowanym domem Freelingów. Po jeszcze jednym nieudanym ataku Kane'a, Freelingowie wraz z Taylorem i zaklinaczką duchów Tanginą udają się do Cuesta Verde, aby pokonać duchy w ich siedziskach. W jaskini Kane porwuje Carol Anne do świata duchów, ale dzięki pomocy ducha Babci Jess dziewczynka wraca. Rodzina jest znów razem, duchy przegana. Niewątpliwą zaletą tego fil-

mu, który ma ambicję być zabawniejszy od swego poprzednika (spora w tym zasługa Willa Sampsona), są efekty specjalne w wykonaniu Richarda Edlunda, najlepszego specjalisty w tej dziedzinie. Upiorna płatanina drutów wyrastająca nagle z aparatu do korekacji zębów Robbiego i opłatająca go gęstym kokonem, potwór wypity przez Steve'a razem z whisky („...diablik to był w wódce na dziś”) i potem zwirowany — to majstersztyki precyzyjnej animacji. Ponieważ film grozy posiada zwykle odpowiedni klimat właśnie dzięki sprawnie zrealizowanym efektom specjalnym, „Duch II” jest wart obejrzenia. Muszę jednak przyznać, że wolałbym już nie oglądać „Ducha III”.

B. PUŁ

„Poltergeist II: The Other Side”, reż. Brian Gibson, USA 1985.

Tatus i Indianie

O ile Indianie Ameryki Północnej zostali wypięci albo zamknięci w rezerwach i oddani na pastwę kaznodziej o raz alkoholu, o tyle część rdzennej ludności Ameryki Południowej nie została wyrznięta i stanowi wdzięczny obiekt obserwacji dla różnych maści naukowców.

Jak dotąd tereny zamieszkałe przez plemiona indiańskie, to znaczy dorzecze Amazonki, nie przedstawiały większej wartości dla przemysłu, ale obecna sytuacja gospodarcza i finansowa zmusza brazylijski rząd do porzucenia sobie ręki nawet taką brzytwą, jaką jest amazońska puszcza.

Film Johna Bormanna „Szmaragdowy las” to fabularna próba lypnięcia okiem do wnętrza „zielonych ścian” i ukazania tragedii Indian zmuszonych do ucieczki w głąb puszczy przed ekspansją białych ludzi.

Kilkuletni syn inżyniera budującego tamę zostaje wprowadzony przez Indian i oddany ojciec przez lata szuka dziecka,

przedzierając się przez wilgoć i obgryzany przez tropikalne paskudztwo stacza potyczki z bitnymi plemionami przy użyciu pistoletu maszynowego.

W końcu już prawie rozszarpany przez chmury Indian odnajduje syna, który zasymilował się z Indianami, wkrótce ożenił się z piękną Indianką i objął wakujące stanowisko wódcy. Spotkanie to piękny przykład rodzinnych uczuć, a nasz bohater, zresztą w kręgach indiańskich zbliżony do syna znany dzięki jego opowieściom jako Tatus, namawia dziecko do powrotu. Nic nie wskórawszy, wraca do cywilizacji i znów likwiduje puszcę wnosząc nowe tamy.

Ich drogi schodzą się raz jeszcze, gdy ojciec pomaga synowi uwolnić kobiety z jego plemienia, porwane przez uzbrojonych w pistolety Indian na służbie właściciela burdelu, który potrzebuje „towaru” dla swych klientów i z wdzięczności rozpłaja dostawców.

Fotografia jest bardzo piękna i chwilałmi odnosi się wrażenie, że jakaś gałąź czy liana przebiega między ekranem a ukasną autentyzmu. I gdyby nie infantylna fabuła, nazbyt liryczna i popusta niezamierzonym komizmem, można by uznać ten film za udany.

T. KUB.

„Szmaragdowy las”, reż. John Bormann, prod. USA.

Świadek

Amerykańska chęć oddania każdej z mniejszości (etnicznych, religijnych, obywatelskich) tego, co jej się należy, spowodowała powstanie filmu „Witness” („Świadek”). Co cesarskie oddaje się tu społeczności tzw. Amishów, polaczonej zarówno wieziami narodowymi jak i religijnymi (mieszkańcami niemiecko-holenderską plus surowy, ortodoksyjny protestantyzm).

Niechętny filmom o tematyce fideistycznej chce pocieszyć, że stanowi to ona blo dla intrygi sensacyjnej, chociaż równie dobrze kryminał może być tu traktowany jako wpro-

wadzenie do świata innych wartości i zasad. W roli wprowadzającego w ten świat, występuje Harrison Ford jako policjant, który wpadłszy na trop afery narkotycznej we własnej instytucji, zostaje postrzelony przez byłych kolegów (za dużo wiedział) i znajduje schronienie w wiosce zamieszkałej przez Amishów. Ignorując oni zupełnie istnienie całego świata zewnętrznego, który dla nich kończy się na rogatkach, wszystkich obcych nazywają stereotypowo Anglikami, a życie wypełnia im mrówcza praca i śpiewanie psalmów. Ten atrakcyjny skądinąd sposób spędzania czasu owocuje szybkim rozwojem infrastruktury (budowa stodoły w ciągu jednego dnia, co w filmie trwa niestety prawie tyle samo). Porucznik wtapia się w tę połączoną, konserwatywną społeczność (mimo rąk, przywykłych do kolby pistoletu i naciśnięcia spustu okazuje się zdolnym drwalem i stolarzem) i zostaje przez nią stopniowo zaakceptowany. Zerkając poządiwie na jedną z Amishek, której atrakcyjność skrywana przedtem pod sierniowym strojem wychodzi na jaw podczas kąpieli. Kiedy więc tę sympatycznie rozwijającą się koegzystencję przerywa przybycie skorumpowanych i żądnych krwi antagonistów porucznika, poczwli Amishe przychodzą w samą porę z odsieczą, wyposażeni w kłonicę, siekiery etc. Sprawiedliwość zostaje uratowana, ale nie ma pełnego happy endu — porucznik wraca do cywilizacji, wymieniwszy tylko znaczące spojrzenie z niedoszłą przyjaciółką.

Pewne dłużyzny tego filmu na pewno nie nadają mu jeszcze atrybutu psychologizmu, ale wyróżnia się on z mnóstwa obrazów wideo niekomercyjnością i prawdopodobieństwem zdarzeń, sytuacji i charakterów. Bardzo mało tu strzelaniny, seksu nie ma w ogóle — o czym pisać nie po to, aby zmniejszyć do obszerzenia „Świadek”, przeciwnie, w poczuciu, że będzie ów film cennym relaksem, po zbyt już ekstrawaganckich popisach na ekranie.

M. MAZ.

„Witness” („Świadek”) reż. Peter Weir, USA.

Podróż druga

W okresie posuchy repertuarowej jest to jedyne wydarzenie zdolne poruszyć prawdziwego kinomana: na półki księgarń trafił wreszcie, oczekiwany od 6 lat, drugi tom „przewodnika osiągnięć filmu fabularnego” pt. „Kino — wehikuł magiczny”. Jest się z czego cieszyć: staranna dokumentacja najwybitniejszych filmów w historii objęła kolejne dziesięciolecie (1950—1959), a notka na skrzydełku zapowiada dalsze trzy tomy — do 1980 r. włącznie (oby tylko na każdy z nich nie trzeba było czekać znów po 6 lat!). Są wreszcie dwie ważne informacje: pierwsza — o znakomitej spółce autorów, Adamie Garbiczu i Jacku Klinowskim, z dość tajemniczych względów nie zamieszczona w tomie I i druga, przyprowadzająca polskiego odbiorcę o zawiści, że już w 1973 r. I tom książki ukazał się w USA (w Polsce — w 1981 r.), i że właściwie polskie wydanie — polskich w końcu autorów jest repliką angielskiego...

Czytelnicy tomu I, obejmującego lata 1913—1949, znają już znakomite zalety tej książki (bo druga część kontynuuje formułę: po pierwsze — reprezentatywność wyboru; po drugie — przejrzystą hierarchię rangi artystycznej filmów w obrębie poszczególnych lat, oznaczaną wielkością czcionki w tytułach; po trzecie — rewelacyjnie opracowane czołwki z kompletną listą podstawowych współtwórców, obsadą i czasem projekcji; po czwarte (i najistotniejszą) kunszt prezentacji. Garbicz i Klinowski gdzie trzeba streszczają dość dokładnie fabułę, gdzie można (np. przy adaptacjach rzeczy znanych) pomijają ją, za każdym razem zwracając uwagę na walory myślowe i estetyczne, natomiast rozwijając inscenizacyjne czy techniczne lub — po prostu — na doskonałość rzemiosła (reżysera, operatora bądź aktorów), które przesadzają o tej, a nie innej randze filmu. A ponieważ — w przeciwieństwie do monumentalnej, ale przeciążonej tłem społecznym i produkcyjnym „Historii sztuki filmowej” Toeplitza — skupiają się wyłącznie na filmach, wyłania się fascynujący obraz... właśnie sztuki filmowej, a nie przemysłu kinematograficznego. Zaletą „Kina — wehikułu...” jest możliwość uchwycenia istotnej linii przemian estetycznych, technicznych, myślowych w kinie (gdy czytamy książkę chronologicznie) — bez komplikowania obrazu historią przemysłu czy filmami drugorzędymi. Zresztą można czytać tę książkę też na wyrywki (ale to raczej po pierwszej lekturze) — i jest wtedy, zgodnie z podtytułem, znakomitą przewodnikiem, np. dla działaczy DKF, filmoznawców czy zwykłych miłośników kina.

Wymienione zalety przysługują całoci zamierzonego przedsięwzięcia. Po cóż więc recenzja tego II tomu? Otóż ma on istotne walory samoistne, które sprawiają, że jest bodaj jeszcze lepszy niż pierwszy. Im bliżej współczesności, wzrasta ilość omawianych filmów (do około 40 rocznie) — a tym samym pejzaż kina jest rozleglejszy. Autorzy, którzy w I tomie zaprezentowali

raczej standardową klasykę kina niemego i pierwszych lat dźwięku, w „podróż” przez lata 50 odkrywają zaskakujące proporcjami i niesztampowości własnych ocen oblicze dekadu: owsem, jest osiągnięty apogeum świetności i schyłek neorealizmu; owsem, kielkują nowe fale lat 60, a światu objawiają się talenty Antoniego, Felliniego, Bergmana; ale równolegle do europejskiego nurtu rozwija się ukazane tu w całej swej bujności i obfitości arcydzieło kino japońskie, a w Hollywood — niedoceniany przez admiratorów awangard — przeżywa złote lata wielki, acz nie nieśmiertelny, jak pokaże przyszłość, western.

Podróż Garbicza i Klinowskiego w kino lat 50 urzeka rozległością ujęcia, nieschematycznie wyważonymi proporcjami, odkryciem w świadomości kinomana zapomnianych bądź niezbyt znanych ładów. Ujawnia się tu także znacznie wyraźniej niż w „podróż” pierwszej” swoistość kryteriów doboru tytułów i ich hierarchizacji — owsem, autorzy cenią mistrzostwo formy, rewolucyjność techniki i narracji (stąd wysokie wypunktowanie np. „Rashomona”, a wcześniej „Pancernika Potiomkina” czy „Obywatela Kane’a”), ale o wielkości największych filmów — jak zdają się twierdzić — przesądza co innego: humanizm przesłania, zmierzanie z najważniejszymi moralnymi, psychologicznymi, filozoficznymi dylematami człowieka, próba zgłębienia przez kino wymiaru transcendentnego. Toteż w „podróż drugą” największym blaskiem świecą niedoceniani humanista Yasujiro Ozu czy „metafizyk” Bresson. Stąd też np. tak wysoka ocena (poparta pasjonującą analizą) filmu „Wszyscy jesteśmy mordercami” w reż. André Cayatte’a, powszechnie uważanego raczej za rzemieślnika i demagoga niż za artystę-moralizatora. Stąd też z dorobku przecenionego Bunuela (tu: surowo potraktowanego) — uznanie za arcydzieło jedynie skromnego, acz głębokiego „Nazarina”...

A przy tym wszystkim — autorzy nigdy nie zapominają, że dla większości kina to głównie rozrywka i wśród „wielkich” filmów z premedytacją umieszczają komedie, musical lub kreskówkę, jeśli tylko upamiętnili się blaskotliwością lub zdołali wnieść jakąś trwałą artystyczną wartość do dorobku kina. Nigdy nie opuszcza też autorów swoisty słuch: zawsze, przy odpowiedniej okazji, zaakcentują narodziny, apogeum czy zmierzch jakiejś estetyki bądź konwencji takiego a nie innego sposobu wychwytywania prawdy czy poruszania uczuć i intelektu widza — poprzez filmowe medium.

Książka Garbicza i Klinowskiego, dziś, w dobie stępienia „słuchu” widza (zwłaszcza młodszego) przy ubogim i komercyjnym repertuarze, przyczyni się może pośrednio do odzyskania lub wyrobienia wrażliwości na estetykę kina.

A. Garbicz, J. Klinowski, Kino — wehikuł magiczny, Podróż druga 1950—1959, Wyd. Literackie, Kraków 1987.

TOMASZ KŁYS

Mit staje się rzeczywistością...

Moją wyobraźnią całkowicie zawiądnęli Altajczycy.

Nie ma takiego mitu i legendy altajskiej, których by poeta Tanyspaj nie znał. Dzieciństwo spędził w środowisku, gdzie folklor był naturalnym pokarmem dla ducha. Obecnie jest cennym pracownikiem Górno-Altajskiego Instytutu Historii, Języka i Literatury, ale bardziej znany jest jako wspaniały wykonawca ludowych podań i legend. Występował na międzynarodowych festiwalach folklorystycznych w Paryżu, Genewie i Florencji. Poeta, pieśniarz, improwizator, gawędziarz. Jego gardłowy śpiew wzbudza u słuchaczy niebawome asocjacje słuchowe i wzrokowe. Nagle otacza ich dzika przyroda Altaju: szum borów cedrowych, odwieczne zmagania rzeki ze skałą, szmer czystych lodowatych źródeł i wycie niczym nie krępowanego wichru. Śpiew Tanyspaja brzmi niczym wielka orkiestra symfoniczna. Ciągłe miałem wrażenie, że gdzieś w jego gardle ukryty jest magiczny instrument, przysługujący zdumiewającą barwę głosowi. To dar natury, nauczyć się tego nie sposób, nawet gdyby ktoś bardzo chciał.

Tak samo jak głos, fascynuje jego talent gawędziarski. Słucham go jak zaczarowany, choć sporo z tego, o czym opowiada, nie rozumiem. Intrzyguje mnie również sygnał na jego ręce, zda się tryskać ogniem. Gdy Tanyspaj pociera go drugą ręką, wygląda jak rozszarpany węgielek, który powinien palić mu skórę. Już chciałem widzieć w tym coś metafizycznego, a to była „wysoka” właściwość tego kamienia — fosforowywał pod wpływem tarcia. Zainteresował mnie również drugi sygnał, na lewej ręce biały neofit, oprawiony w srebro. Kamień nerkowy, jak się go określa. Nefros — nerka. Na Altaju wierzy się powszechnie, że noszenie go gwarantuje dobrą pracę nerek. Ma także moc unieszkodliwiania złych duchów. Biały neofit — kamień wewnętrznej harmonii. — Jeśli ci ciężko, jeśli ci coś leży na sercu — twierdzi Tanyspaj — weź biały neofit i zaciśnij go w dłoń. I przestaną się ciągle gdzieś spieszyć, dni w roku ci starczy. To musi stać się twoją dziewczą.

Tanyspaj zaprasza mnie do siebie w gości. Nie jest to pierwszy „górał”, który oprócz gór nie za godne istnienia nie uznaje. Ma też wspólną wszystkim góralom cechę — niebawoma goscinność i otwartość.

— Przyjeżdż! W mizinach jest smutno i mokro, a na Altaju od razu pożyjesz duchem nad obłoki. Na ścieżkach przeleży ujrzyś usypiska kamieni. Nie zapomnij dorzucić i swój kamyczek. To pamiątka po Duchu Gór. Co prawda nikt już prawie w niego nie wierzy, ale zwyczaj składania mu ofiar z kamieni pozostał. Zwyczaj ludowy — rzecz święta, a kto je lekceważy, niech nie oczekuje, że uniknie kary. Góry są mądre, wszystko widzą i słyszą, ich uszy rejestrują najcisze szelesty mimo ciągłego szumu wodospadów.

Podobny stosunek do gór spotkałem w literaturze opisującej wizerunki górskich zakątków świata. Zadziwiająca wspólnota łączy tych ludzi. Jednakowe doświadczenie społeczne każe na przykład polskim góralom widzieć Ducha Gór, jako despotycznego kościstego starca ze spletanymi jak galeje włosami i ogromną gęstą brodą. Skacze on po górach wymachując grubą dębina — maczugą. Gdzie stąpnie, pozostają skałki zwaliska, rumosze, wyrwione drzewa. Altajski DUCH Gór lubi, by składano mu w darze Kamienie Smoka, wydobyte z ziemi.

— Dasz mu bliznę, jak skłóci kamienie. Oczy Smoka. Na wierzchu czarna, a w środku zielona i nikt nigdy w twojej rodzinie nie zachoruje. Na skałach zobaczysz trzy jęzory płomienia — Znak Ognia. To symbol czasu. Trzy jęzory ognia są jednością przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Naszym Bogiem jest Słońce...

Poezję Tanyspaja ukształtowała natura,

jest w niej nieokreślone pragnienie ciągłego z nią obcowania.

— Tu, w miastach, zabił się ziemię, zamordował się ją, nawet trawy nie chce wam rościć — wskazuje Tanyspaj na asfaltowe boisko. — Ziemia nienawidzi tych, co gwałcą jej prawa, czynią bezpłodną, kładąc kamienie na jej łono. Kamienie zebrane są w górach, nigdzie więcej ich być nie powinno. Łabędzie nie zechcą latać nad zmasakrowaną ziemią, a im już pora lecieć.

Tanyspaj wpatruje się w puste niebo, a ja spoglądam na drzewa wokół naszego Domu Pracy Twórczej. Dla mnie Pieriedielnik jest zieloną oazą wśród szarego betonu, stali i żelaza. Miasta. Nigdy nie byłem na Altaju, nie rosnem wśród wolnej natury, trudno mi uwierzyć w wieczne życie na ziemi, w wieczny proces reinkarnacji.

Tanyspaj mówi, że wszystko, co żyje, składa się z dham. One określają kształt żywych istot, zwierząt i roślin. Po śmierci danej istoty jej dhamy kształtują inne, nowe jej formy. Białe łabędzie powstały po śmierci ludzi dobrych, szlachetnych. Dlatego jest ich teraz coraz mniej, coraz rzadziej szukają z nami kontaktu.

Gdy przelebiam się, Tanyspaj nie pozwolił mi pójść do lekarza. Dał mi parę okrucichów żywicy, koloru ciemnego złota, podobnej do zaschniętych kroplek krwi. Powiedział, że jest to naturalny biostymulator, balsam gór, inaczej wosk górski, który powstaje z leśniczego mchu i pomiotu świętych myszy. Zna ponoć ten lek medycyna tybetańska. Altajscy górale mówią, że są to gorzkie łzy Ducha Gór, które spływając ze szczytów twardnieją i zamieniają się w cudowny balsam. Liżą go zwierzęta, polkują ptaki, a wtedy dzieją się zaskakujące — rany ich goją się bez blizn i błyskawicznie zstają złamane kości.

Tanyspaj odkrył mi sekrety drzew świętych — jałowca, tuji i błękitnej sosny. Przede wszystkim chronią one przed niebezpieczeństwem, lecz poza tym jałowiec wspaniale oczyszcza powietrze, a sosna i tuja ładują w ołowiewa energię słońca. Domy na Altaju buduje się z sosny, stąd ludzie są zdrowi i żyją długo.

Obiecałem Tanyspajowi, że późną jesienią wybiorę się do niego, a on na pożegnanie zadmiewał mi swój tomik wierszy „Kołyska ziemi”

„Drogiemu Wasylowi z życzeniem altajskim, by dym jałowca zawsze ochraniał twoje zdrowie i życie. 10.V.1987”. Dostałem również monografię poświęconą jego twórczości. Na obwolutie kolorowa fotografia altajskiego ministrza Tanyspaja, grającego na dombrze. Na Altaju recytacjom wierszy towarzyszy akompaniament dombrzy. Bez muzyki nie ma tam poezji.

Tanyspaj siedzi po turecku na dywanie. Ciemna jak trawiony dąb twarz jego jest nieprzenikniona. Żrenice w głębokich ciemnych oczodolach przyszyły powiekami. Jakby przemarzały. Zmierzchnięte. Zaraz buchnie płomień z kominka, Tanyspaj uniesie powieki i nie migać zacznie wpatrywać się we mnie swymi skośnymi oczyma. Tępiąc jałowiec napelnia pokój słodko-smutną wonią. — Jesteś na Altaju i chcesz posłuchać jego poezji — zaczyna Tanyspaj — Siadaj, bądź moim gościem. Opowiem ci o kamieniu ognistym. Niedawno przebywał tu polski poeta Jan Goczoł. Znasz go? Jan przekłada na polski nasz epos „Maadaj-Kara”. Interesują ci kamienie? W tym, tutaj widzisz zastygły ogień naszych gór. W sekrety kamieni wtajemniczał mnie dziadek, ogień przechowuje pamięć o nim.

Dawno temu, kiedy to Altajczycy jeszcze nie znali ognia i jedli surowe mięso, a ciała przykrywali skórą zwierząt, człowiek bał się człowieka. Pewnego razu ziemia zbudziła się ze snu, prostując mięśnie przeciągnęła się, aż pękło jej odzienie i wydała straszliwy ryk, groźniejszy od stu smoków. Z jej czeluści wyleciała ogromna czarna chmura i zakryła słońce. Na ziemi zapanował mrok. Ludzie i zwierzęta rzucili się do ucieczki, szukając ratunku, lecz go nikt nie znalazł. Z nieba leciały rozpalone do białości kamienie. Rzeki wyparowały, w ich korytach zastygła ognista lawa, zamieniając się w czarny kamień. Wiele istnień straciło wtedy życie, ale źródło życia pozostało nienaruszone. Wkrótce słońce wróciło na niebo, ziemia znów okryła się zielenią. Wtedy ponownie można było rozpocząć łowy, lecz nikt już nie śmiał ruszać w góry, bano się gniewu Ducha Gór. Dopiero jakiś myśliwy, tropiąc w zapamiętaniu jelenia, znalazł się nagle na skraju przepaści. Na jej dnie palił się święty ogień. Wokół ogniska siedział dwór Ducha Gór. Ucztowano, racząc się pieczonym na różnie mięsem. Myśliwy ukrył się za skałą. Złobnie patrzył w ogień myślicząc, że ma przed sobą posłańca Boga-Słońca. W ciemności nocy, która wkrótce zapadła, ogień stał się jeszcze jaśniejszy i potężniejszy, a jego ciepło rozgrzało stojącego wysoko na skałce myśliwego. Nie zauważony przez nikogo myśliwy wrócił tej nocy w dolinę i opowiedział współplemieniem, jakie to dobrodziejstwo boskie ma w swym posiadaniu dwór Ducha Gór. I ciepło przy nim, i widno jak w dzień. Ludzie wielką zapalali ochotę, żeby pościć dla siebie takie dobro, lecz nikt nie miał odwagi wyprawić się po ogień. Szukali kogoś niedużego, czarnego i bystrzego, by pod osłoną nocy mógł wykraść ogień i zdmknąć wrócić. Nikogo takiego nie znaleźli. Zdecydowali wreszcie, że najlepiej poprosić o to przysługę jaskółki. I mądry ptak spełnił życzenie ludzi, przewidział, że gdy w domach pojawi się niosący ciepło ogień, również i jemu lepiej się będzie żyło w jego pobliżu.

Jaskółka przylatowała w dziobie mały czerwony węgielek, położyła go na niedużym stole galezi i odrzuciła. Już po chwili zaczął się wśród galezi wołyć taniec ognia. Aby uczcić posłańca Boga-Słońca zebrani wokół ludzie także zaczęli tańczyć. Było im ciepło i radośnie. Ciepło ciała przeniknęło w duszę, lód i mrok w ich sercach roztopił i ludzie stali się dobrzy.

Węgielek przyniesiony przez jaskółkę miał cudowne właściwości. Ten kamień wbrał w siebie ogień znajdujący się wewnątrz gór. Nocą świecił on jak lampa, a w dzień wystarczy położyć go na suchej galezi, oświetlonej słońcem i natychmiast zapala się ona. Jasnym płomieniem. Kto znajdzie taki kamień, znajdzie wielki skarb, znajdzie szczęście.

— Tanyspaj znalazł taki kamień i odnalazł wielki skarb — skarbnicę poezji — zakończył jego opowieść.

Na Altaju zawsze szanowano poetów,

gdyż przez ich usta mówiła Prawda, nigdy też nie zabijano ptaków, może przez pamięć o jaskółce? Religia Altajczyków jest zbliżona do hinduizmu. Czuł się tam wszystko, co żywe — drzewa, ptaki, zwierzęta i owady. Trochę mnie to dziwiło, gdyż Altajczycy od zawsze trudnili się myślistwem. Zapamiętałem o Tanyspaju. Wyjaśnił mi, że gdy Altajczycy upolują zwierzę, to natychmiast proszą ją o wybaczenie tego czynu. Płacze, przeprosza, usprawiedliwia się, dlaczego musiał zapolować. Już przed wyruszeniem na polowanie modlił się do Matki-Tajgi, prosił, by zezwoliła mu na uszczuplenie czegoś ze swoich skarbów, tłumaczył, że potrzebne mu jest mięso i futro. Można w tym widzieć echo manicheizmu, walkę Dobra i Zła w każdym z nas. Tu, w Europie, tak swane wyrzuty sumienia męczą nas po każdym kłamstwie, grabieży czy zabójstwie. Niestety okradamy naturę, zabijamy jej piękno i jednocześnie przysięgamy, że bardzo ją kochamy. Czy zasługujemy na biologiczne przetrwanie? Czy też wyginie, gdy już wszystko wyrwiemy ziemi zostawiając po sobie tylko jej nagie, kamienne szkielety? Wieczny spór o to, kto jest lepszy, mądrzejszy czy bogatszy powoli zbliża się do kresu, w tym doświadczeniu rozum dawno nie mieści. Stał się zbyt głupi od mała, choć nauka nasza twierdzi, że od nich pochodzimy. Wśród małych życie jest o wiele prostsze — włazić na drzewo, podać ogon drugiemu. Ostatnie obserwacje odkryły zjawisko zdumiewające: dorosła małpa, która nigdy nie rodziła dzieci, gdy z woli stada dostaje na wychowanie noworodka-sieroty, zaczyna go karmić własną pierśią! Miłośko do cudzego dziecka amusa je gruczoły mlekowe do pracy! Nie obrażajmy tych dobrych stworzeń, przestańmy twierdzić, że jesteśmy ich lepszym odgłoszeniem.

(Dokończenie w następnym numerze)

WASYL KOCZNOW

ze str. 1

to publiczność. Przed rozpoczęciem rozgrywek trener zapowiedział, że Boris Becker jest doskonale przygotowany zarówno fizycznie, jak i psychicznie do stawienia czoła wszystkim przeciwnikom. Nie było żadnych wątpliwości, że laur będzie jego. Nikt chyba nie wątpił, że ten dziesiętnastoletni Niemiec po raz trzeci z kolei zostanie mistrzem Wimbledonu.

Jednak piłka tenisowa jest okrutna i tym razem nie potoczyła się tak jak wszyscy oczekiwali. Zdarzyła się rzecz prawie nieprawdopodobna, Boris Becker przegrał i to już w drugiej rundzie. Wyeliminował go bardzo przeciętny gracz Doohan, (który przegrał potem z Jugosłowianinem Zivojinoviciem w czwartej rundzie, nie doszedł do ćwierćfinału). To była wiadomość z pierwszych stron gazet.

Po porażce Boris Becker zniknął, podobno nawet jego trener nie wiedział, gdzie się skrył. Prasa podejrzewała, że zaszły się gdzieś w Alpach ze swoją dziewczyną, złotowłosą Benedicte z Monaco, aby leczyć urażoną ambicję. Tymczasem przypomniało sobie o nim Niemieckie Ministerstwo Obrony, ponieważ dziesiętnastoletni Boris Becker powinien odbyć służbę wojskową. On jednak nie pakił się do tego. Władze wojskowe obiecują, że jeżeli teraz nie spełni tej powinności, to i tak gdy skończy grać powołają go do armii bez względu na wiek w jakim będzie.

Nie miał Boris Becker ostatnio dobrej passy.

Na ten mecz czekali wszyscy.

Na dzień przed finałową rozgrywką w singlu mężczyzn cena biletu na czarnym rynku dochodziła do 1000 funtów (jest to około 1600 dolarów).

Spotkanie Ivana Lendli i Paty Casha zapowiadało się nadzwyczaj interesująco. Dwudziestoletni Lendli, z Czech zamieszkały w Connecticut, zakwalifikowany jako pierwszy na liście najlepszych tenisistów świata ma już na swoim koncie wiele zwycięstw. Trzykrotnie zdobył mistrzostwo Francji (w 1984, 86 i 87 roku) oraz mistrzostwo USA w roku 1985 i 86. Nigdy jednak nie udało mu się zostać zwycięzcą Wimbledonu. W 1986 roku w meczu finałowym uległ Borisowi Beckerowi. W tym roku powiedział dziennikarzom:

— Trudno mi wyrazić, jak wiele znaczy dla mnie zwycięstwo tu, na Wimbledonie. Mogłbym wymienić jedno mistrzostwo USA na laur Wimbledonu.

Lendli bardzo nie lubi grać na trawie, narzekał, że na tej nawierzchni nie potrafi kierować się instynktem.

Przeciwnik Cecha, dwudziestodwuletni Australijczyk Pat Cash sklasyfikowany jako 13 na świecie, ale znawcy uważają, że w przyszłości będzie to nr 1 tego sportu. Był w doskonałej formie. Nie po raz pierwszy występował na Wimbledonie, był nawet finalistą w deblu mężczyzn w 1984 roku i z Paulem McNamee oraz w 1985 roku z Johnem Fitzgeraldem. Już raz w 1987 roku zmierzył się z Ivanem Lendlem i nawet pokonał go na otwartych Mistrzostwach Australii, (ale potem przegrał z Edbergiem w finale). Jednak tym razem większe szanse dawało Lendlowi.

Mecz był przy palącym słońcu, zar lał się z nieba. Nawet widzowie z łoż honorowej, przeznaczonej dla rodziny królewskiej i ich gości, zerwali z tradycją i etykietą i powoli zaczęli zdejmować okrycia. Jeszcze trudniej było wytrzymać te wysoką temperaturę zawodnikom.

Właściwie już po pierwszym secie nie było prawie wątpliwości co do wyniku rozgrywki. Wygrał go Pat Cash. Ten set trwał 1 godzinę i 13 minut, czyli 4 minuty dłużej niż potrzeba było Martinie Navratilovej, aby zwyciężyć w meczu finałowym.

Ivan Lendli sprawiał wrażenie bardzo oszołomionego, przede wszystkim zawiódł się na własnym serwisie. W pewnym momencie, po swoim kolejnym podwójnym błędzie serwisowym rzucił aż ze złością rakietą o kort. Jeszcze w trzecim secie wydawało się, że zdola przeła-

mac serwis Paty Casha, kiedy obaj prowadzenie 9-2. Jednak Australijczyk już wkrótce zmienił wynik na swoją korzyść i wygrał ostatecznie i ten set. Volley z forhendu zakończył spotkanie.

Pat Cash z triumfem podniósł ręce do góry.

Zwyciężył Ivana Lendli w trzech setach. Po 21 latach oczekiwania następny Australijczyk, któremu udało się zostać zwycięzcą Wimbledonu!

Nie ukrywał swojej ogromnej radości. Złamał nawet reguły mistrzostw i nim odebrał gratulacje z rąk księcia i księżnej Kentu przecisnął się przez tłum widzów, aby najpierw uścisnąć swoich najbliższych.

Po zwycięskim meczu powiedział, że jego następnym celem jest zdobycie mistrzostwa USA, ale nie marzy o pobiciu jakichś rekordów w tenisie.

— Chcę grać tak długo, jak tylko będę mógł i jak długo będzie mi to sprawiało przyjemność. Nie myślę o zdobyciu laurów na Wimbledonie 7 czy 8 razy pod rząd. Nie myślę też, że będę mógł grać tak długo jak Jimmy Connors, którego rekord jest wspaniały.

Bardzo dużo wysiłku kosztowało Casha, aby dojść tak wysoko. Jeszcze niedawno borykał się z poważną kontuzją kręgosłupa, a w samych przygotowaniach do Wimbledonu przeszkodziła mu przerwa spowodowana zabiegami usunięcia wyrostka robaczkowego.

fikowana na liście najlepszych zawodników świata jako 170, ale miała nadzieję, że po Wimbledonie jej pozycja będzie znacznie lepsza, około 110. Zaczynała grać we wrocławskiej Gwardii, teraz na stałe mieszka na Florydzie, i tam też trenuje. Do niedawna miała trochę kłopotów ze zdrowiem po kontuzji łokcia i to trochę przeszkodziło jej osiągnąć szczyt możliwości, ale — jak sama mówi — jest już pod dobrą opieką lekarską. Poza tym szuka trenera, dobrze, a o takiego nie jest łatwo.

Rozmawialiśmy w trakcie rozgrywek na Wimbledonie. Iwona, mimo że zakończyła swój występ nadal korzystała z tamtejszych kortów i bacznie obserwowała mecze, szczególnie gry kobiet. Zapylałam, czy jest zadowolona ze swojego występu. Odpowiedziała, tak, jak się to mówi w takich wypadkach: — Tak, choć mogło być trochę lepiej.

To chyba bardzo dobry komentarz do jej występu.

Iwona w najbliższym czasie planuje udział w zawodach w Kalifornii. Sądzę, że wszyscy życzymy jej powodzenia.

Mistrzostwa skończyły się.

Jednak mimo, że na Korcie Centralnym nie zabrakło już oklasków dla zwycięzcy warto wybrać się na Wimbledon, aby obejrzeć Muzeum Historii Tenisa. Mają w nim miejsce wspólczesne gwiazdy tego sportu, ale sporo uwagi i miejsca poświęco-

Co to znaczy wygrać Wimbledon?

Zwycięstwo na Wimbledonie otwiera przed Patem Cashem nowe perspektywy finansowe. Nagroda za zdobycie mistrzostwa wynosi 155 tys. funtów, ale najprawdopodobniej w ciągu najbliższych trzech lat Pat Cash będzie mógł zarobić około 15 milionów funtów. Bjorn Borg, John McEnroe czy Jimmy Connors stali się właśnie dzięki temu tytułowi multimilionerami. Mistrzostwo Wimbledonu jest największym i najbardziej lukratywnym tytułem na świecie.

Nagroda za zdobycie mistrzostwa w singlu kobiet jest nieco niższa niż w grze pojedynczej mężczyzn, wynosi 139.500 tys. funtów, a zwycięzczyni otrzymuje nie puchar, a trofeum w kształcie tarczy, ale splendor spada na nią taki sam.

Przed meczem finałowym singla kobiet mówiono:

— Martina gra szybko.

Rzeczywiście. Pokonanie Niemki Steffi Graff zabrało jej 69 minut. Mecz był popisem umiejętności Czeszki, wszyscy podziwiali, rewelacyjny serwis, wspaniałe volleye. Rozgrywkę oglądały dwie księżniczki Diana i Sabra, ale królowa Wimbledonu była tylko jedna — Martina Navratilova. Zwyciężyła i po raz szósty została mistrzynią Wimbledonu w singlu kobiet, a na swoim koncie ma jeszcze dwa zwycięstwa w deblu.

Martina ma już 30 lat, ale nadal zajmuje pierwszą pozycję na liście najlepszych tenisistek świata. Jej przeciwniczka w tym meczu, osiemnastoletnia Steffi Graff jest na tej liście druga, ale może już niedługo zajmie miejsce Czeszki. Jednak na razie Martina jest nadal najlepsza, choć przed Wimbledonem zastanawiano się czy Martina Navratilova nie myśli już o zakończeniu kariery. Chris Ever zaczęła mówić o odejściu, gdy miała 21 lat. Teraz, po 12 latach, gdy ma już 33 pogodziła się już z myślą, że nie jest najlepsza.

Ciekawe jak ułoży się dalej kariera Martiny Navratilovej?

Wimbledon przyciąga tenisistów z całego świata.

Na liście zawodników pojawiły się również polskie nazwiska. Wojciech Fibak grał w deblu z M. Bauerem, ale doszli tylko do drugiego etapu rozgrywek. Odpadli po meczu z parą J.B. Fitzgerald i Smid. Poza tym wystąpiła na Wimbledonie Iwona Kuczyńska, której poczynania sportowe przypominają karierę Wojtka Fibaka. Iwona nie po raz pierwszy grała na Wimbledonie, dotychczas występowała w deblu kobiet, ale bez znaczących rezultatów. W 1987 roku zdecydowała się zagrać w singlu kobiet. Jej występ okazał się bardzo udany. Doszła do III etapu rozgrywek, pokonała S.A. Fernandez i S. Meier, przegrała z S. Haniką, po bardzo dobrym meczu.

Iwona Kuczyńska jest sklasy-

no pierwszym finalistą. Nie byli tak jak ci współcześni gwiazdami, ale można ich określić jako ludzi wielkiej charakteru. Tak właśnie zachował się w pamięci pierwszy zwycięzca Wimbledonu z 1877 roku W. Spencer Gore. Inny mistrz Wimbledonu Rev John Harty wezwany przez nie cierpiące zwolki sprawy zawodowe wyjechał między meczem finałowym a półfinałem do Yorkshiru na dwa dni. Wrócił, aby zwyciężyć.

Muzeum nie byłoby prawdziwym muzeum, gdyby nie było w nim eksponatów sprzed kilkudziesięciu lat. Można zatem obejrzeć sprzęt używany we wczesnych latach tego sportu. Piłki, skórzane, wypełnione piaskiem, wełną czy trocinami lub maszyną do obcinania trawy, wynalezioną w połowie XIX wieku. Są też oczywiście rakiety, o przeróżnych kształtach i wielkościach. Początkowo grano rakietami drewnianymi o główce wykonanej z jednego kawałka drewna, zwykłe jesionowe z naciągami z jelit zwierzęcych. W latach dwudziestych XIX wieku próbowano używać rakiet metalowych, aluminiowych, w których naciąg wykonany był ze strun od fortepianu. Okazało się jednak, że nie był to najlepszy pomysł i nadal powszechnie używano rakiet drewnianych, z tym tylko, że główki rakiet nie robiono z jednego kawałka drewna, a były laminowane. Zaczęto również w latach trzydziestych wykańczać rakiety skórzanym uchwytem. Dopiero w latach sześćdziesiątych pojawiły się rakiet metalowe (stalowe), lepsze od drewnianych, bo lżejsze, pozwalające na szybsze pokonanie o-poru powietrza. Obecnie tenisisci mają do dyspozycji jeszcze nowocześniejszy sprzęt, coraz powszechniej używane są rakiety grafitowe, opracowane w 1978 roku, a ulepszone i wprowadzone do sprzedaży na początku 1980 r.

W muzeum można obejrzeć poza tym jak wyglądały stroje używane przez graczy w epoce wiktoriańskiej, z roku 1900. z lat dwudziestych i trzydziestych. Szczególnie stroje kobiet są ciekawe, długie i powłóczęste. Kobiety niemal równocześnie z mężczyznami zaczęły grać w tenisa, jednak we wczesnych latach tego sportu nie uważano za stosowne, aby młoda dama grała publicznie i ryzykowała obrażenie kostek.

Ponadto postarano się o od-tworzenie szatni męskiej z roku 1900, warsztatu, w którym robione były rakiety oraz mieszkania rodziny z początku naszego stulecia, która pasjonowała się tenisem.

ZOFIA KĘDZIORA

Przypominamy!

Konkurs na całe lato trwa
do 30 września 1987 roku

NA KONKURS NA CAŁE LATO można przysłać nie więcej niż 10 zdjęć. Powinny być zrobione na wakacjach poza Łodzią. Powinny to być zdjęcia czarno-białe w formacie nie mniejszym niż 13 na 18 cm. Zdjęcia wraz z kuponem z „Odgłosów” przysyłamy do 30 września 1987 roku pod adresem:

„ODGŁOSY”

ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,
90-113 ŁÓDŹ

A oto kupon:

KUPON KONKURSOWY NA CAŁE LATO

Imię i nazwisko
Dokładny adres
Zgłaszam na KONKURS NA CAŁE LATO zestaw zdjęć.



Spółka z o.o.

Traktorowa 59/15

91-111 Łódź

tel. 52-88-30

Pierwsza w Polsce Prywatna Wytwórnia
Filmowa oferuje swoje usługi w zakresie realizacji filmów:

- reklamowych
- dokumentalnych
- instruktażowych
- teledysków

i innych

Zapewniamy współpracę najlepszych polskich realizatorów filmowych.

2233 k

SPOŁEM WSS ŁÓDŹ
Oddział Spółdzielczych
Domów Handlowych
„CENTRAL”
ZAPRASZA

DO SWOICH STOISK W SDH

przy ul. Piotrkowskiej nr 165, ul. Piotrkowskiej nr 100 oraz w Pabianicach przy ul. Kilińskiego 1, i ul. Marchlewskiego 18.

- Patronaty czołowych firm przemysłu lekkiego, elektro-mechanicznego i metalowego.
- Szeroko prowadzone wymiany z ZSRR, ChRL, WRL, CSRS, NRD, Austrią, Holandią, RFN.
- Fachowa i kulturalna obsługa

GWARANTUJĄ UDANE ZAKUPY

ZAPRASZAMY
1769 k



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

24 września — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16

1 października — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16

Plon dyżuru przy telefonie z ostatniego czwartku to 10 sygnałów od czytelników, dotyczących w części spraw jednostkowych — ale nie tylko.

Pan Kuśka — z którego obserwacjami zgodzą się chyba wszyscy, korzystający z usług poczty — uważa, że w instytucji tej, świadczącej przeciwko usługom na rzecz obywatela, dzieje się coraz gorzej. Dlaczego — pyta — kiedyś doręczyciele dostarczali paczki do domu adresata, obecnie zostawiają tylko zawiadomienie? A co dziwniejsze — dlaczego po paczkę muszą jechać na pocztę koło Dworca Fabrycznego — skoro mieszkam niedaleko poczty przy Dworcu Kaliskim? Też chciałabym wiedzieć dlaczego — tym bardziej, że ja sama odbieram paczki na Dworcu Kaliskim a mieszkam w całkiem innym rejonie miasta.

Pan Krzysztof Pocałujko — a wraz z nim 8 innych, młodych rodzin — nie mogą wprowadzić się do swoich nowo wybudowanych domków przy ul. Ustronnej, ponieważ właściciel działki nr 459 — środkowej w szeregu — nie rozpoczął jeszcze budowy i w związku z tym nie można wykonać podłączeń wody, kanalizacji itp. Interwencje w rozmaitych instytucjach, które mają prawo i obowiązek nakłonić do pracy leniwego członka spółdzielni budowlanej przy Budopolu względnie odebrać mu działkę i przekazać ją osobie, która wywiąże się z dobrowolnie przyjętych zobowiązań, nie odnoszą skutku. Budowę tego szeregu domków rozpoczęto w 1984 roku — a wspomniana działka zarosła już wysokimi chwastami.

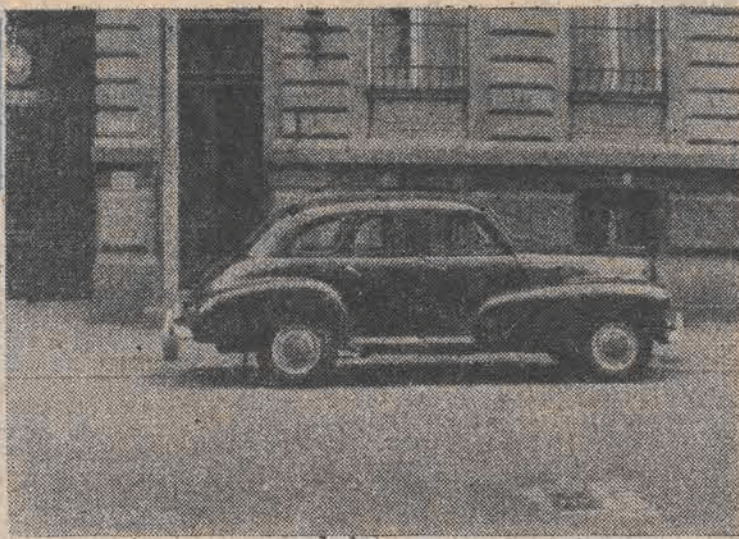
Matka uczennicy III klasy SP nr 103 pyta, czy nie dałoby się wprowadzić choć jednej soboty wolnej w tej szkole. Obecnie dzieci mają lekcje we wszystkie soboty — co im samym wydaje się niesprawiedliwe, bowiem koledzy z sąsiednich szkół oglądają w tym czasie telewizję, a i rodzicom utrudnia to zaplanowanie np. wyjazdu na weekend.

Pani Krystyna Smięcińska — uczestniczka wycieczki do Włoch organizowanej przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Włoskiej nie była zadowolona z dziwnych praktyk — które, jak wie z opowiadań znajomych — powszechne są również na innych wycieczkach autokarowych. Chodzi mianowicie o organizowanie przez pilotów składok — w dolarach — na wsparcie kierowcy. Kiedy uczestnicy wycieczki wysupialili niechętnie 20 dol — i przekazali je pilotce dla kierowcy — ta wróciła po chwili, stwierdzając, że co prawda kierowca nie docent, ale swój honor ma i tak drobną sumą „obrazić” się nie da. Trzeba było dolożyć.

Pan J. (nazwisko znane redakcji) skarży się, że żadne interwencje (nawet sześciokrotne zamieszczenie notatki w Małym Głosie) nie przyczyniły się do usunięcia potwornego bałaganu panującego w posesji przy ul. Wojska Polskiego 112, należącej do ROM nr 7 przy ul. Przemysłowej.

Ponadto: pani, która chciała podzielić się z nami i z czytelnikami wspomnieniami z czasów okupacji zaprosiliśmy do redakcji, a czytelniczkę, borykającą się z poważnymi trudnościami osobistymi obiecałyśmy odwiedzić w domu.

TERESA JERZYKOWSKA



Konkurs lipcowy rozstrzygnięty!

Drukujemy kolejne wyróżnione prace z lipcowego konkursu fotograficznego. Autorką prezentowanych zdjęć jest Ewa Gładys. Gratulujemy! Wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym nagrody prześlemy pocztą.



UWAGA OGRODNICY!

Dziane ekrany termoizolacyjne ograniczające straty ciepła w szklarni.
Ekrany przeznaczone są do stosowania przy większości upraw
warzywniczych i kwiatowych

Dzianina zastosowana na ekrany odznacza się:

- wysoką wytrzymałością zabezpieczającą przed skutkami obciążeń statycznych i dynamicznych,
- odpowiednią przepuszczalnością powietrza,
- odpornością na mikroustroje i środki chemiczne,
- wysoką odpornością na deformację pod wpływem ciepła.

Opracowane przez Instytut Włókiennictwa są najprostszym i najskuteczniejszym sposobem zmniejszenia zużycia paliw do ogrzewania szklarni.

Zastosowanie ekranów termoizolacyjnych w Szklarniowym Zakładzie Doświadczalnym w Skierniewicach pozwoliło na obniżenie zużycia energii o 25 proc.

Mogą być z powodzeniem stosowane do zaciemniania szklarni w okresach nadmiernego nasłonecznienia.

Zbiorowe i indywidualne zamówienia przyjmują:
Zakłady Wytrobów Obiciowych „Vera”
94-250 Łódź,
ul. Siewna 15
telex 886617 vera pl
tel. 51-40-75

2234 k

— Tym razem nie przyszło mi się myśleć, ani „Radion”, ani żaden inny środek piorący, mimo to nazajutrz znalazłem się na wolności. A może to jeszcze za sprawą proroczego snu w areście śledczym w przeddzień procesu sądowego? Moja teściowa, wyrocznia w tłumaczeniu nocnych widziadeł, twierdzi, że sprawdzanie się snów przypada po tygodniu. Zatem skłonny jestem przypuszczać, iż swoje zwolnienie zawdzięczałem raczej amnestii, ogłoszonej po zwycięstwie zakończona wojny.

Komendant obozu, wręczając mi na odchodne odpowiednią bumazkę, powiedział:
— Przywiązałem się do was, Adam Jossifowicz, ale w takiej chwili nie czas na sentymenty. Życzę wam wszelkiej pomyślności. Nie mówię „do widzenia”, w ustach komendanta obozu pracy mogłoby to zabrzmieć dwuznacznie...

— Możemy się spotkać poza obozem...
Machnął ręką. Wydaje mi się, że podobnie jak komendant z Rybińska, też był więźniem i za dobre sprawowanie pozwolono mu odbyć resztę kary na tym stanowisku. Wspaniały to był człowiek, chłop z kośćmi. Świadczyli mi różne przysługi, starał się jak mógł złagodzić mój pobyt w podległym sobie obiekcie. A ja nawet nie pamiętam jego imienia, otęściwa, nazwiska...

Opuszczając obóz dokonałem krótkiego bilansu. Dwa razy byłem aresztowany, raz całkiem przypadkowo. Siedziałem w czterech miejscach ośrodków. W obozie rybińskim ponad rok, w areście śledczym około czterech miesięcy, w więzieniu miesiąc, w tym obozie dwa miesiące, w sumie — prawie dwa lata. I to, jak mówią, za bezdurno, bo za te przyjęte w dobrej wierze kartki nie poczuwałem się do winy.

W miarę zbliżania się do domu, gorzyc ustępowała miejsca radośnym uczuciom. Zaraz uściskami Helenkę, Ludmiłę, znalazłem się w obskurnej co prawda chatce, ale ze swoimi, wolny!

Helenka już spała. Z Ludmiłą do późnej nocy wiedliśmy ożywioną rozmowę o ostatnich wydarzeniach.

— Czy ta Korab odpowiadała was?
— Od twego aresztowania nie pokazała się ani razu.

— To zrozumiałe. Zmija... Dobiorę się jej do skóry!

— Zostaw. Mało ci było?

— A Zygmun?!

— Też nie przychodził. Spotkałem go przypadkowo na mieście. Tłumaczył się, że to nie jego wina, zmuszono go do podpytywania ciebie. Powiedział, żeby uniknąć pani Heleny jak ognia...

— A widział? Wiem, co o niej myśleć. A on to też dobre ziłko... Ja i Alojzy byliśmy wzruszeni twoją pamięcią o nas. Skąd miałaś na te paczki?

— To dary Posalskich. Gdyby nie oni, nie miał co by się z nami stało. Opiekowali się mną i Helenką, jak najbliższą rodziną.

Posalski, uciekinier z Polski, był krawcem. Mieszkał na Zawolżu, niedaleko nas. Właściwie nie nas nie łączyło, spotykaliśmy się rzadko, jednak gdy dowiedział się o nieszcześciu, jakie przede wszystkim ugodziło w Ludmiłę i dziecko, natychmiast pospieszył z pomocą.

— Pójdę do nich jutro podziękować za dobre serce. Potem pojedę do Butowskiego.

— Do Butowskiego? A po co?

— Odebrać teczkę, skonfiskowano mi ją na bazarze.

— Potrzebna ci do szczęścia? Nie pokazuj się im na oczy!

— Wiem co robię. Ciekawe, jak on zareaguje na mój widok...

Rano Helenka stanęła koło mojej койki i wlepila we mnie zdziwiony wzrok.

— Przywitał się, córeczko. To twój tata...

Rzuciła mi się na szyję.

— Tata, tata, bawcie, bawcie.

Starszy śledziwaty Butowski przyjął mnie od razu. Jego mundur zdobiły dystynkcje majora.

— Gratuluję awansu, panie sędzio... Można poprosić o zwrot teczek?

— Oczywiście. Zaraz wypiszę kwitek na odbiór. I co zamierzacie robić?

— Rozejrzę się za jakąś pracę, przede wszystkim jednak muszę wynieść się z tej nory.

Dalszy pobyt tam z małym dzieckiem jest niemożliwy. Zima idzie...

— Tak, to poważny problem.

— Nie będą mi robić trudności? Siedziałem...

— To nie ma znaczenia. Wszystkie instytucje stoją przed wami otworem. Możecie ubiegać się o każdą pracę, na każdym stanowisku.

— Panie majorze, przecież byłem podejrzanym o tak poważne przestępstwa...

Poprowadził mnie do wychodzącego na ulicę okna.

— Widzicie tych ludzi? W większości to na pewno solidni obywatele, patrioci, ale mogą być wśród nich inni. Nic o nich nie wiemy. Co myśla, co robią... A wy — popatrzcie! Na mnie wnikliwie — zostaliście dokładnie prześwietleni. Wiemy o was może więcej, niż wy sami... Nigdzie nie będą robić wstrętów. A gdyby... proszę się do nas zgłosić.

Rozmowę tę zapamiętałem na całe życie. Podniosła mnie na duchu. I gdy się dowiedziałem, że za rzeką Swiętą, w raboczym gorodku, zwalnia się posada magazyniera bieliny pościelowej, natychmiast zaferowałem swoje usługi.

Naczelnik był rad z mego przybycia.

— Dotychczasowy kładowszczyk, wasz rodak z Polski, odnalazł rodzinę w Ferganie i przenosi się tam. Możecie już od jutra objąć to stanowisko.

— Nie bardzo... Nie mamy gdzie mieszkać. Muszę się rozejrzeć za jakimś kątem.

— Dostaniecie służbowe, wygodne mieszkanie, przy magazynie. Chodźcie, obejrzyjcie je.

Owo „wygodne mieszkanie” okazało się małym pokojem ze stojącą w nim karołką, a ja

się spodziewałem. Bóg wie czego. I wtedy przypomniałem sobie mądrą anegdotę o cadyku, jego współwyznawcy, kozie i innych stworzeniach...

Do słynącego z mądrości rabina przyszedł petent i jał wylewać przed nim gorzkie żale.

— Rebe, ja już dłużej nie wytrzymam w jednym pokoju z żoną i dzieckiem. Co mam robić?

— Hm... Wprowadź do waszego pokoju kozę.

— Kozę?! Rebe, mało nas w tej klitce?

— Zrób, co ci każe.

Nazajutrz petent wpadł do rebege z płaczem.

— Ja oszaleję! Kozę męczą, żona skrzeczy, dziecko płacze! Co mam począć?

— Wprowadź do pokoju psa.

— Rebe!!

— Zrób, co mówię — powiedział cadyk. Potem kazał jeszcze wprowadzić kota i kury, a gdy jego współwyznawca przybiegł i powiedział, że nie pozostaje mu nic innego, tylko obwieścić się — poradził:

— Wyprowadź kozę. I przyjdź znowu.

Potent zjawił się już w nieco lepszym stroju.

— No, jak?

— Trochę nam użyło...

— To teraz wyprowadź psa — po czym kazał kolejno usunąć pozostałe zwierzęta, a gdy petent został w swym pokoju, jak przedtem, tylko z żoną i dzieckiem, zapytał:

— Jak teraz?

— Całkiem dobrze, rebe! Oby Bóg cię wynagrodził za mądre rady!

Ze mną było podobnie, chociaż obeszło się bez kozy, psa, kota i kur. Z ponurej chatki na Zawolżu przeprowadzałem się (przeprowadzano mnie) do coraz gorszych pomieszczeń, potem do lepszych i gdy zaproponowano mi ten pokój za Swiętą, ciasny, bo ciasny, wydał mi się

wiedział kolegom o swojej przygodzie i okrutnym diadu, który ma oczy z tyłu.

Nadeszła zima, wraz z nią trzydziestostopniowe mrozy. Już nie musiałem wyrwać desek w szalecie, opału mieliśmy pod dostatkiem, w pokoju było ciepłutko. I wiatry nie dokuczały jakoś. W najcięższy mróz wyskakiwałem z baraku w rozpiętej futajce, nawet nie opuszczałem nauszników malachajki. Po kilkunastu minutach marszu zatrzymała mnie idąca naprzeciw kobiecina;

— Nos, nos! — zawołała.

Spojrzałem zezem na czubek swego organu powonienia. Biał! Dotknąłem — nie nie czułem. Pospiesznie nabrałem garść śniegu i rozcierałem zmarznięty nozale, aż przybrał kolor intensywny czerwieni.

Sześć był ze mnie zadowolony. Dostawałem premie, raz nawet moje nazwisko znalazło się w ścisłej gazetce w rubryce „Nasi stachanowcy”. Toteż jak grom z jasnego nieba spadły na mnie jego słowa:

— Nu sztoż, Adam Jossifowicz, skoro przydiota nam rasstawata...

— Rozstać się? Dlaczego? Czy towarzysz nie jest ze mnie zadowolony?

— Wręcz przeciwnie, ale chyba wolisz poszukać sobie zajęcia w swojej ojczyźnie?

— W swojej... Nie rozumiem...

— Tolkowij paren!, a baszka nie robotajet. Będą was ewakuować!

— Kiedy? Mój Boże, co za nowina!

— Kogda nie znaju. Pojeżdżaj do waszego Sojuza Polskich Patriotów, może oni pokuczi- li karkie ukazania.

Zawiesilem kłódkę na drzwiach magazynu i podmiejską ciuchcią pojechałem zasięgnąć języka. Po moim aresztowaniu nie pokazywałem się w Związku. Jak mnie przyjmą?

Prezes nie dał nic po sobie poznać, przywi-

— Czemu nie sprawdzili? Pospieszyle się. Tak nie wolno. Pośleć jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł — powiedział sentencjonalnie. — A ty tiap-lap, po waszemu lapu capu!

„Lapu kacapu” — pomyślałem nienawistnie, patrząc na jego szyderczo uśmiechniętą twarz — i pobiegłem szukać ratunku u... prokuratora.

Powiedziałem wszystko, jak było. Nigdy nie miałem do czynienia z taką pracą, zajęcie magazyniera przyjąłem z konieczności, przy przyjmowaniu magazynu nabrano mnie, a teraz towarzyszy gławbuch nie chce mi wydać zaświadczenia, że się rozliczyłem, a bez tego nie wypuszczą mnie.

Prokurator nie zastanawiał się ani chwili. Nigdzie nie zadzwonił, z nikim się nie konsultował. Napisał odręcznie kartkę do księgowego, żeby mi robił mi trudności. Pamiętam — użył zwrotu „priedlagaju”, co po polsku znaczy „proponuję”, natomiast w rosyjskim brzmieniu, w relacji prokurator — księgowy, miało specyficzny posmak — i gławbuch bez szemrania podpisał upragnioną bumazkę.

Spieniężyłem nasz ruchomy dobytek. Niewiele tego było. Za otrzymaną gotówkę, plus skromne oszczędności, kupiłem dwa worki maki. W Polsce po tak strasznej wojnie z pewnością panuje głód.

W pierwszym okresie będzie z czego piec lepioski, aladije, bliny, starczy i na galuszkę do zupy.

Wracałymi składającymi się z kilkudziesięciu wagonów eszelonem. DREWNO na opał w dwutygodniowej podróży zdobywało się na postojach urządzonych w pobliżu lasów. Wybiegaliśmy z toporami i piłami, rabaliśmy co „popadnie”. Niemal każdy miał doświadczenie z poprzednich miejsc pracy. Pewnego razu ułatwił mi sobie zadanie. Na placu leżały pocięte deski. Raz dwa przetransportowaliśmy je do wagonów zadowoleni, że trafili nam się suchy opał i to bez żmudnych zabiegów. Po kilku minutach przybiegli żołnierze i kazali z powrotem odnieść łup. Jak się okazało, był to niezwykle cenny surowiec z jakichś najsłabszych gatunków drzew, przeznaczony do technicznych urządzeń, odporny na działania atmosferyczne.

W Orie zarządził dłuższy postój. Posłaliśmy na bazar uzupełnić zapasy żywności. Dwa dni wcześniej, jak mi powiedział miejscowy Polak, ulicami miasta przeciągał pochód dzieci z miejscowego sierocinca. Niosły obrzydliwie transparent z łozungiem: „Chwała Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo!”. Były to dzieci rodziców straconych z rozkazu Stalina...

Wysłano nas w Kłodzku, otrzymaliśmy po-niemieckie mieszkania. Sklepy były pełne białego pieczywa! Postanowiłem więc sprzedać makę, ale nikt nie reflektował na ciemną razówkę. Ostatecznie ofiarowałem ją hodowcy nierogacizny. I wyszedłem na tej macie — jak Zabłocki na mydło? Nie, jak Ochocki na soli w Ulanowsku. I po kiego czorta wiozłem ja taki szmat drogi, dźwigając ciężkie worki na plecach? Droga przez makę.

Napisałem do „Trybunu Dolnośląskiej” reportaż o naszym powrocie do kraju. Od redaktora Tadeusza Galińskiego dowiedziałem się, że w Łodzi znówiono wydawanie „Expressu”, a po paru dniach, że z moich najbliższych ocalała tylko siostra i brat...

Pojechałem na rekonesans do rodzinnego miasta. Konstanty Bogusławski, naczelny łódzkiej popołudniówki, dawny sekretarz redakcji „Republiki”, zaangażował mnie z miejsca. Czasowo zamieszkałem u brata, wywożowałem pokój przy ul. Wólczańskiej, sprowadziłem żonę i córkę — i po sześciopięcioletniej przerwie rozpocząłem intensywną pracę w „Expressie”.

Przeżył w okresie wojennej tułaczki zastawiony trwały ślad. Niemal co noc śnił mi się obóz. I jak to bywa w snach, w dramatycznych, niż w rzeczywistości, okolicznościach. Brat, któremu zwierzyłem się z nocnych koszmarów, zażartował:

— I co się w twoim życiu zmieniło? W dzień musisz pracować, a w nocy siedzisz w obozie. Ale rano budziłem się w opalonym pokoju, na wygodnym tapczanie, myłem się w łazience pod ciepłą wodą, bawilem się z córeczką, zasiadałem do obfitego śniadania, a w pracy, zamiast piły czy siekiery, brałem do ręki pióro, którym teraz wykreśliłem z mego życiorysu białą plamę sprzed pół wieku...

Posłowie

Jakie były dalsze losy trzech osób, które odegrały znaczącą rolę w moich dramatycznych przeżyciach uljanowskich?

Helenka Korab wróciła do kraju. Pracowała kilka lat w którymś z ministerstw, zmarła na początku lat pięćdziesiątych. Ponieważ nie może się bronić, nie podaje jej prawdziwego nazwiska, znajdującego się też w grupie jednostek przywających.

Alojzy odsiedział wyrok do końca. Po powrocie osiadł we Wrocławiu, zajął się praktyką adwokacką. Zdobyl mój adres, prosił o skontaktowanie się z nim. W r. 1952, w drodze do NRD, wstąpiłem do niego. Wkrótce potem wyemigrował z Polski, gdzie obecnie przebywa — nie wiem.

O Zygmuncie Sz. wszelki śluch zaginął. Powrócił do kraju, czy może został w Kraju Rad? Jeśli jesteś w Polsce i natkniesz się na ten pamiętnik, odezwij się. Przebaczam ci, ale o przebaczenie nie proszę, bo zakrawałoby to na ironię.

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa wzięli!” o pobycie autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

Co mi się jeszcze przypomniało?

Na wolności

an siódmym cudem świata — i wyrzilem zgodę.

Jeszcze tego samego dnia przejąłem od mego poprzednika stan materialny magazynu na podstawie znajdującej się w nim ilości poszew, poszewek i prześcieradeł, plus to, co figurowało na kartach ewidencyjnych mieszkańców raboczewo gorodka, to znaczy wydanej im pościeli. Spisaliśmy zdawczo-odbiorczy protokół. Gławbuch, główny księgowy, zatwierdził, zamknął drzwi magazynu na kłódkę i wróciłem na Zawolże podzielić się z żoną pomysłą nowina.

Przez Wołgę przepłynęliśmy się łódką. Przypomniała mi się piosenka z przedwojennego filmu o Stiepanie Razinie, przywódcy powstania chłopsko-kozackiego, który jak mi teraz popłynął w górę Wołgi ze swymi towarzyszami znosić pańszczyznę i wprowadzać samorząd kozacki...

Wołgo, Wołgo, ruska rzeko, ty królowo wszystkich rzek, twoja sława mknie daleko, wszędzie sławny jest twój brzeg... W pierwszej łódzi Stienka Razin, wpół objawiały księżną siadł, on pijany jest nadzieją, nowe triumfy święci rad...

Skąd się wzięła księżna u boku legendarnego bohatera kozackiego, który ogniem i mieczem tępił panów — nie mam pojęcia. Moich wątpliwości chyba nie potrafiłby rozwiązać zarówno autor tej piosenki, jak i scenariusza filmowego.

Z przystani przepłynęliśmy na drugi brzeg Swiętą, dopływ Wołgi. Nie wiedziałem, że ta najdłuższa rzeka w Europie ma tyle dopływów: Mologa, Kostroma, Wietuga, Kama, Samara, Oka, Sura, Szeksna... To tylko nieliczne z zapamiętanych. Szeksnę znałem doskonale, przepływa przecież obok Rybińska, gdzie pracowałem ponad rok.

Mój poprzednik, przekazując magazyn, uprzedził mnie:

— Miej się na baczności przed złodziejami. Zwłaszcza mieszkańcami baraków. Przychodzą po bieliny tylko patrzeć, co zwędzić. Kilka razy usiłowali mnie okraść.

Zabezpieczyłem się zawieszając w rogu magazynu lustro. Stojąc tyłem do klienta, miałem pełne rozeznanie, co się dzieje za moimi plecami.

Przyszedł chłopak, wręczył podpisaną przez komendanta baraku bumazkę na wydanie poszwy i prześcieradła. Gdy odwróciłem się, by schować papiera, kątem oka zauważyłem w zwierciadle, jak mój klient błyskawicznie pochwylił z półki jakąś sztukę bieliny i wsunął za pachę.

Jakby nigdy nic, podeszedłem do drzwi i — cap go za frak.

— Co masz pod futajką?!

Wyrwał mi się i w nogi. Ja za nim. W biegu krzyknąłem do żony „Pilnuj magazynu!” i po paru minutach dopadłem zbiega. Stukłem go na kwasne jabłko. Od tego wydarzenia już nikt nie próbował uszczuplić powierzonego mi plecy mienia. Złodziejaszek chyba opo-